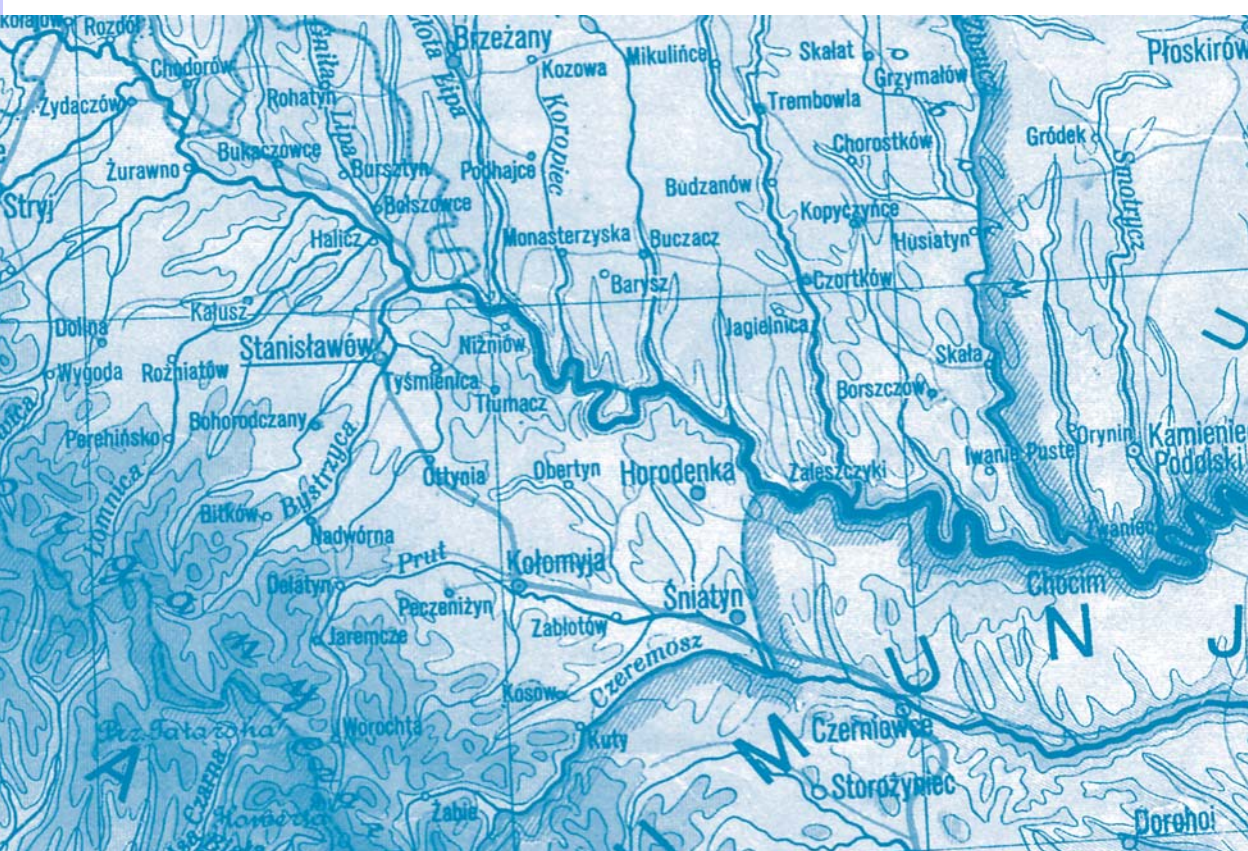


CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



3

(75) 2013

Cios w plecy 1939 r. ♦ Wspomnienia o Wołyniu ♦ F. Budzisz o Najkrwawszej Niedzieli ♦ O prof. Małeckim ♦ O Ksawerym Pruszyńskim ♦ Rozmowa z ks. Kowalowem ♦ Wiersze M. Olbromskiego ♦ Parandowscy ♦ Sylwetki ♦ Huculscy snycerze ♦ Drukarze Iwowscy ♦ Książki ♦ Czasopisma

CZYSTKA ETNICZNA PRZEZ LUDOBÓJSTWO

Ten lipcowo-sierpniowo-wrześniowy numer przynosi dużo smutku. Przypada akurat na miesiące, które boleśnie zapisują się w świadomości każdego Polaka, ale szczególnie tego, który był związany z naszymi Ziemiemi Wschodnimi.

Po dwustronnej agresji na Polskę w 1939 roku i zajęciu 17 września Małopolski Wschodniej przez sowietów – o czym piszemy w pierwszym artykule numeru – zaraz z początkiem roku 1940 rozpoczęła się półtoraroczna akcja wywózek na Sybir i do Kazachstanu. Po wejściu Niemców, już w lipcu zamordowali oni na Wulce kilkudziesięciu Lwowskich Profesorów*. To był początek...

W tym roku w sposób szczególny – w 70. rocznicę – przeżywamy tragiczne lata ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, które pochłonęło sto tysięcy Bogu ducha winnych zwykłych ludzi, całe rodziny z dziećmi i starcami. Apogeum to Krwawa Niedziela 11 lipca 1943 r., tym koszmarnym wydarzeniom poświęcamy dużo miejsca w bieżącym numerze. Są materiały historyczne – przede wszystkim artykuł Feliksa Budziszsa – i wspomnieniowe oraz wiersze Mariusza Olbromskiego**, które wyrażają również nasze myśli.

Jest też mowa o czasie współczesnym na Wołyniu – rozmowa z księdzem Kowalowem z Ostroga. I relacja z podróży polskiej rodziny z Londynu na ojczysty Wołyń.

* * *

W tym rocznicowym wspomnieniu o Wołyniu*** jest wielki pozytyw: oto wreszcie mówi się o tym powszechnie. Temat podjęły władze, ale jeszcze przed tym – pod naciskiem opinii publicznej – media. Wprawdzie przy okazji powstały żenujące spory wśród pożałuj się-Boże polityków, którzy spierają się, czy to nazwać ludobójstwem czy czystką etniczną o znamionach ludobójstwa. Należy się obawiać, że nierzeczowe spory i głośno (!) wyrażany strach, żeby nie dotknąć Ukraińców, mogą tylko rozśmieszyć dzisiejszych nacjonalistów i zapewnić im satysfakcję.

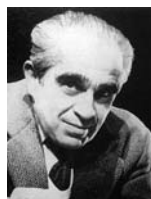
A przecież rzezie na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, dokonywane przez OUN-UPA w sposób przemyślany, w sprzyjających dla nich warunkach wojenno-politycznych, to ludobójstwo *sensu stricto*. Trudno inaczej zakwalifikować zaplanowaną akcję, w której – w sposób bestialski – zamordowano w krótkim czasie sto tysięcy bezbronych, zwykłych ludzi. Ocena musi być jednoznaczna, bez względu na obecne układy taktyczne. Nie wolno inaczej.

Najważniejsze jednak, że sprawy nie dało się dalej ukrywać. Data 11 lipca stała się uznanym przez Naród**** symbolem tamtego złego czasu. To dobrze, że dzięki temu w prasie, radiu i telewizji znalazło się tak wiele materiałów na ten temat. Istotne, że ta informacja dotrze do ludzi – do całych grup społecznych, które dotąd nie miały wiedzy o tym, co działo się na wschodzie jednej i tej samej Ojczyzny, tego samego Narodu.

Owe tragiczne wydarzenia, o których wyżej mowa, były częstkami całego dramatu II wojny światowej, w której Polska utraciła niemal połowę swych historycznych ziem, która przez wiele wieków broniła całego kraju i dała mu ogromną część kultury i cywilizacji. II wojna nie tylko związała się z latami cierpień narodu, ale i dogłębnym

dokończenie na III s. okładki

KAROLINA LANCKOROŃSKA (1898 Austria – 2002 Rzym), arystokratka z rodu osiadłego w Małopolsce Wsch. (rezydencje Rozdół, Komarno oraz Wiedeń). Studia historii sztuki ukończyła w Wiedniu, potem związała się z Uniwersytetem Lwowskim, dochodząc do docentury. W czasie II wojny w AK we Lwowie, aresztowana przez Niemców – kara śmierci niewykonana, więźniarka obozu w Ravensbrück. Po wojnie osiadła w Rzymie, angażowała się w sprawy polskie. Wraz z rodzeństwem założyła Fundację Lanckorońskich oraz Polski Instytut Historyczny w Rzymie. Ofiarowała dla Wawelu i Zamku Król. w Warszawie ponad 150 dzieł sztuki ze zbiorów rodzinnych. Napisała książkę *Wspomnienia wojenne*.



MARIAN HEMAR (1901 Lwów – 1972 Londyn). Studia medyczne i filozoficzne, nieukończone. Obrońca Lwowa w 1918, żołnierz polski w 1920. Poeta, komediopisarz, satyryk, autor słuchowisk i popul. piosenek, rozmiłowany we Lwowie. Od 1924 w teatrach warszawskich. Po wybuchu wojny wyjechał przez Rumunię. Na Bliskim Wschodzie założył teatr estradowy przy Brygadzie Karpackiej, występując na pierwszej linii frontu. Od 1942 w Londynie, do końca wojny pracował w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji przy rządzie polskim. W polskich klubach prowadził „Teatr Hemara”, przygotował ponad 30 premier, a dla Radia „Wolna Europa” ponad 800 audycji. Pisał do pism emigracyjnych, występował przeciw totalitaryzmowi i komunizmowi. W PRL pozbawiono go obywatelstwa polskiego, ale jego audycje były słuchane w okupowanej Polsce.

WŁADA MAJEWSKA (1921 Lwów – 2011 Londyn), autorka, pieśniarka, dziennikarka radiowa, działaczka emigracyjna. Ukończyła prawo na UJK oraz prawo admin. w Edynburgu. Od 1930 praca w rozgłośni Polskiego Radia we Lwowie, od 1932 w *Wesołej Lwowskiej Fali*. Po wybuchu II wojny wyjechała z zespołem do Rumunii, potem Włochy, Francja, Szkocja. Zespół Teatralny „Wesoła Fala” przy 10. Brygadzie Kawalerii Panc. gen. Maczka dał ponad 800 występów dla polskiego wojska; Włada Majewska należała do czołowych postaci. Po wojnie pozostała na emigracji w Londynie, została producentem kabaretów liter. Mariana Hemara. I aktorką w jego teatrze. Przez 30 lat prowadziła londyńskie biuro Rozgłośni Wolna Europa, a w 1994 przekazała materiały Polskiemu Radiu. Napisała książkę *Z Lwowskiej Fali do Radia Wolna Europa*.



SZCZEPKO – KAZIMIERZ WAJDA (1905 Lwów – 1955 Warszawa, pochow. Kraków). Spiker w Rozgłośni Polskiego Radia we Lwowie.

TOŃKO – HENRYK VOGELFAENGER (1904 Lwów – 1990 Warszawa, pochow. Londyn). Pochodził z rodziny żydowskiej, zasymilowanej i patriotycznej. Prawnik, adwokat. Przedstawiali postacie lwowskich batiarów, plebejskich bohaterów o złotych sercach, od 1933 w cyklicznych audycjach „Wesołej Lwowskiej Fali”, posługiwali się gwara, uosabiającą folklor Lwowa. Po wybuchu II wojny opuścili Polskę, byli filarami Czołówki Teatralnej nr 1 Wojska Polskiego „Lwowska Fala”, która towarzyszyła polskim żołnierzom z muzyką i piosenką w Rumunii, Włoszech, Francji i Wlk. Brytanii. Po wojnie osiedli i przez lata występowali w środowisku polskim w Londynie.

ANDRZEJ CHCIUK (1920 Drohobycz – 1978 Melbourne). Poeta, prozaik, krytyk literacki. W czasie wojny w WP we Francji, niewola niemiecka, ucieczka do partyzantki francuskiej. Po wojnie dziennikarz w prasie polskiej i francuskiej. Od 1951 w Australii. Pisał nostalgiczne opowieści wspomnieniowe o Lwowie i Kresach – *Atlantyda*, *Opowieść o Wielkim Księstwie Bałaku*, *Ziemia Księżycowa*, wydawane za granicą, a w Polsce po 1989.



J. Polonus

Cios nożem w plecy

17 września 1939 roku

17 września 1939 roku Związek Sowiecki dokonał agresji na Polskę, która od 1 września stawiała opór oddziałom niemieckim. Wypełniając porozumienie Ribbentrop-Mołotowa z 23 sierpnia 1939 roku, na tereny Rzeczypospolitej wkroczyło milion uważanych żołnierzy. Uderzenie ze wschodu uważane jest przez wielu jako wbicie noża w plecy Rzeczypospolitej. Po 17 września legły w gruzach wszelkie plany organizowania oporu na Polesiu czy Przedmościu Rumuńskim, tym samym dokonano się IV rozbiór Polski. Obaj okupanci podzielili się po połowie polskim terytorium, rozpętlając na nich terror i zwalczając wszelkie działania niepodległościowe.

Kilka godzin przed sowiecką agresją na Kreml został wezwany niemiecki ambasador w Moskwie Fredrich Werner von der Schulenburg. – *Stalin przyjął mnie o drugiej w nocy w obecności Mołotowa i Woroszyłowa i oświadczył, że Armia Czerwona przekroczy dziś rano o godzinie szóstej*

granice sowiecką na całej linii od Połocka do Kamieńca Podolskiego. Dla uniknięcia nieporozumień prosił usilnie, aby lotnictwo niemieckie od dzisiaj nie przekraczało na wschód linii Białystok–Brześć–Lwów. Samoloty sowieckie rozpoczną dzisiaj bombardowanie terenów na wschód od Lwowa – wspominał ambasador III Rzeszy.

Tuż po opuszczeniu przez niego budynku o godzinie 2.15 zawiadomiono polskiego ambasadora w Moskwie Wacława Grzybowskiego. – *Byłem przygotowany na złe wiadomości. Myślałem, że Sowiety, pod jakimkolwiek pretekstem, wymówią pakt o nieagresji. To, co miało nastąpić, było dużo gorsze – zapamiętał Grzybowski. Agresji dokonano bowiem bez wypowiedzenia wojny, ambasadorowi przekazano dokument, w którym stwierdzono: Warszawa jako stolica Polski już nie istnieje (...). Państwo polskie i jego rząd praktycznie przestały istnieć (...) rząd sowiecki polecił (...) wojsku przekroczyć granicę i wziąć pod swoją opiekę życie i ludność Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.*

Ambasador Grzybowski nie przyjął tej noty odpowiadając, że *suwerenność państwa istnieje, dopóki żołnierze armii regularnej biją się. Jednocześnie oświadczył: Rozumiem, że mam obowiązek zawiadomić mój rząd o agresji, która prawdopodobnie już się rozpoczęła, ale nie zrobię niczego więcej. Wszelako mam jeszcze nadzieję, że wasz rząd nie wprowadzi Armii Czerwonej do Polski i nie ugodzi nas w plecy w chwili, gdy prowadzimy walkę z Niemcami.* Sowieci usiłowali przekonać ambasadora, że zapewne nie zdaje sobie sprawy, w jak beznadziejnej sytuacji militarnej znajduje się Polska. Na tę kwestię Grzybowski odrzekł: *Najbardziej nawet pesymistyczne raporty attaches wojskowych nie mają mocy unieważnienia międzynarodowych traktatów.* Przypomniał również rok 1812, kiedy to wojska francuskie zajęły nawet Moskwę, a przecież nikt nie uznał tego za koniec istnienia państwa rosyjskiego.

Tymczasem już o świcie – mimo kapitulancjki dyrektywy naczelnego wodza marszałka Rydza-Smigłego, aby z wojskami sowieckimi nie walczyć – zacięty opór najeźdźcy stawiały poszczególne oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza broniąc honoru polskiego żołnierza. To właśnie żołnierze i oficerowie KOP-u stali się pierwszymi ofiarami bolszewickiego bestialstwa.



Niniejszy artykuł zapożyczony z czasopisma „Źródło”.

Z MYŚLĄ O 70. ROCZNICY NAJKRWAWSZEJ NIEDZIELI

Feliks Budzisz

Stało się już tradycją, że 11 lipca, w rocznicę największego nasilenia mordów ludności polskiej na Wołyniu w 1943 r., w środowiskach z kresowym rodowodem są organizowane żałobne uroczystości i nabożeństwa w intencji pomordowanych Polaków i poległych żołnierzy samoobrony, którzy w nierównych, desperackich walkach bronili ludności przed zagładą. Dzień 11 lipca, nazywany Dniem Pamięci Męczeństwa Kresów, gromadzi nie tylko Kresowian na żałobnych uroczystościach, uczestniczą w nich również ci, którym nie są obojętne losy Rodaków z Kresów. Zbrodni ludobójstwa na ludności polskiej dokonała na Ziemiach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i jej formacje: tzw. Ukraińska Powstańcza Armia (UPA), służba bezpieczeństwa (SB) oraz miejscowi rezuni z tzw. *samoobronnych kuszczowych widditów* (SKW).

Tylko na Wołyniu i południowym Polesiu formacje te w latach 1943–44 wymordowały około 60 tys. ludności polskiej, głównie dzieci, kobiet i starców. W 1944 r. rzezie objęły następne województwa: tarnopolskie, stanisławowskie i lwowskie oraz wschodnie powiaty Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny.

Polskie władze podziemne, jak i miejscowa ludność, liczyły początkowo, że katastrofie można zapobiec albo ją przynajmniej odwlec drogą negocjacji z OUN-UPA, ale liczne próby rozmów na różnych szczeblach dramatycznie zawiodły. Wysłani z Kowla przez Delegata Rządu, Kazimierza Banacha, parlamentariusze Zygmunt Rumel, komendant BCh na Wołyn, i jego oficer do zleceń specjalnych Krzysztof Markiewicz, wraz z przewodnikiem Witoldem Dobrowolskim, zostali zamordowani 10 lipca 1943 r. przez rozerwanie kołmi.

W latach 1943–44 nie znajdzie się na Wołyniu dnia, w którym OUN-UPA-SB-SKW nie dokonałyby mordów na bezbronnej ludności, a były dni, kiedy zamordowały tysiące. Tak było 10, 11, 12, 13 lipca czy w kilku dniach pod koniec sierpnia.

Na 11 lipca, niedzielę, przypada APO-GEUM ZBRODNI. Była to NAJKRWAWSZA NIEDZIELA w naszej historii. Pod względem zasięgu terytorialnego, liczby ofiar i barbarzyństwa oprawców – zbrodnie dokonane w tę niedzielę przewyższają wszystkie inne dokonane kiedykolwiek na ludności polskiej w ciągu jednego dnia.

W 167 miejscowościach Wołynia, w powiatach włodzimierskim, horochowskim, kowelskim i innych, w tę niedzielę i sąsiednich dniach najbardziej wyrafinowanymi sposobami zamordowano wiele tysięcy osób. W kilku wołyńskich kościołach OUN-UPA-SB-SKW zabiły blisko tysiąc wiernych, nie oszczędzając księży przy ołtarzach. W kościele w Porycku podczas mszy upowcy obrzucili granatami wiernych i otworzyli do nich ogień z broni ręcznej i maszynowej. Rannych dobijali strzałami w głowę. Zabili ponad 220 osób. Ksiądz Bolesław Szawłowski, odprowadzający mszę, został dwukrotnie ranny, schronił się u miejscowego popa, ale po kilku dniach został zamordowany przez banderowców. Podpalony przez nich kościół ugasiła ulewa.

W kościele w Kisielinie wierni podjęli desperacką obronę, dzięki której część z nich ocalała, wśród nich ranny ojciec kompozytora Krzesimira Dębskiego. Zabito 90 osób. W kaplicy w Krymnie upowcy z miejscowymi rezunami zamordowali 40 osób, w Zabłocach około 150 i ks. Józefa Aleksandrowicza. Opis mordu w kaplicy w Chrynowie przekazał Zygmunt Abramowski, mieszkaniec Chrynowa:

W kaplicy było około 200 osób, przeważnie kobiety i dzieci. Po podniesieniu zauważyłem, stojąc obok drzwi, podejrzany ruch. Zobaczyłem, że kilku banderowców ustawiło ręczny karabin maszynowy typu diechtariewa. Zaczęli strzelać do ludzi seriami i z ręcznych karabinów, rzucili również dwa granaty, które nie wybuchły. Schowałem się z kolegą za grube drzwi kaplicy. W świątyni wybuchł popłoch i krzyk rannych. Ludzie zaczęli uciekać drzwiami bocznymi obok zakrystii i chóru. Kaplica jednak otoczona była szczelnie i bez przerwy rozlegały się strzały. W świątyni, gęsto ostrzeliwanej z rkm-u i broni pojedynczej, trwał krzyk i rozdzierający uszy pisk dzieci. Zamordowano około 150 osób.

W tę najkrwawszą niedzielę banderowcy wymordowali ludność polską wielu wsi.

W Dominopolu zabili 250 osób, ocalało za-
ledwie kilka, które dopadli w innych miejsco-
wościach. W Orzeszynie zabili ponad 300.
Mord w Gucinie opisał Józef Murmanowski,
były mieszkaniec tej wsi:

*Była to niedziela, 11 lipca 1943, oko-
ło godz. 8. Padał drobny deszcz. Kolonię
Gucin koło Myszkowa, pow. włodzimierski,
otoczyli upowcy i zaczęli wyganiać jej miesz-
kańców z domów, pędząc do środka koloni-
i, gdzie stała stara nieużywana kuźnia.
Kto się ociągał i nie chciał iść, był bity lub
rąbany siekierą. Ponieważ kolonia składa-
ła się z trzech ulic, to na drugiej ludność
została spędzona do stodoły, a na trzeciej
mieszkały tylko dwie rodziny Polaków, to ich
postrzelano w mieszkaniach. Po spędzeniu
wszystkich do kuźni i stodoły oblano budyn-
ki benzyną i podpalono. Kiedy dym zaczął
dusić, ludzie zaczęli uciekać. Wtedy z usta-
wionego karabinu maszynowego strzelano
do uciekających i palących się budynków.
Ogółem w Gucinie zginęło z rąk banderow-
ców 140 osób.*

O masowym mordzie w Teresinie wspo-
mina Marian Świstowski: ... do Teresina
o świącie przyjechała banda UPA i zamor-
dowała 80 osób. Z naszej bliskiej i dalszej
rodziny – 18 osób, między innymi zamor-
dowali moją babcię Amelię, jej męża Jana
i ciocię Kazimierę, obu wujów: Stanisława
Umańskiego i Michała Bojko, nie przepuścili
nawet dwuletnim Krysi i Tamarce.

Przerażająco długa jest lista miejsco-
wości, gdzie tej niedzieli dokonano po-
twornych, masowych zbrodni na ludności
polskiej. Kto ocalał, starał się dotrzeć do
bezpieczniejszych miejsc, klucząc głównie
nocą po zbożach, lasach, bezdrożach. W po-
wiecie włodzimierskim większość uciekają-
cych kierowała się do Włodzimierza, gdzie
był silny garnizon niemiecki, dający pewne
bezpieczeństwo uciekinierom. Co tam się
działo, wspomina komandor Józef Czerwiń-
ski, wówczas piętnastolatek:

*W nocy 11 lipca wokół Włodzimierza
stały łuny. Od rana miasto zaczęło zapeł-
niać się uciekinierami, którzy cudem unik-
nęli śmierci. Zrozpaczeni ludzie, niekiedy
ranni lub okaleczeni, opowiadali o faktach
niestychanego bestialstwa nacjonalistycz-
nych bandytów.*

Ucieczka do Generalnego Gubernator-
stwa była niezwykle utrudniona, gdyż granicy

Mariusz Olbromski

Niedokończone msze

W ruinach świątyń – Koloseum ciszy,
bo któż jeszcze dojrzy i któż usłyszy
tych, co klęczeli tam wobec Miłości –
tak rozmodlonych przed ołtarzem,
tych strzelających im zniecka w plecy,
bijących siekierami, widłami na oslepi.

Głucho w świątyniach tych, ciągle wilgotno,
gdzie wielki łopian latem chroni piski myszy,
gdzie każdy kamień skamieniał ponownie
widząc – tu serca uniesione – tam buchające
ogniem nienawiści – i sceny –
które przerosły piekło dantejskie...

Nie wszystko – cząstkę prawdy ten pochwyli,
kto w ciszy chwilę jedną choć przykłąnie.
Któż pojmie i ogarnie msze niedokończone,
które wciąż trwają – w niebie – święte –
Rosną na nowo w strumieniu modlitwy –

* *

Duszom Męczenników daj pokój, Panie,
a żywym – jak wołał Papież Słowianin –
daj całą prawdę, i – pojednanie.

na Bugu strzegł Grenzschutz. Przekroczyć
ją można było tylko za solidną łapówkę, naj-
skuteczniej w złocie. Zresztą samo dotarcie
do Bugu było wręcz niemożliwe ze względu
na liczne patrole UPA i miejscowych rezu-
nów, którzy polowali na uciekinierów. Ocalała
ludność powiatu horochowskiego uciekała
na południe do miasteczek województwa
lwowskiego, gdzie masowe rzezie rozpo-
częły się w 1944 r.

Zajadłe ściganie uciekających z pozo-
gi i jeszcze okrutniejsze ich mordy zadają
kłam twierdzeniu ounowskich historyków,
również w Polsce, że celem OUN-UPA było
tylko wypędzenie ludności polskiej z tere-
nów traktowanych przez banderowców jako
tereny etnicznie ukraińskie. Jej celem było
fizyczne wyniszczenie obecności polskiej,
by nigdy już tam nie powróciła.

Po masowych lipcowych rzeziach nie
było komu grzebać pomordowanych, któ-
rzy leżeli w domach, obejściach, ogrodach,
polach, lasach na skwarze przez wiele dni.
Straszny widok ukazał się naszym oczom

– relacjonował naoczny świadek. – *W łóżkach, bo działa się to w nocy, pełno trupów, wszystko we krwi – ściany, podłogi, pościel. W oknach i drzwiach dzieci ponabijane na widły, łopaty, kosy.*

Inny naoczny świadek, wysłany samochodem z niemiecką obstawą do wsi po zboże na chleb dla głodujących we Włodzimierzu uciekinierów, ujrzał wstrząsający widok rozkładających się ciał, nad którymi krążyły wrony i unosiły się chmury much. Przerażeni strasznym widokiem i trupim odorem, również niemieccy żołnierze, wrócili z niczym, bez zwłoki, do garnizonu.

Na Wołyniu w apokaliptycznym 1943 r., a w następnym na całych Kresach Południowo-Wschodnich nie było wsi, w której ludność polska, pozbawiona zbrojnej osłony, pozostałaby przy życiu. W miastach i miasteczkach ochronę zapewniały – nie zawsze skuteczną – niemieckie i węgierskie garnizony. Na wsiach ludność polską ochraniały sa-

moobrona i oddziały AK, na Lubelszczyźnie również BCh. Rzezie na Wołyniu i południowym Polesiu trwały z różnym natężeniem do wkroczenia tam Armii Czerwonej, w Małopolsce Wschodniej i wschodnich powiatach Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny mordy o znacznie mniejszym natężeniu miały miejsce do połowy 1947 r.

Liczne prace naukowe, oparte głównie na relacjach świadków eksterminacji, świadczą, że była ona przygotowywana ideologicznie i propagandowo przez wiele lat oraz realizowana z dużym organizacyjnym zaangażowaniem wszystkich szczebli OUN-UPA-SB, od najwyższych do najniższych, terenowych. To przywódcy i dowódcy tych formacji, wywodzący się z inteligencji ukraińskiej, głównie galicyjskiej, są odpowiedzialni za ludobójstwo ludności polskiej, mordy na własnej – ukraińskiej, a także Żydach, Rosjanach, Czechach.

Ponad 250 tys. zbrodniarzy, również z dywizji SS „Galizien” i innych militarnych i paramilitarnych formacji, będących na usługach Niemiec hitlerowskich, uciekło na Zachód i wielu z nich żyje tam w całkowitej bezkarności. W USA uniknął kary główny ideolog i organizator ludobójstwa na Kresach Mykoła Łebed „Ruban”, zastępca S. Bandery, sponsorowany przez tamtejsze władze jako działacz kultury (!). Pośmiertnie doczekał się skandalicznego paragiryku w „Przeglądzie Historycznym” paryskiej „Kultury”, autorstwa B. Osadczyka, który z kolei został wyróżniony (za co ?) najwyższymi polskimi odznaczeniami (!).

Warto również wiedzieć, że pierwsze pomniki ludobójców stanęły w USA: R. Szuchewycza w Buffalo (1968), S. Bandery w Nowym Jorku (1983) i co trzeba mocno podkreślić: przy milczeniu Polonii, chociaż wówczas wiadano i tam, że honorowani pomnikami są winni ludobójstwa na ludności polskiej. Postawienie pomników na pewno wymagało odpowiednich uzasadnień. Ciekawe, jakimi kryminalnymi łgarstwami uzasadniono zasługi ludobójców, okłamując władze municypalne, a może i stanowe? Warto też wiedzieć, że pod naciskiem ounowskiej diaspory ukraińskiej w USA i Kanadzie E. Moskal, prezes Polonii amerykańskiej, zakazał polonijnej prasie poruszania tematu eksterminacji ludności polskiej przez OUN-UPA.

Mariusz Olbromski

Róża i kamień

Wszystko, co ujrzałem, nie pozwala milczeć: wniebogłosy rapsod trwający w przestrzeni, te setki świątyń, ongiś świetnych, dziś w ruinie. Pałace, dwory trądem zniszczeń tknięte; Po wsiach i głosach drży jeszcze powietrze, ponad bodiakiem, łoboda, pustynną równiną.

Róża się złączy z kamieniem, gdy sercem obejmiesz nie stary kamień tylko, choć cenny, lecz płomień, który go kształtem czynu obwieścił i w pokolenia – dalej – lotem wciąż przechodził, językiem wieścił, dźwięczał i szeleścił. Róża jest bowiem trwalsza od kamienia.

Bo wszystko jednak przez nią pozostanie, choćby trwał tylko popiół i psy wierne.

Bo może w tym są mosty ponad snami, że gdyby tamci nagle znowu wstali z tych tysięcy zniszczonych cmentarzy i z tych tysięcy bezimiennych mogił opuszczonych, mogli nas jeszcze zrozumieć – choć w innym czasie – i zmienionych.

Trwanie to ciągła podróż z różą przez sen – i zachwycenie – i śpiewanie –

W warunkach bezkarności wokół ludobójstwa na Kresach narosło na Zachodzie i na Ukrainie wiele propagandowych kłamstw. Banderowscy „pamiętnikarze”, wśród nich wspomniany „Ruban”, stworzyli obszerną, wielojęzyczną literaturę, w której wybielają, nobilitują i heroizują zbrodniarzy, przerzucając winę z oprawcy na ofiarę. Pomagają im w tych oskarżeniach apologetyci OUN-UPA i w Polsce. Skandalem jest np. książka R. Drozda pod wymownym tytułem „UPA”, gloryfikująca tę zbrodniczą formację i szkalująca polskiego żołnierza.

Wyjątkowo naganny jest kult OUN-UPA, którego wyrazem są między innymi liczne pomniki i tablice chwwały, fundowane na Zachodniej Ukrainie, ale również w Polsce na terenach zroszonych krwią Ofiar tej formacji. Mamy więc i u nas sytuację nienormalną, niemal surrealistyczną, bo owe pomniki postawiono bez zezwolenia polskich władz i wbrew zdecydowanej opinii społeczności lokalnych. Sytuacja przypomina gloryfikację mordercy w domu ofiary. Taka etyczna degrengolada ma swoje główne źródło w linii ideologicznej „Gazety Wyborczej” i jej podobnych pism, zwłaszcza „Naszego Słowa”.

Ta pierwsza swego czasu zbulwersowała Kresowian tezą, że *UPA to cześć i duma Ukrainy*, a kto jest innego zdania, ten ma coś wspólnego z KGB! A więc kilka milionów Polaków z kresowym rodowodem – to agenci tej przestępczej organizacji. W taki sposób „GW” potraktowała Kresowian, którzy przeszli przez piekło banderowskiego terroru, zostawiając na Kresach groby najbliższych i cały swój wielopokoleniowy dorobek. A już trudno inaczej nazwać jak niegodziwością wobec Ofiar OUN-UPA przemilczanie ludobójstwa i eksponowanie wyolbrzymionych albo urojonych krzywd Ukraińców, na przykład na uroczystości w Pawłokomie czy któryś z kolei raz w rocznicę operacji „Wisła”. Taka postawa naszych elit wobec największej tragedii własnego Narodu i niewyobrażalnych krzywd, jakich doznał ze strony OUN-UPA w latach wojny i okupacji, a również w pierwszych latach powojennych, musi rodzić u Kresowian rozgoryczenie i uzasadnione przekonanie, że są dyskryminowani jak żadna społeczność w Polsce.

Rażącym przykładem takiej dyskryminacji była chociażby odmowa zajęcia się przez byłych rzeczników praw obywatelskich

ofiarami OUN-UPA, które w banderowskich, krwawych pogromach zostały ciężko ranne czy doznały silnych traum psychicznych, utrudniających całe późniejsze życie. Przejście przez krwawy banderowski terror, nawet w bazach samoobronnych, miało nieraz podobnie traumatyczny wpływ na zdrowie jak pobyt w okupacyjnych miejscach odosobnienia.

Krzywdą, w odczuciu Kresowian, jest lekceważenie i obstrukcja ich prawa do rekompensat za mienie pozostawione na Kresach. Upokarzają ich władze stołeczne nie zezwalając na postawienie Pomnika Ofiar OUN-UPA w stolicy – pomordowanych, którzy kochali ją i marzyli, by ją kiedyś zobaczyć. Kochali ją może bardziej niż ci, co złożyli podpisy na liście protestu przeciwko pomnikowi. Jest wyjście z sytuacji: sygnatariusze tej niechlubnej listy powinni wystąpić do władz stołecznych z prośbą o realizację nowej wersji pomnika autorstwa wybitnego artysty prof. M. Koniecznego, która czeka już kilku lat. **Przywracanie historycznej pamięci o kresowej tragedii ludności polskiej jest świętym, patriotycznym obowiązkiem również władz stolicy.**

Niektórzy ounofilscy historycy i publicyści, również w Polsce, mają Kresowianom za złe, że mówią i piszą o swoich tragicznych losach, przeżyciach podczas banderowskiego ludobójstwa, nazywają ich szowinistami, ukraiñożercami, uniemożliwiającymi polsko-ukraińskie porozumienie i przyjaźń. Jest to stanowisko wysoce amoralne, prymitywnie pokrętnie – choćby wobec obłądnego kultu OUN-UPA. Niedoszłe Ofiary tej ludobójczej formacji mają nie tylko prawo, ale i moralny obowiązek pamiętać i mówić ku przestrodze o swoich tragicznych, kresowych losach, o bestialsko pomordowanych rodzicach, rodzeństwie, sąsiadach, znajomych. Nasi politycy i publicyści obrażają się na Prezydenta USA, i słusznie, że nazywa obóz w Auschwitz polskim obozem, ale sami popełniają rażące, kompromitujące błędy, np. „Rzeczpospolita” z 31 V br. pisze, że 11 lipca 1943 r. OUN-UPA dopiero rozpoczęła rzeź ludności polskiej. Tego dnia, w niedzielę, było ich największe nasilenie, **apogeum zbrodni**, a nie początek.

Nasz Parlament uczcił pamięć i złożył należyty hołd Ofiarom Katyńskim, Ofiarom Holokaustu, więźniom obozów koncentracyj-

Mariusz Olbromski

Ballada wołyńska

Drogi mój ukochany boję się nie wiem
czy jesteś wśród kaczeńców jaskrów
tak na kawałki tutaj wtedy posiekany.

Piękna ma ukochana wszakże jestem
wciąż mnie olśniewasz choć minęły lata,
jak wtedy gdy szliśmy przez brzeźniak,
obok czeremchy stały w stroju białym
zapadał zmierzch i wilgi śpiewały

Znów piękno słyszę, nadal widzę ciebie,
nasze wesele pod lipami. Grała kapela...
Pamiętasz bociek na strzesze klekotał
i rojne gwiazdy nocą nad nią drżały?

Czemu rwiesz kwiaty znowu z prochu mego
na tym ugorze, gdzie stał dom błękitny
i nasza wieś serdeczna, kwitły wokół sady?

Muszę już jechać miły bo autobus czeka.
Ta chwila – dawne szczęście – znowu
rozkwitła nagle dziwnie między nami...
Niech polny zapach chociaż pozostanie...

Stara kobieta błądzi z trudem w polu,
z laską, zgarbiona, płaszcz ortalionowy.
„Hej, proszę pani! Pora już nam wracać!
Kwiatki znów zbiera i nie słyszy wcale?”
Silnik się grzeje, klakson się odzywa.
Już czas wyruszać w dalszą drogę.

nych i łągów, wszystkim Ofiarom zbrodni wojennych i okupacyjnych, a nawet Ofiarom Wielkiego Głodu na Ukrainie. Tylko Ofiary banderowskiego ludobójstwa musiały długo czekać na stanowisko Sejmu. Dopiero pod desperackim już naciskiem organizacji kresowych Sejm przyjął 11 lipca 2009 r. eufemistyczną uchwałę używając określenia „znamiona ludobójstwa” zamiast – „ludobójstwa okrutnego (genocidium atrox)”, jakim eksterminacja w istocie była. Ważne jednak w uchwale sejmowej, poprzedzonej uchwałą Sejmiku Dolnośląskiego z 30 IX 2008 – było złożenie hołdu Ofiarom UPA i kresowym Samoobronom oraz oddziałom AK i BCh, które w dramatycznych bitwach obroniły przed zagładą tysiące polskiej ludności. Uchwała zobowiązała wszystkie władze publiczne do

przywrócenia historycznej pamięci o kresowej tragedii ludności polskiej. Uchwała ta, mimo że została wsparta podobnymi uchwałami sejmików: Opolskiego (27 X 2009), Podkarpackiego (28 XII 2009), Lubuskiego (23 II 2010), Lubelskiego (7 XII 2010), Małopolskiego (27 IX 2010), Mazowieckiego (11 VII 2011) – pozostaje uchwałą martwą. Jej realizacja natrafia na niezrozumiały opór ze strony elit samorządowych i rządowych, zwłaszcza w szkolnictwie i w większości mediów. Tymczasem media nagłaśniają jako wielką krzywdę przesiedlenie (wymuszone przez terror OUN-UPA) ludności z wypalonych Bieszczadów na tereny o wysokim standardzie cywilizacyjnym. Właśnie ta akcja przesiedleńcza położyła kres dalszemu rozlewowi krwi, rozpętanemu przez OUN-UPA już w 1942 r., pozbawiając banderowców bazy aprowizacyjnej, kwaterunkowej, rekrutacyjnej, informacyjnej. Mając wymuszone terrorem wsparcie u miejscowej ludności, zdesperowani banderowcy, w obawie przed karą za zbrodnie, trzymaliby się tam jeszcze wiele lat mordując nieprzychylną im ludność, paląc jej obejścia. Upowiec Omelan Płeczeń przesiedział w bieszczadzkim bunkrze 9 lat, co uwiecznił we wspomnieniach, ale o tym milczą ounofilscy historycy i publicyści.

Żywimy nadzieję, że przed 70. rocznicą banderowskiego ludobójstwa pozostałe sejmiki podejmą odpowiednie uchwały, w których uczczą pamięć Ofiar OUN-UPA i złożą hołd bohaterskim Kresowym Samoobronom oraz oddziałom AK i BCh, które w desperackich walkach obroniły przed całkowitą zagładą setki tysięcy polskiej ludności, że w obchody tej tragicznej rocznicy włączą się władze państwowe i samorządowe. Mamy głęboką nadzieję, że tym razem władze stołeczne poważnie i ze zrozumieniem potraktują sprawę Pomnika Ofiar OUN-UPA i uroczyste centralne obchody 70. rocznicy banderowskiego ludobójstwa odbędą się przy tym pomniku z udziałem najwyższych władz. Spodziewamy się, że nasz parlament ustanowi 11 lipca Dniem Pamięci Męczeństwa Kresowian, co obiecał Kresowianom prezydent Bronisław Komorowski, a dewizą żałobnych obchodów tej tragicznej rocznicy będą słowa: ***Prawda jest fundamentem, na którym może powstać autentyczna przyjaźń i rozumienie w tej części świata.***
Mortui viventes obligant!

Danuta Idziak z Zienkiewiczów

WOŁYŃSKI EPIZOD

Relację spisała Elżbieta Wierzchowska-Wójcik

Był 11 lipca 1943 roku. W słońcu drogą toczyła się furmanka ciągniona przez dwa młode koniki. Wóz, jak nakazywał świąteczny obyczaj, wymoszczony był tkanymi w domach kolorowymi kilimkami. Obok powożącego koźmi Józefa zajęła miejsce odświętnie ubrana, w kapeluszu na głowie, jego żona Zofia. Córki: 15-letnia Regina i 11-letnia Danuta siedziały obok rodziców. Była niedziela i rodzina Zienkiewiczów jechała na mszę świętą do kościoła parafialnego w Kisielinie, oddalonego od domu o 7 kilometrów.

* * *

Na Wołyniu czas był bardzo niespokojny. Od wiosny Polacy nie czuli się tu bezpiecznie. Dotąd w zgodzie żyli z pozostałymi nacjami zamieszkującymi te tereny. Józef ożenił się i wraz z żoną Zofią z Ozimków zamieszkał w domu swoich rodziców w miasteczku Oździutycze w powiecie horochowskim. W latach 1932–1934 był wójtem Oździutycz. Gdy o dwie córki powiększyła się jego rodzina, kupił pod gospodarstwo grunty położone na obrzeżach miasteczka, zwane Korczunkiem (Karczunkiem?). Gospodarstwo, malowniczo położone pod lasem, dawało utrzymanie rodzinie. Miasteczko zamieszkiwali Polacy o typowo polskich nazwiskach, przykładem Różańscy, Łozińscy, Kraszewscy, prócz tego spora liczba Żydów i Ukraińcy. Żyła tu niewielka grupa ukraińskiej inteligencji i sporo rodzin ukraińskiej skrajnej biedoty. Poczta w miasteczku była prowadzona przez Polaków, szkołę też prowadził polski nauczyciel nazwiskiem Kusal. Miał córkę Danusię, która przyjaźniła się z Regimą Zienkiewiczówną.

Od jakiegoś czasu do Reginy przychodził młody Ukrainiec Saszka Szubal. Deklamował jej wiersze Tarasa Szewczenki i opowiadał o wspaniałych perspektywach

Ukrainy. Był zdeklarowanym nacionalistą i należał do Ukraińskiej Powstańczej Armii. Ostrzegał Reginę o niebezpieczeństwie, które miało rychło zagrozić egzystencji Polaków na Wołyniu. Polacy mieli być zlikwidowani, a Ukraina miała mieć status *samostijnego* (niepodległego) kraju – tylko dla Ukraińców. Regina przekazała ostrzeżenie Saszki rodzicom. Wskutek tego ostrzeżenia i wieści rozchodzących się po okolicy o mordowaniu Polaków, rodzina Zienkiewiczów zaczęła nocować w pobliskim lesie. Znajdowało się tam miejsce w kształcie dużego leja, dogodne do ukrycia ludzi, w którym można było bezpiecznie doczekać ranka. Ukraińcy mordowali po wsiach głównie w nocy. W lesie rodzina musiała zachowywać ciszę, ponieważ w okolicy kręciły się banderowskie (bulbowskie) bandy. Wraz z Zienkiewiczami ukrywała się siostra Józefa – Zofia Różańska ze swoją córką Ireną. Ciotkę Zofię męczył wówczas kaszel. Aby nie zdradzić kaszlem kryjówki, miała ze sobą masło, którym likwidowała kasłanie. Którejś nocy dość blisko przechodziła ukraińska sotnia. Było słychać, jak szli. Ciotka Różańska w porę wzięła w usta bryłkę masła i załagodziła w wypróbowany sposób napad kaszlu. Rodzina była uratowana.

* * *

Wóz toczył się spokojnie w kierunku Kisielina. Ciągnęły go dwa młode koniki – Wicher i Iskra. Rodzina Zienkiewiczów dojeżdżała do miejsca, gdzie droga rozwidła się na dwa kierunki: do Kisielina i do Swojczowa. I wtedy koniki czymś zaniepokojone, stanęły. Zaczęły szarpać uprzęż, prychać, czegoś się bały. Józef zaczął je popędzać, ale za nic nie chciały iść w kierunku Kisielina. Żał mu było użyć bata, zwłaszcza na młodzieńką Iskrę, więc pozwolił koniom skręcić na Swojczów – przecież tam też był kościół...

Podczas gdy czujne koniki wiozły rodzinę Zienkiewiczów do Swojczowa zamiast do Kisielina, w kisielińskim kościele działały się dantejskie sceny. *Najpierw przed kościołem pojawili się banderowcy i na placu przed wejściem wymordowali Polaków zdążających na mszę. Reszta wiernych zaryglowała się w kościele ufając, że bandyci nie poważą się mordować w poświęconym miejscu. Ukraińcy zaczęli się jednak dobijać do drzwi*

i namawiać Polaków do wyjścia, bo jakoby do nich nic nie mają. Zdezorientowani ludzie otworzyli drzwi i rzeź rozpoczęła się na nowo. Ukraińcy zabijali Polaków w ulubiony przez siebie sposób – siekierami, widłami, nożami, czasami strzelając. Duża część wiernych schroniła się z księdzem w solidnie wymurowanej plebanii. Tam ludzie zaryglowali się i rozpoczęli obronę, trwającą wiele godzin. Lali mocz (nie było wody) na oblane benzyną i palące się drzwi plebanii, odrzucali z powrotem nierozzerwane granaty napastników. Jednym z obrońców był ojciec słynnego kompozytora Krzesimira Dębskiego – Sławosz. W obronie plebanii stracił nogę. Ukraińcy ostatecznie zrezygnowali z oblężenia i o północy odступili (powyższy opis Danusia zna dziś z Internetu).

Tej niedzieli bandy UPA zorganizowały masową akcję w celu wymordowania jak największej liczby Polaków. Do tego celu wybrali kościoły Wołynia. Jadąca na mszę rodzina Zienkiewiczów o tym nie wiedziała. I gdyby nie koniki...

Od strony Swojczowa, odległego od Oździutycz o 15 kilometrów, uciekały furmanki z ludźmi wystraszonymi łunami pożarów i pogromami. W swojczowskim kościele banderowcy również dokonali rzezi na Polakach. Zienkiewiczowie w powrotnej drodze do domu słyszeli w okolicy krzyki i lamenty poszkodowanych oraz jęki rannych. W oddali widzieli łuny pożarów. To płonąła polska wioska zwana Kolonią Rudnią.

* * *

Wielki strach padł na pozostałych przy życiu Polaków. Ukraińskie bandy odgrażały się dalszymi rzeziami. Józef już od pewnego czasu liczył się z koniecznością opuszczenia domu i miał przygotowane najpotrzebniejsze rzeczy do zabrania. Kiedy więc rodzina wróciła tej tragicznej niedzieli do domu, nie było czasu do stracenia. Zienkiewiczowie zabrali tobołki, załadowali je na furmankę, przywiązali do niej krowę o imieniu Raba i przy pomocy swoich dzielnych koników udali się w kierunku najbliższej stacji kolejowej Wojnica, oddalanej od Oździutycz o 7 kilometrów.

Nie byli sami. Drogą ciągnął sznur wozów. Wraz z nimi uciekały przed zagładą inne polskie rodziny z Oździutycz i okolicy. Uciekała też ciotka Różańska z córką.

Jej mąż Stanisław był przed wojną prezesem Cechu Rzemiosł Różnych i prowadził również własną kuźnię w Oździutyczach. Wiedział, co mu grozi ze strony Niemców, gdyby się wydało, że miał stanowisko prezesa, więc na początku wojny uciekł wraz z kuzynem przez zieloną granicę do Zamościa w Generalnej Guberni i na zasadzie *pod latarnią najciemniej* – zatrudnił się na kolei, gdzie został maszynistą. Żonę i córkę zostawił pod opieką szwagra Józefa. Teraz jego bliscy uciekali, starając się trzymać blisko Zienkiewiczów. I tak będzie do końca ich wspólnej wędrówki.

Nie była to jednak spokojna podróż. Co jakiś czas na uciekinierów napadały ukraińskie bandy. Ludzie próbowali się bronić, ale nie bardzo mieli czym. W Wojnicy czekało ich rozczarowanie. Żaden pociąg nie jechał do zbawczego Włodzimierza Wołyńskiego. A Polacy mogli czuć się bezpiecznie tylko w większych miastach Wołynia, ponieważ stacjonowały w nich na ogół duże ilości wojska, policji i innych tego typu formacji niemieckich. Ukraińcy zazwyczaj nie pozwalali sobie na napady w ich obecności.

* * *

Mijały godziny w Wojnicy. Nadszedł wieczór. Wózów przybywało, cały plac przy stacji zapelniali uciekinierzy. Było coraz niebezpieczniej. Bano się, że ukraińskie bandy mogą otoczyć stację i wymordować ludzi. Najbardziej bano się o dzieci. Dorośli mogli w jakiś sposób próbować się bronić, ale z dziećmi sytuacja była beznadziejna.

Na stacji był mały odwach niemiecki, który dysponował samochodem ciężarowym. Po naradzie z Niemcami zdecydowano, że za opłatą ciężarówka zabierze dzieci do Włodzimierza, ale tylko dzieci. Danuta i Regina musiały więc rozstać się z rodzicami. Raniem ulokowano dzieci na pace samochodu – malutkie i te starsze. Samochód z dziećmi i Niemcami odjechał, a wozy z dorosłymi uciekinierami ruszyły w dalszą 30-kilometrową drogę do Włodzimierza. I znów Wicher z Iskrą okazały się pomocne. Szła również całą tę drogę, przywiązana do furmanki, krowa Raba.

W drodze bandy napadały na uciekających, ginęli ludzie. Uciekinierzy nie mieli żadnej eskorty. W terenie niemieckie wojsko bało się banderowców, unikało konfrontacji

z Ukraińcami i nie bronili Polaków. Dlatego przedostanie się do Włodzimierza było walką o życie. I jeszcze ten strach: co się stało z dziećmi, czy dojechały całe?

Tymczasem ciężarówka z dziećmi szczęśliwie przejechała całą trasę. Ukraińscy bandyci bali się zaatakować niemiecki samochód. Niemcy nie dowiedzieli jednak dzieci do samego miasta. Przy wjeździe do Włodzimierza stał most na niewielkim dopływie rzeki Ług. Niemcy wyładowali dzieci przed tym mostem i odjechali do miasta. To było straszne. Dzieci były przerażone i bezbronne. Zostały same! A rodzice w niewiadomym położeniu!

Pod koniec dnia wozy uciekinierów dotarły do mostu. Rodziny odzyskały swoje dzieci – żywe i całe, ale przerażone i głodne.

* * *

Włodzimierz był przepełniony uciekinierami. Z całego powiatu zjechały tu polskie rodziny, chroniąc się przed niechybną śmiercią. Na placach i ulicach stały setki wozów. Ludzie szukali schronienia, miejsca do spania. Do Zienkiewiczów podeszła młoda Ukrainka i zaproponowała im miejsce do wynajęcia w swoim mieszkaniu. Z początku nie byli pewni, czy mogą jej zaufać, ale okazało się, że jest ona kochanką miejscowego Niemca, więc przystali na tę propozycję. Był to tylko kąpiel dla rodziny i pomieszczenie dla koni i krowy, ale nie było wyboru.

Po dwóch tygodniach od wyjazdu z rodzinnych stron Józef dowiedział się, że dokonano mordu na tych Polakach, którzy zostali. Niespokojny o los swoich rodziców i rodziców żony, mimo prób powstrzymania go przez rodzinę, pojechał do Oździutycz sprawdzić, co się z nimi dzieje. Jego ojciec Bronisław i matka Ewelina z Łozińskich byli już w podeszłym wieku, nie chcieli uciekać i zostawiać swego gospodarstwa. Gdy wszyscy uciekali przed pogromem, oni pozostali w miasteczku.

Józef po drodze spotkał znajomego młodego Ukraińca, którego zapytał o matkę i ojca. Ten powiedział mu, że oboje zostali zabici. Zmieszany Ukrainiec dodał, że nie cierpeli, ponieważ zostali straceni z broni palnej. Odradzał stanowczo Józefowi pójście do zagrody rodziców – ostrzegał, że tam wciąż kręca się bandy. Natomiast poszedł z nim na położony na uboczu miasteczka Korczunek i wskazał Józefowi miejsce pogrzebania zamordowanych rodziców Zofii. Wraz z nimi zginęła z rąk oprawców ich 18-letnia wnuczka (sierota) Helena. Pogrzebano ich na zagonie truskawek w ich własnym ogrodzie.

A więc nie przeżyli pogromu wołyńskiego również leciwi rodzice Zofii Zienkiewiczowej – Waleria i Adam Ozimkowie...

Ich historia też warta jest odnotowania.

* * *

Przed pierwszą wojną światową Ozimkowie mieli gospodarstwo w miejscowości Kurgan (Kurhan?) w powiecie horochowskim. W czasie wojny ich dom został doszczętnie

niszczony. Pola zryte głębokimi okopami, trudnymi do zasypania, praktycznie nie nadawały się do użytku. Po wojnie wraz z dziećmi mieszkali w ziemiance i cierpieli okropny głód. W tej sytuacji Adam zdecydował się wyjechać do Ameryki na zarobek. Na obczyźnie był dwa lata, wrócił z pieniędzmi, kupił kawałek pola na Kurganie, postawił dom i założył gospodarstwo.

Ich córka Zofia poznała Józefa Zienkiewicza i wyszła za niego. Gdy po pewnym czasie Józef z Zofią zamieszkali w Oździutyczach na Korczunku, postanowili sprawdzić rodziców Zofii bliżej siebie. Ozimkowie sprzedali więc gospodarstwo na Kurganie i osiedlili się na Korczunku. Odtąd mieszkali w bliskim sąsiedztwie z córką i zięciem.

Nikt z rodziny nie zna ostatnich chwil życia Walerii i Adama Ozimków na Kor-



czynku. Tak więc Regina i Danuta straciły w tym czasie obu dziadków i obie babcie.

* * *

We Włodzimierzu Zienkiewiczowie przebywali aż do stycznia 1944 roku. Utrzymywali się z pracy najemnej i ze zbiorów z opuszczonych okolicznych ogrodów i gospodarstw. Józef dbał o konie, miał pracę. W styczniu trzeba było jednak uciekać z Włodzimierza. Ze wschodu nadciągała Armia Czerwona. Ukraińcy stawali się coraz bardziej hardzi. Teraz nie bali się nawet Niemców. Jednej styczniowej nocy wdarli się do miasta i urządzili rzeź, której ofiarą padło wielu Polaków. Nad ranem rodzina Zienkiewiczów pośpiesznie opuściła mieszkanie zabierając dobytek na furmankę. Znów przyszło im wędrować z pomocą wiernych koników.

Przerażeni szli ulicą, która pokryta była zmasakrowanymi ciałami, wokół krew i przerażające sceny. Danusi wydawało się, że matka specjalnie prowadzi ją tą straszną ulicą, aby to wszystko zobaczyła i zapamiętała. I rzeczywiście... zapamiętała na zawsze.

Kierunek ucieczki był jeden – na zachód. Jak najdalej od ukraińskich rezunów i bolszewików, o których poczynaniach krążyły złowieszcze informacje. Już bardziej znośny jawił się terror niemiecki. Ludzie tysiącami uciekali więc w kierunku Bugu, starając się przekroczyć rzekę i dostać do Generalnej Guberni. Pociągi kursowały, ale były przede wszystkim na użytek wojska niemieckiego, które starało się utrzymać front na Ukrainie. Drogami na zachód wędrowali piesi i ciągnęły wozy konne.

Rodzina Zienkiewiczów po wyjeździe z Włodzimierza skierowała się w stronę mostu na Bugu w miejscowości Uściług. Niemiecka straż nie bardzo panowała nad morzem ludzkim napływającym ze wschodu. Ludzie uciekali często bez dokumentów, tak jak stali, w ostatniej chwili spod siekier bandytów. Trudno było ich nie wpuścić do Generalnej Guberni – byli przecież narodem podbitym przez Hitlera. Po wielu godzinach czekania, strachu i niepewności straż przepuściła rodzinę na lewy brzeg Bugu. Zienkiewiczowie i ich córki byli uratowani.

* * *

Znali cel swojej ucieczki. Razem z ciotką Różańską i jej córką chcieli dostać się do

Zamościa, do wujka Różańskiego – kolejarza. Nie było to jednak takie proste. Właściwie bez zezwoleń, przepustek i dokumentów ważnych w Generalnej Guberni było to niemożliwe.

Po przekroczeniu Bugu obie rodziny wraz z wieloma innymi uciekinierami z Wołyńa pokierowano do miejscowości Strzyżów, oddalonej o kilka kilometrów od Hrubieszowa. Była tam duża cukrownia z bocznicą kolejową. Wśród rodzin pracowników cukrowni tułacze znaleźli tymczasowe schronienie. Ciotka Różańska dała znać mężowi, gdzie się znajdują. Wujek rozpoczął działania. Najpierw zorganizował pociągami tajny przewóz żony i córki. Następnie, mając kurs na linii Hrubieszów–Zamość, a było to dopiero w marcu 1944 roku, znalazł możliwość przewiezienia Reginy i Danusi do Zamościa. Schował obie dziewczynki w wagonie towarowym pomiędzy workami ze zbożem. W tym celu przygotował między workami dwie jamy, gdzie dziewczynki się chowały, gdy pociąg był kontrolowany przez niemiecką służbę kolejową. Musiały w swych schowkach siedzieć cicho jak trusie i bały się głośniejszy oddychać. Akcja się udała, dotarli do Zamościa. Wujek zabrał je (a wynajmował wówczas małe mieszkanie u pani Skrzyńskiej, przyszłej teściowej Reginy) do siebie. Były bezpieczne i miały dach nad głową.

Józef i Zofia Zienkiewiczowie nie mogli podróżować w taki sposób jak córki. Mieli konie, krowę i wóz – a to był cały ich majątek! Nie mogli tego zostawić albo sprzedać za marny grosz. Jedyne wyjście to była jazda wozem do Zamościa. Udało im się przejechać te ostatnie 50 kilometrów tułaczki bez większych kłopotów. Dotarli do Zamościa i zamieszkali w lokum, które załatwił im wujek Różański u starszej, samotnej kobiety o nazwisku Kołodziej. Były tam też zabudowania gospodarcze, gdzie schronienie znalazły dzielne koniki: Iskra i Wicher, oraz krowa-żywicielka Raba.

* * *

Od wschodu nadciągał front. Niemcy stawali się coraz bardziej niespokojni, szykowali się do odwrotu, rabowali po domach i obejściach. Któregoś dnia Zofia zobaczyła, że niemiecki żołnierz wyprowadza konie

dokończenie na s. 63

Chlipalowski Janek, 16. III. 1944. Łukowska Jena

Tadeusz Kielanowski 29. IV. 1944
Kucyński Antoni - Genske Zofia

Komysłowski Tadeusz. — 30. IV. 1944. —

31. III. 1944 * Hodoruk Karol 30. IV. 44

Chwalibogowska Alina
Chwalibogowska Hanka
Chwalibogowski

31. IV. 1944 Malinowska Maria Dzierżewiczówna

5. IV. 44 A. W. D. Dzierżewicz
Krzysztof, Dzierżewicz p.
Witwicki, Dzierżewicz p.

5. IV. 1944 Jorkasch-Koch Zofia

Janusz Jorkasch - Koch

9. IV. 1944. Zginął od lotniczej bomby szósty współpracownik
19. IV. 1944. Tadeusz Gęba nieodziałowany Ludwik Maguder.

13. IV. 1944. Inj. Gęba.

24. IV. 44. Dzierżewicz, Dzierżewiczówna, D. Gęba.

16. V. 1944. Jerzy Dąpiel

16. V. 44. Zofia Lichota

16. VI. 44. Zofia

18. V. 44. Dr. J. Jorkasch

22. V. 44. M. M. M. M.

23. V. 44. Jorkasch-Koch, M. M. M.

- - - M. M. M. M.

- - - Jorkasch-Koch, M. M. M.

nazwisk z okresu luty-maj 1944. Obok mnie wpisał się Jan Obuch, autor pamiętnych wierszyków w „Gazecie Lwowskiej”, oraz dr Tadeusz Krzyżewski – żadnego z nich przecież nie znałem! Po moich namowach poszła tam z moim braciuzkiem nasza Babcia, a także p. dr A. Chwalibogowska z Hanką i Krzysztofem. Ze znanych nazwisk: dr Tadeusz Kielanowski, pani Jorkasch-Koch, S. Juchnowicz (obecny profesor). Jest też kilka nazwisk Niemców.

Przypomnijmy na koniec losy Panoramy. W ramach ekspatriacji inż. Witwicki postanowił wywieźć spakowane skrzynie, jednak w trakcie tych przygotowań – zginął na dworcu lwowskim w nieznanych okolicznościach. Mimo to jego współpracownikom udało się załadować skrzynie do pociągu i dowieźć do Wrocławia.

We Wrocławiu

nych, gdy księga znalazła się w jednym z tu-tejszych antykwariatów, z zamiarem sprzedania! Nie mam pewności, ale zdaje się, że do tej karygodnej sprzedaży nie doszło.

Warto zwrócić uwagę na pokazane tu owe dwie strony – ileż tam znajomych

wiu elementy Panoramy – mimo dużych ubytków i zniszczeń – złożono na nowo i w ciągu lat eksponowano w kilku miejscach. Równocześnie uzupełniano braki – kierował tym arch. Michał Witwicki, kuzyn głównego twórcy.

Andrzej Kobak

PROFESOR ANTONI MAŁECKI (1821–1913)

Próba portretu

Antoni Małecki, badacz dziejów literatury i języka polskiego, krytyk literacki, dramatopisarz, ale i historyk-mediewista, autor dwutomowych *Studiów heraldycznych*, uchodzi zgodnie za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej humanistyki przełomu XIX i XX wieku.

Związany przede wszystkim z Uniwersytetem Lwowskim jako profesor, a w latach 1872–1873 również jako rektor lwowskiej wszechnicy, Małecki jest postrzegany jako faktyczny twórca tzw. lwowskiej szkoły filologicznej i jeden z luminarzy ówczesnego życia kulturalnego w ogóle. Trzeba jednak zaznaczyć, że w czasach Małeckiego Uniwersytet nosił imię cesarza Franciszka I. Imię patrona, królewskiego założyciela Jana Kazimierza, „odzyskał” wraz z niepodległością.

W szkicu *Antoni Małecki jako historyk literatury* prof. Julian Maślanka przywołuje słowa znakomitego badacza dziejów polskiego romantyzmu, profesora Uniwersytetów Lwowskiego i Jagiellońskiego – Juliusza Kleinera: *Legendową postacią stał się nam Antoni Małecki, wcielonym mitem o autorytecie nauki polskiej, niestrudzenie czuwającej na straży polskiego języka, polskiej literatury, polskiej kultury historycznej.*

Małecki, jeden z najznamienitszych badaczy życia i twórczości Juliusza Słowackiego, urodził się 16 lipca 1821 r. w Objezierzu blisko Poznania. Był nieślubnym synem Józefa Grabowskiego – właściciela Łukowa, byłego żołnierza napoleońskiego, ofiarnego społecznika, silnie zaangażowanego w pomoc uciekinierom z Królestwa Polskiego po klęskę powstania listopadowego. Warto nadmienić, że w majątku Grabowskich w grudniu 1831 roku przebywał Adam Mickiewicz, starający się o uzyskanie wsparcia dla swojego brata Franciszka, do niedawna powstańczego żołnierza. Wedle późniejszych relacji samego Grabowskiego – to właśnie podczas pobytu poety w Łu-

kowie miał narodzić się pierwszy pomysł napisania *Pana Tadeusza*.

Po ukończeniu nauki w poznańskim Gimnazjum im. św. Marii Magdaleny w 1841 r. rozpoczął Małecki studia w zakresie filologii klasycznej i filozofii na Uniwersytecie w Berlinie, m.in. u znanego historyka Leopolda von Ranke, by zaledwie po trzech latach uwieńczyć je doktoratem w oparciu o pracę poświęconą szkole platońskiej *De Academia vetere*. Prof. Jerzy Starnawski zauważa, że Małecki był jednym z pierwszych filologów doktoryzujących się na niemieckiej uczelni. Przed nim wymienia w dziedzinie filozofii – Karola Libelta, Fryderyka Henryka Lewestama i Hipolita Cegielskiego, a w filologii – Wojciecha Cybulskiego i Maksymiliana Kolanowskiego.

Już wcześniej, w 1842 r. dał się Małecki poznać jako autor niewielkiego szkicu *O życiu i pismach Adama Mickiewicza*, ogłoszonego w „Orędowniku Naukowym”. Zważywszy na tradycję rodzinną i kontakty z wybitnym poetą romantycznym, wydaje się frapujące, że z wyjątkiem opublikowanego w 1886 roku artykułu *Miejsce urodzenia Adama Mickiewicza* – do autora *Dziadów* Małecki już więcej nie powracał. W latach 1845–1850 był nauczycielem w macierzystym gimnazjum, gdzie nauczał łaciny, greki, historii i języka polskiego. Wtedy też popelniał kilka rozpraw, w tym dwie poświęcone twórczości Zygmunta Krasińskiego, który autentycznie go urzekł. Rozprawami tymi były: *O stanowisku i dziełach autora „Irydiona”* z 1846 r. i *Irydion* z 1847. Jak się miało okazać, pozostały one w dorobku Małeckiego jedynymi tekstami komentującymi twórczość autora *Psalmów przyszłości*. Małecki wówczas nie wiedział, że zajmuje się utworami Krasińskiego – *Irydion*, dzieło innowacyjne o znacznym nasyceniu treściami historiozoficznymi, było wydane anonimowo. W następnym roku Małecki ogłosił na łamach „Przeglądu Poznańskiego” pracę historyczną: *Polska wieków średnich, czyli Joachima Lelewela w dziejach narodowych postrzeżenia*.

Kolejnym etapem naukowej kariery A. Małeckiego było powołanie w roku 1850 na stanowisko profesora filologii klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którego został zaledwie po trzech latach usunięty z powodu *politycznej nieprawomyślności*. Obok

profesury pełnił funkcję dyrektora Gimnazjum św. Anny (dawnego Kolegium Nowodworskiego), jednej z najlepszych i najstarszych ówczesnie szkół średnich. Wtedy też opublikował *Prelekcje o filologii klasycznej i jej encyklopedii*.

W roku 1854 Antoni Małecki został mianowany profesorem filologii klasycznej w Innsbrucku. W tym czasie poświęcił się także twórczości literackiej: poetyckiej i dramatycznej – wydał *List żelazny*, a rok później *Grochowy wieniec, czyli Mazury w Krakowie*.

Małecki nie był odosobniony w łączeniu pracy naukowej z literaturą. Jako przykład można podać intelektualną aktywność Józefa Szujskiego – współzałożyciela „Przeglądu Polskiego” (najważniejszego periodyku galicyjskich konserwatystów obok „Czasu”), profesora historii Polski, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, pierwszego od 1873 roku sekretarza generalnego Akademii Umiejętności, i wreszcie autora dramatów *Halszka z Ostroga* oraz *Królowa Jadwiga*.

Jednakże pomimo pewnego uznania, jakim utwory literackie Małeckiego cieszyły się za życia autora, obecnie trzeba podkreślić, że nie wytrzymały próby czasu i stanowią jedynie interesujący przejaw intelektualnej ciekawości i chęci penetrowania różnych obszarów humanistyki.

W roku 1856 rozpoczął się w jego życiu najważniejszy okres naukowego – a szerzej: społecznego i politycznego – zaangażowania. Małecki został mianowany pierwszym profesorem zwyczajnym języka i literatury polskiej na Uniwersytecie Lwowskim. Tamże w latach 1872–1874 sprawował urząd rektora, przyczyniając się walcnie do polonizacji Uniwersytetu. Nie ryzykując nadmiernym uproszczeniem, można stwierdzić, że Małecki był wyjątkowo uprawniony, zarówno pod względem kulturowym, jak i obywatelskim, do piastowania tak odpowiedzialnej funkcji. Prof. Julian Maślanka w przywoływanym już szkicu zwraca uwagę na organizacyjne i pedagogiczne problemy, z jakimi borykano się przy obsadzaniu i funkcjonowaniu tamtejszej katedry polonistyki w okresie przed powierzeniem jej przybyszowi z Innsbrucka.

Pierwszym kierownikiem katedry po wznowieniu działalności Uniwersytetu w 1817 roku był Mikołaj Michalewicz, kustosz Biblioteki Ossolińskich, bliski współpracownik i protegowany fundatora Zakładu Narodowe-

go im. Ossolińskich – Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, który jednak nie potrafił uczynić z niej wybijającego się ośrodka naukowego. Po Michalewiczu profesurę objął Jan Szlachtowski, który po kilku zaledwie latach został odwołany z powodów politycznych.

Zatem dopiero wraz z mianowaniem na to stanowisko Antoniego Małeckiego lwowska polonistyka przeżyła *sui generis* odrodzenie, a z czasem zdobyła również szczególny prestiż, nie tylko w przestrzeni naukowego, ale i społecznego odbioru.

Mimo że profil katedry implikował obok dziejów literatury także gramatykę, Małecki nie napisał wielu prac z zakresu językoznawstwa. W roku 1860 opublikował rozprawę *O badaniach filologicznych na polu języka starosłowiańskiego*. Najważniejszym jednak dokonaniem były podręczniki – tzw. mniejsza *Gramatyka języka polskiego*, mająca w latach 1863–1910 jedenaście wydań, oraz tzw. większa *Gramatyka*, mająca w latach 1863–1913 wydań aż dwanaście. W roku 1879 opublikował jeszcze *Gramatykę historyczno-porównawczą języka polskiego*.

Jednakże opus magnum lwowskiego profesora, pomimo początkowej rezerwy, z jaką odnosił się do swoich dokonań, stanowiły prace poświęcone twórczości Juliuszałowackiego. Był badaczem, który jako pierwszy gruntownie zapoznał się z całym – zarówno opublikowanym, jak i pozostającym w rękopisach – dorobkiem poetyckim autora *Beniowskiego*. Jak zaznacza prof. Jerzy Starnawski, utwory niewydane za życia poety Małecki ogłosił drukiem w 1866 r. pod błędnym, bo nieprecyzyjnym tytułem *Pisma pośmiertne*. Największym osiągnięciem była dwutomowa monografia *Juliuszłowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki* wydana we Lwowie w latach 1866–1867. Warto dodać, że materiałem, na którym przede wszystkim oparł się Małecki, była obfita korespondencja poety.



Prof. Starnawski podkreśla, że był to pierwszy na gruncie polskim typ monografii-rzeki, a styl i wyjątkowa łatwość w konstruowaniu narracji przyniosły Małeckiemu opinię „Plutarcha Słowackiego”. Była to pozycja założycielska pod przyszłe badania nad twórczością autora *Króla-Ducha*.

Nieco wcześniej, w roku 1859, opublikował Małecki rozprawę *Jan Andrzej Morsztyn, poeta polski XVII wieku i jego imiennicy*. Była to według prof. Maślanki prawdziwie pionierska praca, upominająca się o zapoznanego poetę, kojarzonego wcześniej tylko z przyswojeniem literaturze polskiej takich utworów jak *Cyd Corneille’a* i *Psyche* Mariniego. Małecki jako pierwszy odkrył Morsztyna jako poetę i najwybitniejszego twórcę polskiego baroku. Rozprawa Małeckiego stała się z czasem punktem odniesienia dla kolejnych prób interpretacji, polemik i uzupełnień, szczególnie dla Edwarda Porębowicza, Romana Pilata i Stanisława Łempickiego.

Przedstawiając konterfekt uczonego, nie należy zapominać o jego zaangażowaniu w życie społeczne i polityczne. Już w roku 1864 został członkiem austriackiej Rady Szkolnej w Wiedniu oraz Galicyjskiej Rady Szkolnej Krajowej. W latach 1869–1872 i 1882–1913 był zastępcą kuratora Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W roku 1871 został członkiem Rady Miejskiej Lwowa, a rok później Akademii Umiejętności, a także korespondentem Serbskiego Towarzystwa Naukowego w Belgradzie. W latach 1876–1889 był Małecki posłem na sejm krajowy galicyjski, a w roku 1881 został mianowany dożywotnim członkiem austriackiej Izby Panów. Od roku 1888 kierował Radą Wykonawczą Macierzy Polskiej we Lwowie.

Przeglądając się dorobkowi intelektualnemu Antoniego Małeckiego, należy zwrócić uwagę na próby odczytywania określonych zjawisk w kontekście refleksji historycznej, bowiem konstatacje na tym gruncie często stały w opozycji do powszechnie akceptowanych wyobrażeń o przeszłości. Spośród prac *stricte* historycznych, publikowanych na łamach różnych periodyków, przede wszystkim w „Kwartalniku Historycznym”, wymienić można: *Kronikę Baszka, czyli tzw. Wielkopolską Kronikę, Ludność wolną w Księżce Henrykowskiej, Grzywny karne w dawnej Polsce i najdawniejsza grzywna mennicza,*

Lechici w świetle historycznej krytyki i Testament Bolesława Krzywoustego.

Najwybitniejszą jednak pozycją Małeckiego-historyka były wspomniane już *Studia heraldyczne*, wydane w roku 1890. Do ich powstania przyczyniły się m.in. opublikowane przez Franciszka Piekosińskiego, szeroko dyskutowane rozważania o dynastycznym pochodzeniu szlachty polskiej. Praca Małeckiego miała być w zamyśle autora przyczynkiem do większej rozprawy poświęconej stanowi szlacheckiemu.

Małecki jako pierwszy postulował inkorporowanie do refleksji nad genezą znaków heraldycznych innych dziedzin badawczych: sfragistyki, genealogii, dyplomatyki. Jego zdaniem to w topografii należało szukać czynnika determinującego powstawanie herbów jako znaków rodowych. Nazwy odmiejscowe miały przekształcać się w zawołania i nazwy herbowe. *Studia heraldyczne* naturalnie wywołały rezonans w środowisku historyków. Podważono sugestie autora i zarzucono mu nadmierną skłonność do uproszczeń i uogólnień. Doceniono jednak m.in. jego rozważania o związkach heraldyki polskiej i czeskiej.

Pomimo pewnych kontrowersji cieszył się Małecki znacznym uznaniem, także jako autor prac o charakterze historycznym, czego wyrazem było powierzenie mu funkcji przewodniczącego na Pierwszym Zjeździe Historycznym Polskim w Krakowie im. Jana Długosza w 1880 r. Ponadto w latach 1873–1893 był współwydawcą serii *Monumenta Poloniae Historica*.

W latach 1896 i 1897 ukazały się z kolei jego pisma rozproszone: pierwsze w tomie *Z dziejów i literatury. Pomniejsze pisma*, kolejne zebrane w całość i ogłoszone jako *Z przeszłości dziejowej. Pomniejsze pisma*.

W roku 1892 Antoni Małecki został pierwszym członkiem honorowym powołanego w 1886 roku Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza we Lwowie. Pierwszym prezesem Towarzystwa był Roman Pilat, notabene uczeń i następca Małeckiego w Katedrze Polonistyki Uniwersytetu Lwowskiego. Powołanie Małeckiego w 1897 roku na przewodniczącego Komitetu Obchodu Roku Mickiewiczowskiego świadczy o poważaniu, jakim cieszył się profesor-senior w kręgach naukowych Lwowa. Jego zastępcami byli Roman Pilat i prezydent miasta Lwowa Godzimir Małachowski, a sekretarzami Władysław Bel-

za i Bronisław Gubrynowicz. Kilka lat później został Małecki honorowym prezesem obywatelskiego komitetu jubileuszowego przygotowującego obchody Roku Juliusza Słowackiego. Tuż przed śmiercią w roku 1912 zdążył jeszcze zostać członkiem kolejnego komitetu, tym razem pragnącego uczcić setną rocznicę urodzin Zygmunta Krasińskiego.

Jak już zostało na samym początku zasygnalizowane, uchodzi Małecki powszechnie za właściwego organizatora lwowskiej szkoły filologicznej. Wychował grono wybitnych uczniów, i choć nie wszyscy poświęcili się karierze uniwersyteckiej, to każdy na swój sposób kontynuował i rozwijał refleksję nad literaturą, przyczyniając się do umocnienia autorytetu – nie tylko w środowisku naukowym – lwowskiej polonistyki. Należy jednak koniecznie nadmienić, że w równym stopniu co Małeckiemu zasługa zintegrowania tamtejszego ośrodka badań historycznoliterackich przypadła najwybitniejszemu spośród jego uczniów – Romanowi Pilatowi. Obok niego w poczet wychowanków Antoniego Małeckiego zaliczyć można: Franciszka Próchnickiego, Aleksandra Barwińskiego, Władysława Belzę, Adama Kuliczowskiego, Tadeusza Romanowicza i poetę-powstańca z 1863 roku Mieczysława Romanowskiego.

Profesor Antoni Małecki zmarł 7 października 1913 r. i został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim. Miasto, z którym związał się na przeszło pięćdziesiąt lat, uczyniło go swoim honorowym obywatelem wcześniej, w 1891 roku. Rok później jego imieniem nazwano jedną z ulic w śródmieściu, prowadzącą od ulicy Zimorowicza do ulicy Lelewela.

Jeszcze w roku śmierci został opublikowany w „Kronice Powszechnej” poświęcony Antoniemu Małeckiemu szkic pióra J. Kleinera. Obszerna monografia autorstwa B. Gubrynowicza ukazała się w roku 1920. Prof. Maślanka dokonał w roku 1979 wyboru i opracowania prac Małeckiego, zebranych w tomie *Od antyku do romantyzmu*.

BIBLIOGRAFIA

1. Czaratoryski-Sziler P., *Antoni Małecki – legendarny strażnik polszczyzny*, www.lwow.home.pl/naszdziennik/malecki.html.
2. Fita S., Świerczyńska D., *Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza 1886–2006*, Wrocław 2006.

3. Gubrynowicz B., *Antoni Małecki (1821–1913)*, Lwów 1920.
4. Halecki O., *Antoni Małecki jako badacz dziejów piastowskich*, „Kwartalnik Historyczny” 1914, R. XXVIII, z. 1.
5. Kulczycka-Saloni J., Markiewicz H., Żabicki Z., *Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu*, t. 3, Warszawa 1969.
6. Maślanka J., *Z dziejów literatury i kultury*, Kraków 2001.
7. Rymkiewicz J.M., Siwicka D., Witkowska A., Zielińska M., *Mickiewicz. Encyklopedia*, Warszawa 2001.
8. Starnawski J., *Sylwetki lwowskich historyków literatury*, Łódź 1997.
9. Ulewicz T., *Konterfekty, sylwetki, cienie z dziejów filologii w Polsce*, Kraków 1997.

ANDRZEJ KOBAK, ur. 1985 w Chorzowie. Studia historyczne na Uniwersytecie Łódzkim, obecnie przygotowuje pracę magisterską w Katedrze Historii i Historiografii. Zainteresowany m.in. genealogią i heraldyką.

Szanowni Państwo, ukazał się następny tom monografii z cyklu:

SZKOŁY LWOWSKIE – MONOGRAFIE

Historia szkolnictwa, oświaty i wychowania na ziemiach odłączonych II Rzeczypospolitej – Kresach Południowo-Wschodnich.

Tom XI tej monografii (w trzech częściach) pt.

POLITECHNIKA LWOWSKA, lata 1872–1939

Kraków, 2013, wydanie pierwsze

cz. 1: lata 1872/73 – 1918/19

cz. 2: lata 1919/20 – 1933/34

cz. 3: lata 1934/35 – 1938/39

Monografia zawiera m.in. obszerne wykazy nauczycieli akademickich i absolwentów PL.

Zainteresowanych nabyciem tej monografii proszę o kontakt: J. Kowalczyk, ul. Lublańska 24/2; 31-476 Kraków

tel. +48 12 411 36 41

e-mail: kajot@op.pl lub kajot@agh.edu.pl

Jednocześnie informuję, że koszty związane z zakupem tego tomu wynoszą 85 zł za każdą część, łącznie 255 zł, plus koszty prowizji (w przypadku żądania faktury proszę podać NIP) i wysyłki.

Anna Modzelewska

Przedwojenne Kresy w reportażach Ksawerego Pruszyńskiego

Ksawery Pruszyński zostawił po sobie bogatą twórczość publicystyczną i literacką. Wśród niej jest wiele artykułów, opowiadań, książek, wspomnień, a także reportaży. Przez swoją zwięzłość, prostotę, precyzję pisania wyróżniał się na tle przedwojennej prasy. Pruszyński, wybitny dziennikarz i dyplomata, urodził się na Wołyniu, z czego był bardzo dumny. Bo to Kresy ukształtowały go jako człowieka i dziennikarza. Wielokrotnie podkreślał, podobnie jak Józef Piłsudski, że właśnie z terenów „obwarzanka polskiego” pochodzą najwięksi patrioci. Reporter podróżował po kraju i utrwał obraz społeczeństwa oraz różne oblicza polskości. Jarosław Kurski zwraca uwagę w „Gazecie Wyborczej”, że czytając Pruszyńskiego, trudno nie dostrzec mieszaniny żywiołów w jego duszy: *kresowej, stepowej, romantycznej, euforycznej, czupurnej*.

Po latach Ryszard Kapuściński nazwał go jednym z prekursorów polskiej szkoły reportażu. Podkreślał, że to Pruszyński sprawił, iż reportaż stał się nie tylko produktem oka, ale również i umysłu. Jego dynamiczne relacje, zmysł obserwacji i plastyczne opisy do dziś oddziałują na wyobraźnię i wrażliwość czytelnika, przekazując obraz Kresów, problemy i mentalność mieszkańców oraz ich codzienne życie w sposób ciągle interesujący czytelnika.

Dzieciństwo na Kresach

Ksawery Pruszyński przyszedł na świat 4 grudnia 1907 roku w Wolicy Kierkie-szynej, powiecie starokonstantynowskim na Wołyniu. Jego ojcem był ziemianin Edward Pruszyński, a matką Anna z Chodkiewiczów, rodu zasłużonego w wojnach, ale zubożałego. Dziennikarz wspomina swoje dzieciństwo w reportażu *Na czarnym szlaku*. Przedstawia prywatne przeżycia wraz z historią rodową, ukazując przy tym obraz kresowego, wielokulturowego społeczeństwa. Tworzy w ten sposób interesujący reportaż obyczajowy:

Przyszedłem na świat na rozdrożu światów i czasów, kultur i wiar, mów i ras, warstw i narodów, w grudniowy śnieżny dzień [...].

Opisuje chronologię wydarzeń, historię swoich przodków, a także politykę rodową. Tłumaczy, dlaczego jego narodziny były tak bardzo oczekiwane:

Pruszyńscy byli skąpi, skąpi, skąpi, arcyskąpi. [...] Pierwsi Pruszyńscy, których skąpstwo zapisali pamiętnikarze kresowi, żyli jeszcze w w. XVIII. Dosłownie za króla Sasa. Od nich w sposób nieprzerwany ciągnęły się pokolenia wielkich skąpców, którzy ze skąpstwa zrobili metodę, system, zasadę i dewizę rodową.

Pruszyńscy dbali o to, żeby nie rozdziałać majątku rodzinnego, aby nie dostał się w niepowołane ręce. Wszystko dlatego, „by nie trwonić darów Bożych”, a także ze wskazań narodowych. Byli przeciwnikami rozdrobnienia polskich fortun, sprzedawania ziemi Moskalom i „kurczenia” stanu posiadania. Ksawery opisuje, iż wypłacanie posagu siostrom jego przodków stanowiło dla nich operację tak dotkliwą, że woleli je nakłaniać do staropanieństwa bądź pójścia do klasztoru. Jeśli już się zdarzało, że panna wychodziła za mąż, to wypłacali posag w złocie.

Przyrost naturalny w rodzinie Pruszyńskich stał się niebezpieczeństwem utraty majątku, statusu i zubożenia, któremu linia stanowczo się przeciwstawiała. W innych rodach szlacheckich nie przestrzegano takich zasad i po dwóch, trzech pokoleniach zamożność malała, a wraz z nią stopień kultury, poloru, znaczenia.

Taka polityka ograniczonej rozrodczości, starokawalerstwa i staropanieństwa doprowadziła jednak do odmiennego kryzysu. Oto na początku XX wieku Pruszyńscy stanęli przed widmem braku męskiego potomka. Dalsza rodzina zaczęła łakomić się na majątek, tak konsekwentnie zbierany przez pokolenia, doradzać, podsuwać kandydatów do usynowienia. Perspektywa tego, że praca wielu pokoleń może pójść na korzyść

krewnych innego herbu i nazwiska, spędzała Pruszyńskim sen z powiek.

Aż naraz mój ojciec, niemal już w jagiellonowym wieku [...] ożenił się – pisze Pruszyński. – W tym wieku! – próbowali stękać gotowi do skoku krewni.

Po ślubie urodził się upragniony potomek, na którego woliccy chłopci czekali z taką niecierpliwością i zainteresowaniem. Czekali też stryjowie i inni członkowie rodziny, a w tym również i ci, którzy chcieli przejąć majątek. Ku zadowoleniu bliższej rodziny, a załamaniu dalszej, urodził się zdrowy syn, któremu dano imię Ksawery. „Nie darmośmy skąpili!” – orzekła wtedy z zadowoleniem rodzina.

Autor bez ogródek opisuje społeczeństwo wraz z jego wszystkimi przywarami. Po kolei prezentuje poszczególne grupy i warstwy społeczne. Podkreśla to, że Kresy były różnorodne, wielonarodowe, ale wszyscy żyli w zgodzie i harmonii. Zaznacza, że najmniej zainteresowani ojczyzną byli chłopci.

Pruszyński zwraca uwagę, że społeczeństwo kresowe, szczególnie szlachta, nie było antysemickie w takim stopniu jak inne regiony polskie. Autor pisze:

Żydostwo nie dyskwalifikowało. Natomiast Żydzi nie mieli wcale tego monopolu handlowego i finansowego, jaki zdobyli w bardziej antysemickich częściach Polski.

Zaznacza też, że to właśnie Żydzi obok Polaków stanowili jedyny bardziej oświecony element społeczeństwa. Chwali także zaradność polskiej szlachty, która na Kresach nie bała się robić interesów i miała smykałkę handlową:

Owa szlachta kresowa miała poza tym cechę, o której mało się wie: oto olbrzymi, niepospolity u Polaków, zmysł handlowy. Wielkie fortuny Jaroszyńskich, Szczeniowskich. Trzeciaków, Lipkowskich już nie z królewskich nadań jak: Potockich czy Lubomirskich [...] ale właśnie na wielkich biznesach.

Autor zauważa, że rdzenna ludność została przemieszana z innymi grupami narodowymi, często brutalnie i nieskutecznie zmuszanymi do asymilacji. Była to teza rozbrajająca oficjalny mit narodowej solidarności, kultywowany przez piśudczyków i endecję.

Pruszyński zwraca uwagę również na walkę Kościoła katolickiego o utrzymanie się

na prawosławnej Ukrainie. Opisuje ojca kapucyna Cyriaka Truszkowskiego, który jako jedyny kapłan został w miejscowym klasztorze. Kapucyn z ambony wytykał ludziom ich przewinienia. W dużej mierze miało to na celu wymuszenie ich współpracy i związku z Kościołem. Duchowny czuł się bowiem zagrożony na Wołyniu przez prawosławie i przybywającą liczbę cerkwi w pobliżu katolickich świątyń. W „Kulturze” sędziwego proboszcza nazwano „rozbitkiem na tratwie otoczonej morzem Prawosławia”. To właśnie od ojca Cyriaka Ksawery od najmłodszych lat uczył się patriotyzmu. Poznawał historię w czasie kazań, jeszcze zanim nauczył się pisać. Po mszach wszyscy spieszyli na plebanię na kawę. Ksiądz nigdy nie podawał herbaty, bo uważał ją za „trunek moskiewski”. Już nawet w takim drobnym geście przejawiała się niechęć do Rosji i asymilacji.

Spokojne dzieciństwo Ksawerego Pruszyńskiego nie trwało jednak długo. Podczas rewolucji w 1917 roku musiał razem z matką i młodszym bratem opuścić ojcowiznę. Anna wraz z Ksawerem i Mieczysławem uciekają pieszo z rodzinnego majątku przez oszalałą rewolucją Ukrainę. Najpierw chronią się w Niemirowie w domu księżnej



Szczerbatów. Jednak zostają rozpoznani przez nacjonalistów ukraińskich należących do lokalnej watahy. W ostatniej chwili udaje im się zbiec pieszo w przebraniach. Właścicielka dworku nie ma takiego szczęścia, ukrywanie „Lachów” przypłaca życiem. Później znajdują schronienie w Żytomierzu, a następnie w Krakowie.

Ksawery rozpoczyna naukę w żytomierskim gimnazjum, którą kontynuuje w gimnazjum jezuickim w Chyrowie. Po latach zaczyna studia prawnicze na UJ. W czasie studiów zostaje prezesem Akademickiego Koła Kresowego, a później prezesem krakowskiego oddziału „Myśli Mocarstwowej”.

Pruszyńskiego ciągnęło w rodzinne strony. Tęsknił za Kresami i swoją „małą ojczyzną”. Po siedemnastu latach próbuje odnaleźć rodzinny dworek, ale mu się nie udaje. Posesja została zrównana z ziemią.

W reportażu *Na czarnym szlaku* tłumaczy symbolikę nazwy rodzinnej miejscowości. Pierwszy człon – podobnie jak Wola, Wólka, a na kresach Wolica – oznaczał wieś zakładane na pustkowiach, których właściciele byli przez jakiś czas zwolnieni z podatków.

Druga część – Kierkieszyna – odnosiła się do najstarszego, pamiętnego właściciela tamtych ziem – Kierkieszy, którego portret wisiał w lokalnej cerkwi. Był on Tatarem i przypominał Azję Tuhajbejowicza z opisów Henryka Sienkiewicza. Pruszyński podkreśla, że w rysach jego twarzy odnajdywał coś bliskiego:

Może dlatego, że nic i nikt z tej ziemi, nic, co się na jej historię złożyło, nie było mi obce. Może dlatego, że wiedziałem już wtedy, że w moich dziecinnych, nieufornych rysach jest już ten sam stygmat wschodni i kałmucki.

Dla Pruszyńskiego ta podwójna nazwa miała znaczenie symboliczne, oznaczała powiązanie Wschodu z Zachodem, Polski i stepu, Europy i Azji, łaciny i jartyku, szyszaka i buńczuka.

Z dzieciństwa Pruszyński wyniósł pojmowanie Rzeczypospolitej jako wielonarodowego imperium.

Nie odrza do innych ludów, ale przeciwnie – pociąg. Nie traktowanie mniejszości narodowych jako „malum necessarium”, ale jako cennych, poszerzających moją ojczyznę, bogacących wspólny dom, składników.

Reporter tłumacząc, dlaczego spisuje wspomnienia swojego dzieciństwa, twierdził dobitnie, że takich dzieciństw jak jego bez wątplenia już nigdy nie będzie.

Przedwojenne Wołyń i Polesie

Ksawery Pruszyński podróżował po świecie, relacjonował i tłumaczył skomplikowane stosunki międzynarodowe. Nie zaniedbywał jednak też spraw i problemów polskich. Zwiedzał kraj metodycznie: od Śląska i Poznania, przez Łódź i Warszawę, aż po Kresy Wschodnie. Podczas tych wędrówek spostrzegł, że Polska, którą widzi, to wiele różnych krain rozdzielonych granicą dawnych rozbiorów. Zauważył, że polskość i patriotyzm w każdej części kraju ma odmienne oblicze. Pisał, że na Śląsku warstwą najmocniej związaną z ojczyzną są robotnicy, a na Kresach – ziemianie.

Jego cykl reportaży zawarty w *Podróży po Polsce* przedstawia przedwojenne Wołyń i Polesie. Już same tytuły mają znaczenie interpretacyjne dla tekstu: *Był to niegdyś kraj bogaty...*, *Czarna księga niszczenia Wołynia...*, *Jak płonął Pińsk*. Dokonania nauki, kultury, architektury zderza z beznadzieją końca lat 30., kiedy wszystko niszczeje, a ludzie zdają się nie pamiętać już o dawnej świetności narodu.

W reportażu o Kisielinie pisze, że w szesnastym i siedemnastym wieku mieszkali tam uczeni, którzy kontaktowali się z ośrodkami kulturowymi na zachodzie Europy. W małym miasteczku Kisielin funkcjonowała wyższa uczelnia. Wołyński szlachcic w XVII wieku, imię Ostafi Kisiel, tłumaczył na język grecki dzieła Tomasza z Kempis. Swoje prace stał później do Frankfurtu. Na Wołyniu drukarnia istniała już w XVI wieku. Z czasem rozkwitło też liceum w Krzemieńcu, w rzeczywistości uczelnia uniwersytecka, jedyna na ówczesnej Ukrainie, zlikwidowana po powstaniu listopadowym.

Jaki Wołyń ujrzał Ksawery Pruszyński w 1938 roku? Po dawnej potędze nie pozostało śladu. Nie ma już też dawnego uniwersytetu, drukarni i szkół. Dowiaduje się z broszury lokalnego polityka, że jeszcze 40 proc. dzieci wołyńskich nie jest ogarniętych szkołą. Wołyń, który przed paru wiekami dorównywał prawie Normandii, w 1938 roku był bliższy Abisynii.

Ostatnie ślady dawnej świetności niszczyć bezpowrotnie. Mury zamku Lubarta

służą za podporę do ćwiczebnej instalacji straży pożarnej, na grobach dawnych kniaziów Wołynia i namiestników litewskich rosną fasola, buraki i pietruszka, które uprawiają żony komendantów. W zwierciadlanej sali jednej z najpiękniejszych rezydencji polskich Wiśniowca zrobiono kino, a w innej części kompleksu zamkowego urządzono umywalnię. Siedziba Wiśniowieckich i Mniszków nazywana była kiedyś Puławami Kresów. W 1938 r. w hallu stoją młockarnie, siewczkarnie, panuje nieład, a nad rokokowymi plafonami urządzono „ubikacje łaźiebne”, niszcząc lewe skrzydło obiektu.

Podobnie jest też w innych miastach. Pruszyński odwiedził w czasie swojej wędrówki po Polesiu i Wołyniu takie miasta jak Porzecze, Korzec, Kisielin, Dawidgródek, Pińsk, Krzemieniec. W każdym dokumentował biedę, beznadzieję i niszczenie dawnych symboli świetności. Ówczesny budżet na renowację zabytków województwa wołyńskiego, które posiada szereg zamków, grodzisk, kościołów, klasztorów, przeważnie bardzo zniszczonych w czasie niewoli i wojny, wynosił 4500 zł. Na konserwację zamku Lubarta w Łucku, olbrzymiej twierdzy o doniosłym znaczeniu architektonicznym budownictwa krzyżackiego tamtych ziem, przeznaczono 200 zł. Na tym samym zamku magistrat utrzymuje szopy i instalacje straży ogniowej, wydatkując na to 250 zł. Dla porównania, Pruszyński za ręcznie robione buty zapłacił 20 zł.

To, co zobaczył na Wołyniu i Polesiu, porównuje do upadku cywilizacji Khmerów w Kambodży. Cywilizacja ta wyrosła niespodziewanie pośród puszczy azjatyckiej, daleko od jakichkolwiek innych cywilizacji. Później nagle tak samo szybko i tajemniczo jak się pojawiła, tak zniknęła. W ciągu kilkudziesięciu lat miasta i pałace zarosły dżunglą. Tak samo nagle odeszła kultura, przemysł i życie Polesia. Ci, którzy zawładnęli tym krajem, nie potrafili już jednak nowej cywilizacji wznieść, ani starej wskrzesić.

„Kresy są wszędzie takie same”

Pruszyński w reportażu *W Belwederze* wspomina swoje spotkanie z marszałkiem Józefem Piłsudskim. Miało ono miejsce podczas obchodów rocznicy nocy listopadowej w 1931 r. Ksawery zdaje relację ze spotkania, którą przeplata opisami wrażenia, jakie



na nim sprawiał Marszałek – ma polską twarz, jest to też twarz szlachecko-sarmacka, o czystym kresowym typie. Zauważa również jego charakterystyczny, litewski, kresowy akcent. W trakcie spotkania Marszałek pyta Pruszyńskiego, skąd pochodzi. Na to dziennikarz odpowiada: – Z Ukrainy, Panie Marszałku. Byłem, gdy Pan Marszałek szedł na Kijów, mój kraj wyzwalać.

Dalej dialog toczy się tak:

Marszałek patrzy. Marszałek zrozumiał.

– Bo ja tak patrzę na Pana – ciągnie – i Pan ma twarz człowieka z moich stron... [...] Ale dla mnie Litwa czy Ukraina to kresy.

Mówię więc:

– Kresy są wszędzie takie same, Panie Marszałku.

– Tak i jest – przytakuje. – A śmiali się ze mnie ludzie, gdy mówiłem im, że Polska to taki obwarzanek; jej wszystko to po brzegach.

Tekst ten świadczy o wielkiej miłości i szacunku do Kresów, ale też o docenieniu zasług ludzi, którzy wywodzą się z tamtych ziem. Pruszyński czuje się dumny ze swojej przynależności i małej ojczyzny.

Dzieciństwo na Kresach odcisnęło piętno na dalszym życiu reportera, kształtując jego tożsamość i światopogląd. Sam Pruszyński wielokrotnie akcentował, że poglądy są kształtowane przez miejsce i atmosferę wychowania.

Podsumowanie

Często krytycy podkreślali związek Pruszyńskiego z Kresami i polskim patriotyzmem. Andrzej Kijowski pisał o nim „kresowy szlachcic”. Gotfryd Pyka i Janusz Roszko nazywali go „publicystą z ukraińskim piórem”, a Krzysztof Masłoń „pisarzem arcywłoskim”.

Pruszyński był produktem kresowej kultury szlacheckiej, utożsamianej niegdyś z polskością. Z tego szlacheckiego wychowania wyniósł pamięć o współdziałaniu narodów i kultur w ramach jednej Rzeczypospolitej.

Godfryd Pyka, powołując się na Melchiora Wańkowicza i Jana Bielatowicza, pisał, że Pruszyński przynależał do „szkoły kresowej”, do której zaliczyć można trzech braci Bocheńskich oraz samego Wańkowicza. Podkreśla, że „szkoła kresowa” miała wiele zasług w polskim dziennikarstwie. Wydała wybitnych publicystów, pisarzy i działaczy politycznych, których wyróżniało poczucie własnej odrębności, wartości i poczucie misji. Dużą rolę w ich twórczości odegrała wrażliwość, która kształtowała się właśnie w młodzieńczych latach ich życia na Kresach.

Ksawery Pruszyński w swojej twórczości wiele miejsca poświęcał skomplikowanym sprawom Kresów. W 1939 r. napisał nawet książkę na ten temat i proponował ją wydawnictwom w Polsce. Nie zachowała się do naszych czasów, bo maszynopis zaginął gdzieś podczas wojny. Pruszyński kochał podróże. Wędrówki po nowej Polsce odbywał z podobną pasją jak po przedwojennej. Powracał też w rodzinne strony, na ojcowiznę. Jakaś wewnętrzna siła ciągnęła go na Kresy, które całe życie nosił w sercu.

Cóż za fantastyczny, cóż za niezwykle film biograficzny – napisał o nim Kazimierz Wyka. – *Jak żył, wciąż niespokojny, ciekawy, niecierpliw świata, tak też i zginął.* Swoją ostatnią podróż odbył 13 czerwca 1950 roku. Prowadzony przez niego samochód wpadł pod ciężarówkę w okolicach Hamm w RFN. Dziennikarz zmarł w drodze do szpitala. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie w pobliżu Bronisława Pruszyńskiego, ostatniego marszałka szlachty guberni wołyńskiej, któremu rządy carskie odebrały po powstaniu styczniowym ostatni wybieralny urząd szlachecki.

ANNA MODZELEWSKA, magister dziennikarstwa UJ, doktorantka w Instytucie Kultury Uniwersytetu Jagiellońskiego, dziennikarka, od czterech lat publikuje w „Gazecie Krakowskiej” oraz tygodniku „Polityka”.

Bibliografia podmiotowa:

K. Pruszyński, *Wspomnienia, reportaże, artykuły*, Warszawa 2000.

K. Pruszyński, *Wybór pism*, Warszawa 1989.

K. Pruszyński, *Podróż po Polsce, [w:] Wybór pism publicystycznych*, Kraków 1966.

Mariusz Olbromski

Szaleństwo i dzieło

Pamięci Romana Aftanazego
skromnej Postaci Ossolineum

Niedługo nic już nie zostanie z pereł dziejów,
ni marmur, ani płótno, ani kamień na kamieniu,
z tysiąca dwustu świetnych pałaców i dworów,
z parków, ogrodów Kresów nic prócz gruzu
i nic prócz zgliszcz, burzanów i szaleju.

Z muzyki kamienia tylko bełkot rzezimieszka,
z ekspresji rzeźb nawet nie kruszywo do betonu,
z książek oprawnych w złoto – obłok dymu,
ze starej porcelany krzyk krótki jak nicość,
szalety z resztek altan, oranżerii ogrodu.

Kruki milczenia wiszą nad tym wszystkim,
nad skarbem wielkiej pracy kilkunastu pokoleń,
nad tchnieniem setek galerników piękna.
Nad życiem, które kwitło i jak zjawia znikło,
jaśniało wieki niczym szczyt polskości.

Teraz zapis cenzury i zmowa nad nami
więc moje dzieło w swym szaleństwie tworzę.
W deszczach wrocławskich samotnie po pracy
w mieszkaniu skromnym zaparzę herbatkę
i nie wiem, co z tysięcy listów, fiszek pozostanie,
z tysięcy świadectw tych, co jeszcze pamiętają,
i nie wiem, ile dni już przeszło, lat dziesiątek,
niepewne, czy to wszystko przetrwa, co zostanie,
czy światło ujrzy dzieło pośród flag czerwonych,
które niczym zagłada wiszą nad mym oknem,
nad szarym miastem i nad całym krajem.

Z ks. kanonikiem JÓZEFEM WITOLDEM KOWALOWEM

proboszczem parafii w Ostrogu
na Wołyniu,
rozmawia Janusz M. Paluch



Księżę Kanoniku, proszę opowiedzieć, jak i dlaczego trafił ksiądz do Ostroga na Wołyniu? Jest ksiądz przecież absolwentem Krakowskiego Seminarium Duchownego.

Na Ziemi Lwowskiej spędziłem wakacje w 1990 i 1991 roku. Pierwszy raz zaproszenie załatwił mi ks. Marian Buczek, ówczesny kapelan ks. arcybiskupa lwowskiego Mariana Jaworskiego, który miał wówczas siedzibę w Lubaczowie. Za drugim razem zaprosił mnie, wtedy jeszcze diakon, ks. Franciszek Botwina¹, obecnie proboszcz parafii Obolów w Kijowie, a wcześniej przez wiele lat proboszcz w Szepetówce na Wołyniu. Pojechałem zbierać materiały do pracy magisterskiej o ks. Michale Głowackim „Świętopełku”². Pewna ilość dokumentów na jego temat znajduje się w Głównym Archiwum Historycznym Ukrainy, w dawnym klasztorze OO. Bernardynów oraz w Lwowskiej Bibliotece Naukowej NAN Ukrainy im. Wasyla Stefanyka, czyli w dawnym Ossolineum.

Jeśli pamiętam, to ks. Głowackiego z Kresami za wiele nie łączyło, raczej z Podhalem?

Nie tyle z Podhalem, co z Galicją. Przede wszystkim jednak był kapłanem diecezji tar-

nowskiej, do której w tamtych czasach Podhale należało. Uczył się jednak we Lwowie i to miasto ukształtowało go. Jego wielkim wkładem do historii kultury polskiej jest to, że pierwszy zapisał *Legendę o śpiących rycerzach*. A w historii zapisał się jako bohater, który zmarł śmiercią męczeńską 24 maja 1846 r. w nowosądeckim więzieniu, po klęsce „poruseństwa”, czyli powstania chochołowskiego z 1846 r. Ks. Michał „Świętopełk” Głowacki to bardzo ciekawa postać. Zająłem się nim m.in. z tego powodu, że był wikariuszem w mojej rodzinnej parafii w Poroninie, gdzie pracował od 1842 r. W Krakowskim Seminarium Duchownym napisałem o nim pracę pod kierunkiem ks. prof. Jana Krawczyka³. Ponieważ ks. Głowacki pobierał nauki we Lwowie, musiałem tam rozpocząć poszukiwania dokumentów na jego temat. Później okazało się, że oryginalna dokumentacja powstania chochołowskiego, łącznie z raportami z przesłuchań ks. Głowackiego, znajduje się we Lwowie. Nie powinno to nikogo dziwić, bowiem Lwów był wówczas stolicą Galicji i tam trafiały wszystkie najważniejsze dokumenty z tego regionu. Wszystkich zainteresowanych zachęcam do lektury mojej książki *Ks. Michał Stanisław Głowacki „Świętopełk” (1804–1846). Folklorysta i współorganizator powstania*, która ukazała się w 1999 r. w ramach serii wydawniczej „Biblioteka Wołania z Wołynia”.

Na lekcjach historii ukazywano powstanie chochołowskie jako walkę chłopów z biedą i uciskiem pańskim...

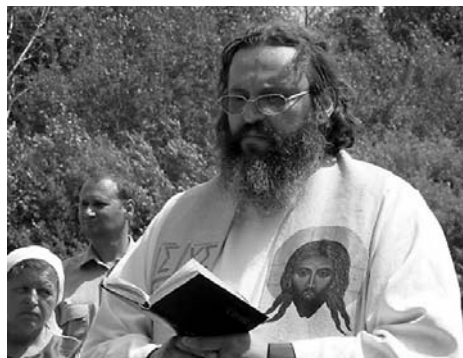
W czasach PRL-u wygodnie było pokazywać, jak chłop burzy się przeciw uciskowi pańskiemu. Powstanie chochołowskie było powstaniem narodowym. Ks. Głowacki był bardzo wyczulony na sprawy narodowościowe. Na Podhalu kochali go za to, że kazania głosił w gwarze góralskiej. Uważali go za swego. Podczas studiów we Lwowie nawiązał kontakt z tzw. „ruską trójcą”⁴. Było to stowarzyszenie społeczno-kulturalne założone ok. 1832 r. przez trzech młodych studentów seminarium grekokatolickiego we Lwowie – Markijana Szaszkiwycza, Iwana Wahylewycza i Jakiwa Hołowackiego⁵, którzy podjęli pracę nad utworzeniem literackiego języka i alfabetu ruskiego. Michał Głowacki odbywał wówczas, być może także w ich towarzystwie, różne sentymentalne podróże po

okolicach Lwowa, podczas których zapisywał stare pieśni polskie i ruskie. Część zebranych przez niego materiałów ukazała się w zbiorze zredagowanym przez Wacława Zaleskiego *Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego*, wydany w 1833 r. Reszta zaginęła.

To bardzo znamienne, że to właśnie ta postać zaprowadziła księdza do Lwowa, a potem na Kresy. Zbieranie materiałów archiwalnych pewnie pochłaniało dużo czasu, ale jednocześnie był ksiądz świadkiem odradzania się w latach 90. XX w. Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie.

Odradzał się wtedy nie tylko Kościół rzymskokatolicki, ale i inne wyznania na tych ziemiach. Ukraina w 1990 r. uchwaliła *suwerenitet* – akt suwerenności, a rok później, w sierpniu 1991 r., Rada Najwyższa Ukrainy uchwaliła Akt Niepodległości. Obserwowałem, jak wyglądało to we Lwowie. Radość i euforia Ukraińców, obawy Polaków, którzy jednocześnie cieszyli się, że Kościół i religia do nich wraca. Mieszkałem wówczas u ks. Augustyna Mednisa⁶ w Szczercu, niewielkim miasteczku koło Lwowa. Znajduje się tam jeden z dwunastu kościołów rzymskokatolickich działających cały czas na tamym terenie (archidiecezji lwowskiej i diecezji łuckiej)⁷. Podczas kolejnego pobytu, w 1991 r., mieszkałem także u księdza Mednisa, ale już w Chodorowie. Znałem to miejsce, bowiem rok wcześniej byłem świadkiem pierwszego spotkania tam z wiernymi, jakie odbył ks. Ludwik. Jako wikariusz katedry we Lwowie, współpracownik SB o. Rafała Kiernickiego, odzyskał wtedy wiele kościołów wokół Lwowa. Pamiętam, jak ks. Kamilewski załatwiał wówczas z wiernymi zasadnicze sprawy podczas tej uroczystości. Mówił, że trzeba

teren ogrodzić, wybudować toaletę. Może się to wydawać prozaiczne, ale to ma ogromne znaczenie dla wiernych, którym powierza się takie zadania. Czują się współgospodarzami świątyni, którą odwiedzają nie tylko od święta. Towarzyszyłem także ks. Kamilewskiemu w Bóbrce, gdzie wygłosiłem swoje pierwsze kazanie do wiernych. Jakie to było dla mnie wtedy przeżycie! Wówczas do Bóbrki dojeżdżali księża z katedry we Lwowie – ks. Ludwik Kamilewski i salezjanki ks. Andrzej Baczyński. Poznałem wtedy wielu wielkich Kapłanów, jak Sługę Bożego o. Rafała Kiernickiego, ks. Marcjana Trofimiaka – późniejszego biskupa, ks. bp. Jana Cieńskiego czy wspomnianych już księży Mednisa i Kamilewskiego. Ksiądz Trofimiak, powszechnie nazywany Markiem, zaprosił mnie do Krzemieńca, gdzie przez 18 lat był proboszczem. To dzięki niemu po raz pierwszy mogłem odwiedzić owo magiczne miejsce. Ksiądz Marek w 1991 r. został biskupem pomocniczym diecezji łuckiej, a w 1998 r. przyjął obowiązki ordynariusza tej diecezji. Od 2012 r. przebywa na emeryturze. Ogromne wrażenie wywarła na mnie też osoba ks. bp. Jana Cieńskiego ze Złoczowa. Poznałem go na poświęceniu kościoła w Kulikowie. Miał już wtedy kłopoty z poruszaniem się. Kiedy odprawiał mszę św. musiał wspierać się rękoma o ołtarz. Taka dostojna postać! Już wtedy podjąłem decyzję, że chcę tutaj pracować – tak mówił mi wewnętrzny głos. Wielokrotnie zdarzało mi się uczestniczyć w uroczystościach religijnych, które odbywały się po raz pierwszy po kilkudziesięciu latach, np. pierwsza Komunia święta w Medenicach czy pierwsze nabożeństwa w Żydaczowie... Mocne wrażenia! Towarzyszył tym wydarzeniom wielki entuzjazm wiernych, takie wielkie duchowe podniesienie! Teraz nie ma już takiego entuzjazmu. Zmieniło się, dlatego trzeba wracać do tamtych czasów, przypominać je. To prawda, że większość starszych parafian zmarła. Kiedy w 1992 r. przyszedłem do parafii w Ostrogu, kościół działał już kilka lat. Proces odzyskiwania kościołów na Wołyniu następował jednak z pewnym opóźnieniem w stosunku do Ziemi Lwowskiej. W zakrytym kościele katedralnym we Lwowie była mapa, na której każdy odzyskany kościół znaczone był krzyżykiem. Wtedy na Wołyniu nie było ani jednego nowego krzyżyka! Ale



Ks. Kowalów inaczej

był to też wynik niewiedzy, braku przepływu informacji, bo we Lwowie nie wiadano, że ks. Antoni Andruszczyszyn⁶ już w 1989 r. odzyskał kościół w Ostrogu. W odzyskiwaniu kościołów na Wołyniu dwóch kapłanów miało największe zasługi. Pierwszym był ks. Andruszczyszyn. Wspomagał w pracy duszpasterskiej ks. Stanisława Szyrokora-diuka⁹, ówczesnego proboszcza w Połonnem, a obecnego biskupa pomocniczego w Kijowie i administratora apostolskiego diecezji łuckiej. Z czasem ks. Andruszczyszyn został proboszczem w Sławucie – byłej filii parafii Połonne. Ze Sławuty promieniowała jego praca duszpasterska na połowę diecezji łuckiej. Większość kościołów została przez niego odzyskana, przez jakiś czas dojeżdżał nawet do katedry w Łucku, kiedy nie było komu tego robić. Drugim kapłanem był przybyły ze Lwowa ks. Ludwik Kamilewski, który ma wielkie zasługi w ukształtowaniu sieci parafii w diecezji łuckiej. W 1991 r., kiedy bp Marian Jaworski został ordynariuszem lwowskim, a pomocniczymi biskupami mianowani zostali – o. Rafał Kiernicki i ks. Marccjan Trofimiak, ks. Kamilewski pojechał na Wołyń. Wiedział, że tam może zrobić znacznie więcej. Potem, po 2000 r., przeniósł się do Żytomierza, gdzie do dzisiaj pracuje. Kiedyś była to parafia mieszkających w Żytomierzu Czechów. Są to niezapomniane chwile. Uroczyste powroty do zrujnowanych świątyń. Byłem świadkiem tych wielkich procesów i wydarzeń, zarówno o znaczeniu duchowym, jak i społecznym czy politycznym.

Wspomniany przez Księdza Kanonika ks. Augustyn Mednis to bardzo ciekawa postać...

Był Łotyszem. Kurlandczyk, ksiądz, który odpowiedział na apel ówczesnego arcybiskupa łotewskiego Julijansa Vaivodsa. Wierni z Ukrainy zwrócili się do niego z prośbą o przysłanie młodych kapłanów. Trzeba pamiętać, że za czasów ZSRR były tylko dwa seminaria kształcące księży rzymskokatolickich – jedno mieściło się na Litwie, drugie na Łotwie. To na Litwie kształciło księży dla Litewskiej SRR, a w Rydze uczyli się także kandydaci z Ukraińskiej SRR. Starzy polscy księża wymierali, na ich miejsce nikt się nie pojawiał, a parafii było kilkanaście. Ks. Augustyn został wówczas wikariuszem w Samborze, gdzie proboszczem był ks. Ka-

zimierz Mączyński. Z Łotwy przybył też ks. Józef Pawilionis, który trafił także do Sambora z zamkniętej przez sowieckie władze parafii w Stanisławowie (dojeżdżał też w ukryciu do wiernych w Zdołbunowie). Do Żytomierza skierowany został ks. Jan Purwiński – obecnie biskup diecezji kijowsko-żytomierskiej, który pomagał w pracy duszpasterskiej ks. Stanisławowi Szczypcie. W latach pięćdziesiątych ks. Stanisław Szczypa został proboszczem tej parafii, po odbyciu kary zesłania na Syberię. Ks. Szczypa to mój rodak, pochodzący ze Starego Bystrego w parafii Czarny Dunajec. Na Kresach pracował od święceń kapłańskich. Zmarł w latach osiemdziesiątych XX w. Ta postać świadczy o historycznych związkach diecezji krakowskiej i łuckiej.

W jakich okolicznościach poznał Ksiądz Kanonik SB o. Rafała Kiernickiego? To kluczowa postać dla Kościoła we Lwowie, a wciąż tak niewiele o nim wiemy. Czy rzeczywiście był kostyczny, unikający kontaktu z ludźmi? Podobno nie bardzo przepadał za turystami z Polski odwiedzającymi katedrę?

Kiedy zbierałem materiały do pracy, pół dnia siedziałem w archiwum, a potem wędrowałem na piechotę po Lwowie. Czasem spacerowaliśmy z ks. Mednisem, ale tamtejsi księża na takie rozrywki nie mieli za wiele czasu. Na obiady zawsze zapraszał mnie wtedy do katedry o. Rafała. Był bardzo miłym człowiekiem. A ten pogląd, że kostyczny, unikający kontaktów z turystami... No cóż, w tamtych czasach kontakt niewiadomo z kim był bardzo niebezpieczny. Ludzie wschodu mają w sobie coś takiego, że najpierw muszą się upewnić, kto kim jest, by otworzyć się na szerszy kontakt. Wtedy nie można było dopuścić do takiej sytuacji, że przyjeżdża jakiś ksiądz z Polski i nagle będzie mszę św. w katedrze odprawiał. Oczywiście, pozwalano na to, ale w zakrystii lub w kaplicy św. Józefa na uboczu. Skoro nie był zarejestrowany przez sowietów, nie mógł odprawiać mszy świętej! Takie manifestacje mogły skończyć się różnymi karami wymierzonymi w katedrę lwowską i osobiście w o. Rafała. Nie ma się więc co dziwić, że podczas pierwszego spotkania z nim takie wrażenie można było odnieść. Kiedy te bariery zostały przełamane, o. Rafał był bardzo serdeczny i – chcę to wyraźnie podkreślić – troszczył się o mnie. Do dziś brzmią mi w uszach

jego słowa: *Przyjdź na obiad!* To wyraz troski, by gość z Polski nie był głodny, by mógł spokojnie pracować. I siedzieliśmy w małym refektarzyku, rozmawialiśmy, modliliśmy się – niezapomniane chwile! W oczach mam jego sylwetkę, kiedy już mocno schorowany sunął powoli przez katedrę do konfesjonatu, przed którym zawsze czekali na niego wierni. Był otoczony przez wszystkich wielkim szacunkiem, lwowianie pamiętali i pamiętają, co dla nich i ich dzieci przez te trudne lata czynił.

Proszę powiedzieć, jak i dlaczego trafił Ksiądz na Wołyń, a nie pozostał we Lwowie?

Już w czasie święceń kapłańskich wiedziałem od ks. Buczka, że jestem przeznaczony na wikariusza w parafii w Równem. Ponieważ z archidiecezji krakowskiej dostałem opinię, że jestem „filogrekokatolicki”, to w archidiecezji lwowskiej wysłano mnie najdalej jak to możliwe od grekokatolików, czyli najpierw do Równego, a potem do Ostroga. Wtedy nie było tam jeszcze zorganizowanych parafii grekokatolickich. Dla kapłana każde miejsce jest dobre dla pełnienia posługi duszpasterskiej. W jakiś sposób przyczyniłem się do powstania w Ostrogu parafii grekokatolickiej. Jeszcze sześć lat temu nie było tam nabożeństw w obrządku grekokatolickim. Część wiernych chodziła do mnie do kościoła rzymskokatolickiego, inni do cerkwi prawosławnej patriarchatu kijowskiego. Reszta pozostawała poza kościołem. Wciąż u wielu Ukraińców istnieje bariera, że do „polskiego kościoła” chodzić nie będą, tym bardziej do „moskiewskiej cerkwi”... Wtedy zaprosiłem księdza grekokatolickiego z Szumska, który z czasem przeniósł się do Kamionki koło Ostroga. Od sześciu lat prowadzi duszpasterstwo grekokatolickie w Ostrogu. Niebawem rozpocznie tu budowę cerkwi grekokatolickiej – tak więc Kościół w Ostrogu będzie oddychać dwoma płucami...

To dość sielankowa symbioza... Dotychczas raczej słyszałem o konfliktach, braku jakiegokolwiek porozumienia, nie mówiąc już o współpracy między tymi dwoma kościołami na Ukrainie...

Pewne nieporozumienia między naszymi Kościołami istnieją głównie na Ziemi Lwowskiej. Ale nie jest to regułą. Tam też istnieje współpraca obu Kościołów. Ks. Grzegorz Draus, który do niedawna był wikariuszem

w Równem, pełni teraz misję utworzenia parafii rzymskokatolickiej we Lwowie na Sichowie. On przełamuje różne bariery, ma dobre kontakty z protestantami, jest duszpasterzem więziennictwa – razem chodziliśmy do więźniów w kolonii karnej w Horodyszce pod Równem. W jego lwowskiej parafii podstawą są oczywiście osoby polskiego pochodzenia, ale nie ma jeszcze ani kościoła czy choćby kaplicy, a msze święte odprawia w kaplicy Ukraińskiego Katolickiego Uniwersytetu Grekokatolickiego. Tak więc jest współpraca i to w samym Lwowie! Na stosunki naszych Kościołów na Ukrainie patrzymy przez pryzmat konfliktów o świątynie we Lwowie. Statystyka jest niemiłosierna! Mówił o tym niedawno abp Mieczysław Mokrzycki. Bolesna jest sprawa kościoła Matki Bożej Gromnicznej, ale oo. Dominikanie funkcjonują tam w kaplicy z malowidłami Rosena prowadząc duszpasterstwo akademickie, lecz głównym właścicielem kościoła nadal są grekokatolicy... Na tej wizji zaciążyły też takie przypadki jak zabranie kościoła w Komarnie, gdzie sytuacja do dziś nie jest wyjaśniona, i w Brodach, gdzie kościół rzymskokatolicki wycofał się z konfliktu – wybudowano nową świątynię. Ta współpraca, czy jej brak, nie jest wynikiem tylko i wyłącznie oficjalnych stanowisk Kościołów, zależy głównie od kapłanów. Od lat obserwuję, jak księża grekokatolicy i rzymskokatolicy wzajemnie pomagają sobie czy to w spowiedaniu, czy podejmowaniu jakichś wspólnych przedsięwzięć duszpasterskich. Tak się dzieje w Żydaczowie i Stryju. W niektórych ośrodkach naszego „Caritasu” pracują grekokatolicy, a u grekokatolików pracują wolontariusze rzymskokatolicy. Najczęściej nagłaśnia się konflikty, a o tych pozytywnych sprawach się milczy, bo to nie jest *news!* Doszukując się przyczyn braku współpracy, można byłoby wskazać też walkę o *rząd dusz*. Ale na Ukrainie jest tak wielki obszar pracy, że dla wszystkich jest miejsce. Mnie się podoba otwarcie na wschód *neokatechumenatu*. Sam mam też taką *ideę fix*, by w Ostrogu powstał akademik *Opus Dei*. Powinniśmy się konsolidować, by umieć przeciwstawić się szerokiej działalności różnych sekt, zagarniających swymi złudnymi ideami młodych ludzi. Konflikty między naszymi Kościołami nie dotyczą obecnie Wołynia. Ale jak będzie w przyszłości? Jak wpłynie na te stosun-

ki brak wspólnego stanowiska episkopatu rzymskokatolickiego i grekokatolickiego w sprawie rzezi na Wołyniu? Druga strona używa do określenia tego ludobójstwa eufemizmu – *tragedia wołyńska*... Przecież to była rzeź, klasyczna czystka etniczna! W efekcie UPA osiągnęła swój cel – na Kresach pozostało niewielu Polaków...

Dlaczego nie ma jednak możliwości, by wspólne stanowisko zostało wypracowane?

I długo takiego *consensusu* nie będzie. Najpierw Kościół grekokatolicki powinien uznać oficjalnie, że była to klasyczna czystka etniczna, ludobójstwo. Takiego stanowiska nie podejmą nie tylko Kościoł grekokatolicki, ale i państwowe władze Ukrainy. Rzeź na Wołyniu jest bardzo bolesnym faktem historycznym dla Ukraińców. Proszę spojrzeć na *genocyd* Ormian czy współcześnie na Bałkany. Co najgorsze, te czystki etniczne osiągnęły swój cel. Warto i należy domagać się przyjęcia w tej sprawie stanowiska międzynarodowej wspólnoty, nie wolno zapominać samemu i pozwolić na zapomnienie świata. Może warto brać przykład z Żydów, którzy dbają o upamiętnienie *holocaustu*. Na Wołyniu zginęło wiele więcej Żydów niż Polaków. *Holocaust* zachęcił Ukraińców do wykonania czystki na Polakach. Były wtedy przez nacjonalistów ukraińskich śpiewane piosenki, choćby taka: *Z początku budemo żyto żaty, a potem pole oraty*... Co w tym przypadku *żyto* oznacza Żydów, a *pole* Polaków. Tych piosenek jest kilka – taki ślad bolesnej historii w etnografii. Może kiedyś powstanie studium nad folklorem ukraińskim skażonym nacjonalizmem? Byłem w wielu miejscach, gdzie dokonano rzezi na Polakach, spotykałem też miejscowych żyjących jeszcze świadków. Często rzezi dokonywały oddziały nacjonalistyczne pochodzące nie tylko z innych terenów. Bardzo często pomagali im w tym sąsiedzi. Wracając do pana pytania – nie ma też wspólnej oceny wydarzeń historycznych dużo wcześniejszych. Wiele niedomówień jest w przypadku powstania Chmielnickiego¹⁰, nie ma wspólnego zdania na temat Hajdamaczyzny¹¹ czy Koliszczyzny¹². Trzeba też pamiętać, że z tymi wydarzeniami niemal zawsze wiązały się pogromy żydowskie. W powstaniu Chmielnickiego wycięto Polaków i Żydów w Ostrogu i Połonnem. Bardzo chcielibyśmy, by i w naszym przypadku, Pol-



Kościół parafialny w Ostrogu

ski i Ukrainy, nastąpiło też takie spektakularne porozumienie jak między Polską a Niemcami czy Francją i Niemcami. W drodze ku pojednaniu Kościół rzymskokatolicki ma już wiele zasług. Pojednanie powoli, ale jednak postępuje. Trzeba pamiętać o latach, kiedy Kościół grekokatolicki był w podziemiu. W latach osiemdziesiątych XX w. biskupi polscy i grekokatolicki spotkali się w Rzymie, były przemówienia kardynała Glempa i kardynała Lubaczińskiego. Potem obchody 1000-lecia chrztu Rusi, m.in. na Jasnej Górze, też pozytywnie na kontakty między tymi Kościołami wpływały, bo przecież uroczystości odbywały się jeszcze w „peerelowskiej” Polsce. Ostatnio misję pojednawczą miał do spełnienia bp Wenedykt Aleksiejczuk, grekokatolicki biskup pomocniczy ze Lwowa. Uczestniczył w posiedzeniach polskiego episkopatu, podczas których przedstawiał stanowisko Kościoła grekokatolickiego, był też oddelegowany do rozmów z abp. Mokrzyckim. Ważną rolę w tych kontaktach odegrał też prof. Włodzimierz Osadczy z KUL. Jestem przekonany, że dobra wola jest po obu stronach, ale między nami jest tak wielka różnica zdań, tak głęboka rana, że bardzo trudno dojść do wspólnego stanowiska. Bp Aleksiejczuk pochodzi z Wołynia. Poznałem go w czasach, kiedy był ihumenem monasteru w Uniowie koło Przemyślan. Warto nadmienić, że w rejonie Przemyślan wymordowano bardzo wielu Żydów, a w Uniowie Szeptyccy uratowali kilku chłopców żydowskich – był wśród nich Daniel Rotfeld¹³, późniejszy minister spraw zagranicznych Polski. Zawsze obawiam się robienia czegoś na siłę. Pojednania na siłę też się nie robi. Dlatego jestem pełen podziwu dla abp. Mokrzyckiego, że potrafił spokojnie i odważnie powiedzieć, że jeszcze nie dojrzelismy do wspólnego stanowiska. I w tym względzie powinna panować w Kościele rzymskokatolickim na Ukrainie jedno-

myślność. Dlatego też bardzo zaniepokoiła mnie wiadomość o podpisaniu wspólnego Apelu Kościołów w sprawie rzezi wołyńskiej przez bp. Szyrokoradiuka. Wprawdzie wycofał się z tego podpisu, ale w jego imieniu dokument sygnował jego delegat. Skoro złożył podpis, to jednak posiadał pełnomocnictwa biskupie. Chwała Bogu bp Szyrokoradiuk wydał oficjalne oświadczenie i wycofał się dyplomatycznie. Jednolite dotąd stanowisko Kościoła rzymskokatolickiego zostało jednak zachwiane. Wykorzystali to natychmiast dziennikarze – głównie „Gazety Wyborczej” – bardzo nagłaśniając całą sprawę, co nie służy przecież porozumieniu.

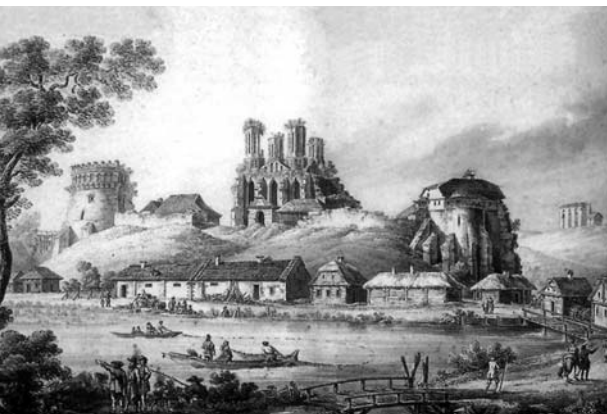
Jakie jest stanowisko Kościoła prawosławnego w sprawie ludobójstwa Polaków na Ukrainie?

Kościół prawosławny na Ukrainie od początku lat 90. XX w. jest w głębokim rozbitciu. Większość wiernych przynależy do Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego. Cerkiew Patriarchatu Kijowskiego, niekanoniczna, nie jest uznawana przez inne kościoły prawosławne. Ta sytuacja trwa już ponad 20 lat! A trzeci jest Autokefaliczny Kościół Prawosławny. Powstanie Cerkwi Patriarchatu Kijowskiego było odpowiedzią na konkretne zabiegi polityczne pewnych osób za czasów prezydentury Leonida Kuczmy. Wtedy niektórym wydawało się, że stworzą kościół narodowy. Gdyby społeczeństwo ukraińskie związane z Kościołem prawosławnym było bardziej skonsolidowane, pewnie ten zabieg politykom by się udał. Tymczasem spowodowało to dramatyczne rozbitcie Kościoła prawosławnego, który na Ukrainie był pod

kuratelą Moskwy. Sytuacja jest bardzo trudna dla samych prawosławnych, jak i dla nas. Jeśli mamy lepsze kontakty z jednym z tych wyznań, automatycznie gorsze są z pozostałymi. Generalnie teraz kościół rzymskokatolicki ma dobre kontakty z Patriarchatem Kijowskim. Ale w Ostrogu były lepsze z Patriarchatem Moskiewskim. Od wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II na Ukrainie obowiązuje oficjalny okólnik, by te kontakty z Patriarchatem Moskiewskim ograniczać. W zależności od tych obediencji prawosławnych jest też różne podejście do problemu ludobójstwa na Wołyniu. Patriarchat Moskiewski ma stanowisko bardzo zbliżone do naszego. To też się nie podoba nacjonalistom ukraińskim, którzy mówią: *Moskwa i Warszawa zawsze proty nas*. Patriarchat Kijowski ma bardziej wyważone spojrzenie, a Kościół Autokefaliczny cięży bardziej w stronę stanowiska nacjonalistycznego. Prawosławie ma swoje współczesne problemy i jeśli nie musi, stara się unikać stanowisk, które mogą mu przysporzyć dodatkowych kłopotów. Do takich stanowisk zalicza się ocena rzezi na ludności polskiej na Wołyniu.

W tym roku obchodzimy 70. rocznicę ludobójstwa na Wołyniu. Książ *Kanonik od wielu lat opowiada o tych dramatycznych wydarzeniach podczas kazań, w wydawanych publikacjach, ale przede wszystkim organizując kościelne uroczystości.*

Na Wołyniu pamiętamy, odprawiamy nabożeństwa, modlimy się, odpowiadamy na każdą prośbę, jeśli ktoś z Polski przyjedzie i prosi żeby odprawić nabożeństwo albo poświęcić postawiony krzyż czy odnowiony grób. To jest normalna i naturalna dla nas księży sprawa. Od kilku lat funkcjonuje zarządzenie naszego biskupa zatwierdzone w Rzymie, że w drugą niedzielę lipca odprawiane jest nabożeństwo żałobne w każdej parafii, w każdym kościele, w intencji ofiar rzezi wołyńskiej. Honorujemy więc tę symboliczną datę 11 lipca, kiedy nastąpiła kulminacja rzezi na ludności polskiej na Wołyniu. Poza tym obchodzone są rocznice mordów w poszczególnych miejscowościach. Do niektórych miejsc są organizowane pielgrzymki z Polski, w których uczestniczą rodziny pomordowanych i coraz rzadziej ci, którym udało się cudem ująć z życiem. Bierzymy udział w tych uroczystościach odprawiając



nabożeństwa czy w Ostrówkach, Porycku, w okolicach między Kostopolem a Sarnami, Hucie Stepańskiej czy Janowej Dolinie. Takim przykładem mogą być uroczystości organizowane przez pana Janusza Horoszkiewicza w okolicach Huty Stepańskiej, do uczestnictwa w których byli zaproszeni ks. bp Marcjan, ks. Władysław Łukasiewicz¹⁴ z Sarn i wielu innych księży z okolic. Nie jesteśmy w stanie wymienić w tym miejscu wszystkich miejsc zbrodni na Polakach... W Ostrogu, gdzie jestem proboszczem, Polacy mieli szczęście. Zamordowano wprawdzie 38 osób na ul. Tatarskiej, ale spowodowało to powstanie samoobrony polskiej. UPA nie odważyła się zaatakować Ostroga w czasie, kiedy Niemcy i Węgrzy wyszli z miasta, a sowietci jeszcze nie wkroczyli. To był grudzień 1943 r. i styczeń 1944 r., najgorszy dla Polaków czas. Ale jak wspomina o. Remigiusz Kranc¹⁵, który stanął na czele samoobrony w Ostrogu, wcześniej wiele polskich wiosek dosłownie zniknęło z mapy między Ostrogiem, Zdołbunowem a Krzemieńcem. To był obszar, na którym bardzo aktywnie działało UPA.

W Polsce towarzystwa kresowe walczą o uznanie przez nasze najwyższe władze rzezi wołyńskiej jako ludobójstwa i o usankcjonowanie 11 lipca jako dnia pamięci ludobójstwa na Wołyniu.

Nie mam żadnych wątpliwości, że rzeź OUN/UPA na Polakach na Kresach była ludobójstwem. I walka o to, by oficjalnie usankcjonować 11 lipca jako dzień pamięci o ofiarach ludobójstwa na Kresach jest bardzo ważna. Jednak dla mnie jako kapłana mieszkającego na Wołyniu ważniejsza jest pamięć o każdej wymordowanej miejscowości, o każdym miejscu, w którym mordowano bezlitośnie niewinnych Polaków. Każdą inicjatywę ustawienia w takim miejscu krzyża, pomnika, tablicy witam ze wzruszeniem, że jeszcze są tacy, którzy pamiętają, choć tutaj kamień na kamieniu nie został. Tak więc przyjeżdżają, pokonują biurokratyczne bariery i stawiają krzyże pamięci. Ale nadal jest wiele miejsc do dziś nie upamiętnionych, zapomnianych. Taka wieś Hurby, o której wielokrotnie pisaliśmy w „Wołaniu z Wołynia”, zamordowana 2 czerwca 1943 r., polska wieś. Rok później NKWD wyłapało banderowców i nacjonalistów i wykonało na

nich wyrok. Obecnie w Hurbach upamiętnia się upowców budując im *memoriał sławy!* A o ofiarach polskich się zapomina!

Może nie ma już Polaków, którzy przeżyli lub ich rodzin...

Są tacy, którym udało się cudem ująć z życia. Nie będę podawał nazwisk... Od dawna zachęcam ich, by podjęli inicjatywę postawienia w tamtym miejscu krzyża czy symbolicznego grobu upamiętniających męczeńską śmierć rodaków. Pozostaje to bez echa, a my zawsze służymy pomocą, radą i modlitwą.

Jaka była idea powstania dwumiesięcznika „Wołanie z Wołynia”?

Od samego początku, jak się na Wołyniu znalazłem, odczuwałem brak religijnego czasopisma, miejscowego czasopisma. Przywożono gazety z Polski, czy to „Gościa Niedzielnego” czy „Źródło”. A „Wołanie z Wołynia” powstało dlatego, że sporo ludzi z Polski pisało do nas, zadając nam pytania. My też chcieliśmy się podzielić tym, co u nas się działo, a wtedy działo się przecież wiele ciekawych rzeczy. Sami też szukaliśmy w Polsce ludzi, którzyby mogli i chcieli nas wesprzeć w budowach i remontach świątyń. Tytuł naszego pisma powstał spontanicznie. Nie pamiętam, kto go wymyślił. Siedzieliśmy całą noc i zastanawiali się, jak to pismo powinno wyglądać i jaki nadać mu tytuł. Oprócz mnie byli to ks. Marcin Strachanowski – mój pierwszy wikariusz w Ostrogu, i ówczesny diakon, potem drugi mój wikary w Ostrogu, ks. Andrzej Ściśłowicz. Nad ranem powstała nazwa „Wołanie z Wołynia”. Od samego początku ukazywały się dwie wersje, polska i ukraińska. Dwumiesięcznik wydajemy od osiemnastu lat – niedawno ukazał się nr 111. Przy piśmie powstała seria wydawnicza, która też była koniecznością chwili. Od 1939 r. na Wołyniu nie ukazało się żadne wydawnictwo nie tylko w języku polskim, ale i o tematyce religijnej. Nasz dwumiesięcznik i nasze książki były pierwsze. Obecnie jest już kilka pism, choćby „Monitor Wołyński” ukazujący się w Łucku i „Gazeta Polska” w Żytomierzu. Żyli i mieszkają tutaj wspólni ludzie różnych nacji i wyznań. Wołyń posiada piękną historię i kulturę. Warto bliżej je poznać i dzielić się tym dziedzictwem z innymi.

A problemy finansowe związane z przejęciem dotowania działalności Polaków poza granicami przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP...

Kłopoty finansowe na wschodzie ma każdy. „Wołanie z Wołynia” też korzystało ze wsparcia Senatu RP poprzez Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie, obecnie trwamy m.in. dzięki dotacji, jaką otrzymujemy poprzez Konsulat Generalny RP w Łucku. Prowadzenie wydawnictwa nie jest łatwą sprawą w dzisiejszych czasach, bo kosztowne jest zarówno wydawanie pisma czy książek, jak i ich kolportaż.

Ostatnią inicjatywą wydawniczą Księdza Kanonika jest *Wołyński Słownik Biograficzny*...

Zebrało się nam sporo materiałów, które są ciekawe, ale nie wszystkie nadają się do wykorzystania w czasopiśmie, choćby przez swą objętość. Żeby jednak nie zostały całkiem zaprzepaszczone, postanowiłem rozpocząć edycję *Wołyńskiego Słownika Biograficznego*. Dopuszczamy tam wszystkie biografie ludzi związanych z Wołyniem. Nie tylko tych wielkich i znanych, ale i takich, które dla naszej wołyńskiej społeczności miały znaczenie kulturowe, społeczne czy religijne. Chcemy ich ochronić od totalnego zapomnienia. Wiele lat temu rozesłaliśmy ankietę do czytelników „Wołania z Wołynia” z myślą o stworzeniu tego słownika, Odzew był nadszpedzenie interesujący. Dotarły do nas informacje o wielu zasłużonych dla Wołynia dawnych jego mieszkańców, zwłaszcza dotyczące nauczycieli, urzędników państwowych, policjantów, oficerów, lokalnych polityków. Naszą ambicją jest pokazanie tych postaci od najwcześniejszych lat, po współczesność, niezależnie od narodowości. Przecież mieszkali na tym terenie Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Rosjanie, Karaimowie, Niemcy, Czesi, Węgrzy.

Będąc czytelnikiem „Wołania z Wołynia” wiem, że redakcję stanowi nie tylko ks. Józef Kowalów...

Oczywiście sam nie podołałbym temu wszystkiemu. Jest cała grupa wolontariuszy, entuzjastów „Wołania z Wołynia” niemal w każdej parafii w łuckiej diecezji, piszących i wspomagających w wysyłce pisma. Wśród stałych współpracowników są pan Wiktor Chomicz w Lubieszowie, panie Maria Bożko i Erna Szewczuk w Dubnie, pan Stanisław

Derepa w Klewaniu, pani Ludmiła Poliszczuk w Ostrogu...

W roku 2008 przyjął Ksiądz Kanonik obywatelstwo ukraińskie. Była to konieczność czy wola „bycia z miejscowymi”, ludem bożym na Kresach, na takich samych zasadach i prawach?

Mieszkam tutaj ponad 20 lat. Dlaczego mam być obywatelem drugiej kategorii?

Jakie reakcje wzbudziła u Polaków zmiana obywatelstwa przez księdza?

Nie tyle zmiana, co rezygnacja z obywatelstwa polskiego wzbudziła u niektórych moich krewnych czy znajomych dziwną reakcję. Niektórzy nazwali mnie zdrajcą, inni odnieśli się do tego ze zrozumieniem. Był nawet donos do kurii krakowskiej, że nie jestem już obywatelem polskim.

Jak ta zmiana wpłynęła na status księdza jako Polaka w Polsce? Czy spowodowało to zmiany w traktowaniu księdza przez polskie służby dyplomatyczne na Ukrainie?

W Polsce jestem traktowany, choć urodziłem się w Zakopanem i połowę życia spędziłem w Polsce, jako obcokrajowiec, osoba co najmniej podejrzana. Miałem problemy z uzyskaniem wizy do Polski. Po pewnym czasie dawni znajomi i przyjaciele – dobrzy ludzie – pomogli mi uzyskać stały pobyt w Polsce, u moich rodziców, w moim rodzinnym domu.

Na łamach „Wołania z Wołynia” piszecie o zmianach zachodzących w kościele na Kresach. W Polsce często piszemy i mówimy o Kościele na Kresach jako o Kościele Polaków tam żyjących, oburzamy się, że do kościołów wkroczył język ukraiński...

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że rzymskokatolicki Kościół na Ukrainie nie jest polskim Kościołem i tylko Kościołem Polaków. To jest Kościół rzymskokatolicki, którego większość wiernych stanowią rzeczywiście Polacy albo osoby polskiego pochodzenia. Ale to też nie jest już takie wyraziste, bo coraz więcej wiernych to Ukraińcy, choć też mający konksje polskie. Oni są już jednak Ukraińcami *polskiego pochodzenia* albo Ukraińcami przychylnymi dla Polski. Obecnie coraz więcej ludzi na Ukrainie darzy Polskę sympatią – to ciekawe zjawisko. Zwłaszcza w świetle oceny historii jakże różnie przedstawianej. I to nie

chodzi tylko o rok 1943, bo wiele innych faktów w naszej wspólnej historii przedstawianych jest w diametralnie różny sposób przez historyków ukraińskich i polskich. A jeszcze inna ocena jest rosyjska... To jest wielki problem. Ludzie musieli żyć w tej różności, żyją dzisiaj i żyć będą nadal... Smutnym zjawiskiem jest kryzys demograficzny – wymierają parafie wiejskie, których zresztą nasz Kościół ma niewiele. Oprócz Polaków i osób pochodzenia polskiego mamy parafian Ukraińców oraz osoby pochodzenia niemieckiego i czeskiego. Język ukraiński w Kościele rzymskokatolickim jest rzeczą naturalną. Wielu wiernych jest przywiązanych do języka polskiego w liturgii mszy świętej – i bardzo dobrze! W mojej parafii – w Ostrogu na Wołyniu – odprawiamy cztery msze św. w każdą niedzielę: dwie po polsku – o godz. 8.00 i 17.00; dwie po ukraińsku – wieczorem w sobotę o godz. 18.00 i w niedzielę o godz. 10.00. Każdy może sobie wybrać swobodnie zarówno język, jak i porę dnia. Ukrainizacja kościoła rzymskokatolickiego jest nieuchronna. Nie ma się co łudzić, że będzie inaczej. Jestem za zasadą równoprawności języków i stosuję to ściśle. Ostatnio bp Szzyrkoradiuk nakazał przenieść z wieczorowej pory na przedpołudniową mszę świętą w języku ukraińskim. Mnie to z początku oburzało, ale stwierdziłem, że może to ma sens? Nie wszystkim odpowiada proponowana pora. A wielu ludzi chodzi do kościoła na daną godzinę nie ze względu na język, a ze względu na porę. Choć tak naprawdę wszyscy zmieściliby się na jednej mszy świętej...

Czy podczas mszy świętych dostrzega Ksiądz Kanonik różnice wiekowe wiernych?

Starsze osoby przywiązane są do mszy świętych odprawianych w języku polskim. A ci najmłodszy wolą już po ukraińsku. O wiele groźniejsze zjawisko obserwuję na katechezach... Dzieci w 5–6 klasie nie są w stanie przeczytać tekstów po ukraińsku, a co dopiero po polsku! To efekt komputeryzacji, internetu i esemesowania. Odczuwalny jest wielki wpływ języka angielskiego. Młodzież ma też problem fonetycznego czytania. Odnoszę wrażenie, że młodzieży łatwiej czyta się po angielsku niż po polsku. Kiedyś myślałem, że ukrainizacja kościoła potrwa jakieś 70 lat. Ale to idzie znacznie szybciej. Niestety. Dawniej było większe przywiązanie do polskości, nie tylko poprzez sferę emo-

cjonalną. Na Ukrainie jeszcze nie jesteśmy Europejczykami, ale społeczeństwo coraz mniej chce uzewnętrzniać się ze swą narodowością... Przypomina się tzw. „tutejszość”, zauważona i opisana przez Melchiora Wańkowicza na Polesiu, społeczeństwa, które nie bardzo potrafiło wskazać swą przynależność do narodu czy państwa... Pewnie mają na taką postawę prywatności wpływ wydarzenia polityczne wstrząsające Ukrainą. Politycy stawiają Ukraińców pod murem i oczekują deklaracji... A ludzie nie bardzo chcą być biali albo czarni. Uciekają w swą prywatność. Ukraińskości zdecydowanie szkodzi nacjonalizm ukraiński. W Polsce pokazuje się to zjawisko niekiedy z wielką przesadą, co tylko daje nacjonalistom reklamę. Oczywiście nie znaczy to, że jestem zwolennikiem niereagowania. Trzeba, i to stanowczo, reagować! Choćby ostatnio sytuacja z koncertem we Lwowie na cześć SS Hałyczyna współorganizowanym przez samorząd Lwowa. Dzięki radnym z Krakowa koncert został odwołany. Tak samo trzeba po imieniu nazywać ludobójstwo na Wołyniu, bo to była klasyczna czystka etniczna. Ale trzeba też pamiętać, że nie była wykonana w imieniu całego narodu ukraińskiego, To była sprawa i interes nacjonalistów OUN-UPA. Wielu Ukraińców zginęło też z rąk nacjonalistów ukraińskich.

Mówi się o sympatiach wschodnich Księdza Kanonika, zresztą sam ksiądz powiedział wcześniej o swym „filogrekokatolicyzmie”. Skąd takie wschodnie zainteresowania Księdza?

Część mojej rodziny wywodzi się ze Wschodu. Moja prababcia ze strony taty urodziła się w Szatmar, kiedyś należącym do Węgier, obecnie nazywa się Satu Mare i znajduje się w Rumunii. Do dziś żyje tam duża mniejszość węgierska i niemiecka. W rodzinie mojego taty zawsze była taka tradycja, że jeszcze odleglejsza w czasie praprababcia męża kuzynki taty była ze Skoropackich i mieszkała w Kijowie. Mój dziadek ze strony mamy, Józef Stanek, urodził się w Chicago w 1903 r., a pradziadek, żeby wyjechać do Ameryki, pracował jakiś czas w Peszcie w browarze, za co kupił sobie bilet na parowiec. Dziwiłem się zawsze, czemu nie ma metryk chrztu, skoro już na Podhalu odbył się ślub babci i dziadka. Okazało się,

dokończenie na s. 63

Zbigniew Wawszczak

Z LONDYNU NA WOŁYŃ

Opowieść o podróży potomków polskich ziemian do rodzinnego majątku

CZĘŚĆ 1

Wiosną 2005 roku inż. Jerzy Rąbalski z Londynu nawiązał kontakt z dr. Władysławem Grzebykiem, pytając, czy nie pomógłby mu w odwiedzeniu jego rodzinnej miejscowości w okolicy Dubna na Wołyniu. Dr Grzebyk znany jest w wołyńskich kręgach Polonii w Anglii jako organizator kilku wycieczek-pielgrzymek do Dubna. Odpowiedź była pozytywna.

Skorzystałem z zaproszenia przyjaciela, by poznać cudowną ziemię jego dzieciństwa i wczesnej młodości, magiczny Wołyń. Kraj, który w świadomości przeciętnego, zwłaszcza kresowego Polaka kojarzy się z tragicznym okresem drugiej wojny światowej. Podróż, oprócz oczywistego zadośćuczynienia prośbie rodaka z Londynu, zaowocowała również szeregiem reportaży w audycji „Kresy”. Przez kilkanaście tygodni relacjonowałem ten wyjazd. Oto istotne fragmenty relacji w wyprawie do Dubna i Zbitynia.

W lipcu 2005 roku mikrobus prowadzony wprawna ręką p. Zbyszka Rybki, szefa rodzinnej firmy przewozowej z Tyczyna, przekroczył z grupą 5 pasażerów granicę państwa w Korczowej. Formalności trwały kilka godzin. Wyjechaliśmy w gronie: wspomniany już inż. Jerzy Rąbalski z dwiema córkami – Carmen i Leną, dr Władysław Grzebyk oraz piszący te słowa.

Przygraniczne wsie, oglądane zza szyb samochodu, podobne do naszych. Dużo budynków w stanie surowym świadczy o stymulującym wpływie granicy polsko-ukraińskiej na rozwój budownictwa prywatnego, niechętnie jeszcze widzianego w niedawnej przeszłości. Pan Zbyszek, nie po raz pierwszy przebywający te trasy, tłumaczy nam, że właścicielom brak pieniędzy na dokończe-

nie inwestycji. Jednak im dalej na wschód, tym większą widać różnicę między polskim a ukraińskim krajobrazem. Wsie coraz uboższe i mniej zadbane. Z rzadka tylko dostrzec można dachy kryte blachą lub dachówką. Przeważnie króluje wszechobecny, szkodliwy azbest. Tu i ówdzie niszczące budynki dawnych gospodarstw kolektywnych, sowchozów i kołchozów. Olbrzymie łąny dojrzewających zbóż przeplatają się z innymi, mniejszymi uprawami, tworząc malowniczą szachownicę. Świadczy to o odradzeniu się gospodarki indywidualnej. Nietrudno też zauważyć inną różnicę między naszym a ukraińskim pejzażem. Polskie pastwiska są prawie puste, za granicą widać stada pasącego się bydła, przeważnie czarno-białej, holenderskiej rasy, obok nich grupki koni. Widocznie Ukraińcom, przeciwieństwie do nas, opłaca się indywidualnie hodować bydło. Nad potokami i stawami masy wodnego ptactwa świadczą o zapobiegliwości ludności wiejskiej, by mieć mięso z własnej hodowli.

Mając na uwadze odległy cel podróży, szybko przejeżdżamy przez Lwów, decydujemy się jedynie na krótki postój obok Cmentarza Orłąt. Z dołu, ponad ogrodzeniem, widać szeregi białych krzyży na grobach bohaterów, którzy oddali życie w walce o ukochane miasto. Niestety, nie udało się nam wejść przez boczną furtkę. Skorzystanie z głównego wejścia, położonego dość daleko od naszego postoju, wymagałoby przejścia przez cały Cmentarz Łyczakowski i obowiązkowo obok pomnika Strzelców Siczowych, a na to nie mogliśmy sobie pozwolić. Zbyt wiele czasu straciliśmy na granicy. Zaglądamy tylko przez szczelinę furtki, wykonujemy pamiątkowe zdjęcia i ruszamy dalej na wschód.

Jedziemy obwodnicą Lwowa. Doradczono nam, że bez zbędnej straty czasu można zjeść obiad w zajeździe „Wiking” przy drodze na Kijów. Zjazd jest w prywatnych rękach, powstał kilka lat temu. Ładnie zaaranżowane wnętrza z elementami rycerskiego uzbrojenia koresponduje z nazwą. My jednak zajęliśmy stolik na zewnątrz. Z rozmowy z personelem wynika, że zjazd ma powodzenie. Dogodne położenie, smaczna kuchnia i ładny wystrój sprawiają, że w zajeździe chętnie zatrzymują się nawet wybitni przedstawiciele świata polityki, biznesu i kultury. Z pewną zadumą wspomi-

na się tu odwiedziny popularnych aktorów, m.in. Rusłany, oraz polityków, jak np. brata prezydenta Ukrainy Juszczenki. Po spożyciu smacznego posiłku, w tym ukraińskiego barszczu, ruszamy w dalszą drogę. Następny postój planujemy dopiero w Dubnie, po przebyciu 150 km.

Przez parę godzin towarzyszą nam zmieniające się jak klatki filmowe rozległe równiny, przeplatane płaskowyzami i smugami lasów. Przypominamy sobie, że Ukraina pod względem obszaru – jest jednym z największych państw Europy (na szóstej pozycji) – należy do krajów wyjątkowo bogato wyposażonych w szatę leśną. To jedno z wielu bogactw tego kraju, zajmuje 39% powierzchni. A drogi? Przeważnie marne, wyboiste, ale pojawiają się spore odcinki o nowych, równych nawierzchniach. Po bokach pasy drzew zasadzone jeszcze w czasach Chruszczowa. Niestety, ograniczają one możliwość obserwowania krajobrazu, co było prawdopodobnie jednym z celów ich powstania, ale spełniają też inne pozytywne role, oczyszczając powietrze i stanowiąc naturalne osłony przeciwnieogowe.

Naszemu rodakowi z Londynu, dla którego jest to pierwszy od ponad sześćdziesięciu lat powrót na Kresy, przypadły do gustu. Córki, słabo mówiące po polsku, nie wypowiadały się na ten temat. Ich mama jest Hiszpanką, mieszkając i pracując w Anglii, są więc dwujęzyczne.

Zbliża się wieczór, a my jesteśmy w drodze od godziny 6 rano. Pomimo wygodnego i nie w pełni wypełnionego mikrobusu czujemy w kościach ponad trzy i pół setki przebytych kilometrów. Na szczęście organizator wyprawy dr Władysław Grzebyk oznajmia, że zbliżamy się do rogatek Dubna. Po prawej stronie, na lekkim wzniesieniu, pojawia się duża metalowa kompozycja z sylwetką zamku i napisem DUBNO. Oczywiście cyrylicą.

Wysiadamy z busa, by na tym tle zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Zapada już zmierzch, gdy mijamy ustawiony na wysokim postumencie czołg T-34, niezwykle skuteczny w walkach II wojny światowej. Dobrze, że niepodległa Ukraina nie odesłała go do huty. Miliony Ukraińców w szeregach Armii Radzieckiej walczyły z III Rzeszą. Tysiące, w czołgach u boku Rosjan, szturmowały skutecznie Berlin. Wielu oddało swoje młode życie.

Pierwsze wrażenie z wjazdu do 900-letniego grodu osłabia coraz większa ciemność. Po lewej stronie – brama Łucka i sylwetka dawnego klasztoru oo. Bernardynów, dziś cerkiew prawosławna. W dali mignęła baszta zamku Ostrojskich. Na dokładniejsze zwiedzanie przyjdzie jeszcze czas. Tymczasem, prowadzeni przez rodowitego Wołyniaka, dr. Władysława Grzebyka, kierujemy się w stronę peryferii, do dzielnicy Surmicze, gdzie w jednym z domków w stylu rustykalnym zamierzamy spędzić kilka najbliższych dni. Zostaliśmy zaproszeni przez panią Marię Bożko, przewodniczącą Towarzystwa Kultury Polskiej na Dubieńszczyźnie.

Co prawda jest w mieście nowoczesny, niedawno pobudowany hotel, ale my wolimy zatrzymać się u swoich, pomagając w ten sposób, jak się okazało, serdecznym i gościnnym, choć niezamożnym rodakom. Z pewnością w hotelu byłoby wygodniej, jednak nie mielibyśmy tej kameralnej, prawdziwie rodzinnej atmosfery. Mogliśmy poznać bliżej życie gospodarzy oraz docenić szczególnie talenty kulinarne p. Marii. Po ulokowaniu w kilku pokojach niespodziewanie przestronnego domu i spożyciu smacznego kolacji udaliśmy się na zasłużony odpoczynek. Spodziewamy się, że czekają nas tu ciekawe przeżycia.

Dopiero nazajutrz, w trakcie zwiedzania zamku, najważniejszej atrakcji miasta, zrozumieliśmy, dlaczego Dubno – stare, ponad 900-letnie wołyńskie miasto, ulokowane nad meandrami leniwie płynącej srebrnej Ikwy (opiewanej przez Juliusza Słowackiego) i rozciągającymi się wokół bagnami, było obiektem tak trudnym do zdobycia. Nad położoną na równinie osadą dominował gród, przekształcony z czasem w mocno ufortyfi-



Przybyśże z Londynu: inż. Jerzy Rębalski wraz z córkami Carmen i Leną.

kowany zamek. Przez długi czas pozostawał w rękę zamożnej rodziny ruskiej, książąt Ostrogskich, którzy rozbudowali warownię. W XVIII wieku nowi właściciele, Lubomirscy, wzniesli obok zamku bardziej okazały pałac.

Aby dostać się na teren zamku, należy przejść przez drewniany most, który niegdyś był zwodzony, a następnie przekroczyć potężną bramę ozdobioną kolorowym herbem. Na tarczy starannie odrestaurowanej dostrzegamy herby Ostrogskich (św. Jerzy zabijający smoka), Sanguszków (Pogoń litewska) i Lubomirskich (Szreniawa). Prawdopodobnie niejedną raz przez zwodzony most przerzucono nad podobną do głębokiego wąwozu fosą wjeżdżał do zamku, w otoczeniu zbrojnego orszaku, hetman litewski, znakomity dowódca, ks. Konstanty Ostrogski. Być może triumfalnie wracał po zwycięskiej bitwie pod Orszą nad Dnieprem w 1514 roku, kiedy to dowodzone przez niego wojska polsko-litewskie w puch rozniosły armię moskiewską. Może w orszaku zwycięzcy prowadzili jeńców wziętych do niewoli pod Orszą?

Bramę i otaczający ją budynek odrestaurowano jeszcze za czasów II Rzeczypospolitej. Mieściło się tu starostwo. Wchodzimy na ogromny dziedziniec zamkowy, zamknięty dwiema potężnymi budowlami: XVI-wiecznym zamkiem Ostrogskich i XVIII-wiecznym pałacem Lubomirskich. W obu budynkach prowadzone są od lat prace remontowo-konserwatorskie. Rozpoczęto jak należy, od remontu dachów, a następnie sukcesywnie wykonywane są dalsze roboty. Jednak potrzebne są olbrzymie kwoty, a państwo ukraińskie podobnych obiektów, będących świadkami historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ma wiele. Na razie wewnątrz nie ma dużo do zwiedzania, podziwiać można tylko niektóre, częściowo wyremontowane sale.

Przez długie lata dubieński zamek wykorzystywały kolejne armie, ostatnio Armia Czerwona. Zwiedzając częściowo odremontowane (przez ekipę ze szkoły im. Iwana Trusza we Lwowie) sale pałacu Lubomirskich, w jednej z nich podziwialiśmy wspaniałą fryz, przedstawiający kształtne nimfy tańczące z faunami. Brak we fryzie jednej nimfy wytłumaczono nam tym, że gdy zeszła do śpiewających w tej sali żołnierzy radzieckich, biedaczka już nie powróciła.



Sam dziedziniec uporządkowany, przystosowany do ruchu turystycznego. Ustawione są zabytkowe haubice. Kilka lat temu prowadzone były prace wykopaliskowe, ale z powodu śmierci profesora kierującego badaniami roboty przerwano i do tej pory nie wznowiono. Z dziedzińca ogrodzonego murem można wąską furtką wyjść na zewnątrz i stromą ścieżką zejść do Ikwy. Od strony rzeki zamek prezentuje się jeszcze okazalej. Niewątpliwie atrakcją zamkowej twierdzy są lochy. Widoczne z daleka półkolisty sklepienie zachęca do ich zwiedzenia. Schodzimy w dół kilkoma schodami. Jeszcze niedawno można było tu wjechać powozem. Znajdujemy się w długim, wysokim i dość szero-kim pomieszczeniu. Mieczysław Orłowicz w popularnym przedwojennym przewodniku po Wołyniu podaje, że w lochu można było swobodnie zawrócić karetą. To prawda. Inna legenda głosi, że loch ten prowadził kiedyś do klasztoru Bernardynów, odległego o ponad 2 km. Nie sprawdzamy tego. Gdy spoglądaliśmy na kamienne sklepienie i ściany tego lochu, na których widoczne są otwory po żelaznych okuciach, pomyśleliśmy o więzionych jeńcach wojennych, którzy w mroku i wilgoci marzyli o wolności i wyjściu na światło dzienne. My swobodnie wychodzimy, by udać się na krótki spacer po zamkowych wałach. Z wysoka widać fosę, która niegdyś była odnogą Ikwy. Na krańcach wałów dwie baszty. Z jedną, basztą Beaty, związana jest legenda: gdy trwało wesele księżniczki Beaty, pod twierdzę podeszli Tatarzy. Nadmiar wypitego alkoholu spowodował dezorganizację w szeregach obrońców, jedynie przytomność umysłu panny młodej i jej celny strzał z basztowej armaty uratowały zamek przed wrogiem.

Opuszczając zamek, zwiedziliśmy jeszcze nieduże muzeum, znajdujące się w części bramowej. Wśród kameralnej ekspozycji ikon zauważyliśmy portret surowej pani. Podpis informuje, że jest to Anna Alojza Chodkiewiczowa, żona hetmana Karola Chodkiewicza, jednego z wielkich wodzów

Kościół oo. Bernardynów w Dubnie, wzniesiony z pocz. XVII w., wczesnobarokowy. Obecnie cerkiew

Rzeczypospolitej szlacheckiej. Według historycznego przekazu, po śmierci męża zabrała potajemnie jego zwłoki z Kresów i przewiozła do klasztoru sióstr Benedyktynek w naszym Jarosławiu. Bała się, że gdy Kozacy zdobędą Ostróg, sprofanują jego doczesne szczątki. W pomieszczeniu obok modnie ubrana dziewczyna sprzedaje bilety, oddzielnie na zwiedzanie dziedzińca zamkowego i oddzielnie na wystawę ikon. Jest też kilka okolicznościowych wydawnictw, w tym jedno po polsku. Chętnie skorzystaliśmy.


Dzisiejsze Dubno jest niedużym, około 40-tysięcznym prowincjonalnym miastem. Nie zawsze tak było. W dziejach tego grodu bywały okresy, że kwitło tu bujne życie, zjeżdżały tłumy szlachty niemal ze wszystkich stron Rzeczypospolitej na doroczne zjazdy, zwane kontraktami dubieńskimi. Przybywali kupcy i bankierzy, a nawet z Warszawy zajeżdżał słynny Bogusławski ze swym teatrem. Jeszcze wcześniej, od XVI wieku, o gród dubieński rozbijały się najazdy tatarskie, kozackie i moskiewskie. Tak było np. w 1577 roku, kiedy to ksiązę Janusz Ostrogski odparł niszczący najazd tatarski. Niestety, samo miasto zostało spustoszone, ale mieszkańcy zdążyli się schronić za murami zamku. Jak podaje kronikarz, ponad 200 wsi należących do ksiąząt Ostrogskich zostało przez najeźdźców z Krymu złupionych i spalonych. Podczas próby zdobycia zamku sytuacja była jednak poważna. Siostra ks. Janusza, panna Katarzyna Ostrogska, gdy Tatarzy Dubna dobywali, poprzysięgła sobie modląc się ustawicznie, skoczyć w wodę, jeśliby zamku dobyli. Na szczęście do tego nie doszło. Nie próbował zdobyć dubieńskiej twierdzy Bohdan Chmielnicki w 1648 roku, mimo że wiedział o skarbach w niej zgromadzonych; jednak Kozacy złupili miasto i wymordowali 1500 Żydów. Zamek wytrzymał również kilkumiesięczne oblężenie sprzymierzonych z Kozakami wojsk moskiewskich gen. Szeremietiewa w 1660 roku. Siłami polskimi dowodził wówczas hetman wielki koronny Stanisław Potocki.

Okres największego rozkwitu przeżyło Dubno na przełomie XVIII i XIX stulecia, kiedy wraz z rozległymi obszarami ziemskimi stało się własnością rodziny ksiąząt Lubomirskich. Przełomową datę stanowi rok 1772. Ze Lwowa zajętego przez Austrię przeniesiono do Dubna doroczne zjazdy szlachty

zwane kontraktami. Trwające kilka tygodni kontrakty dubieńskie rozpoczynały się na początku roku kalendarzowego. Prowadzenie interesów, np. handel pszenicą, którą następnie spławiano do Gdańska, umilano sobie hucznymi zabawami. W karty przegrywano fortuny, a zdarzały się i samobójstwa z tego powodu. Jak pisze pamiętnikarz, właściciel Dubna ks. Michał Lubomirski *utrzymywał swój DOM na stopie odpowiedniej rodowi swemu i wielkiej fortunie. Sam muzyk, wyborną trzymał orkiestrę. W czasach kontraktów codzienne obiady dla obywateli i dwa bale na tydzień dawał. I koncerta w jego salach zamkowych odbywały się.* Teatr Wojciecha Bogusławskiego grywał najmodniejsze sztuki, wystawiane w Warszawie. Zdarzały się też niemiłe przygody. W drodze do Dubna artyści Bogusławskiego przepawali się przez niezbyt dobrze zamrznięty Bug, wpadli do wody i straciwszy kostiumy, ledwie z życiem uszli. Szlachta zebrana na ratuszu w Dubnie, gdyż tam była sala teatralna, dobrowolnie podwoiła cenę za bilety, by pomóc artystom. Wtedy Dubno stało na czele wszystkich miast wołyńskich; zjeżdżali tu obywatele Korony i Litwy, z Galicji i Ukrainy, zza Dniestru i Dniepru.

Z wielkim przepychem w dubieńskim zamku ks. Michał Lubomirski dwukrotnie przyjmował króla Stanisława Augusta Poniatowskiego podczas jego podróży na Podole w 1787 roku. Niestety po śmierci ks. Michała wnuk jego, Józef Lubomirski, przeważnie mieszkający w Paryżu, swój ogromny majątek dubieński tak zadłużył, że w drugiej połowie XIX wieku sprzedany został na licytacji i przeszedł w ręce rosyjskie hr. Szuwałowych. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 roku zrujnowany zamek przejęło państwo, a okoliczne posiadłości ziemskie rozparcelowano na potrzeby osadnictwa wojskowego i cywilnego.

Nową, tragiczną dla wielu Polaków kart otwiera dla Dubna i okolic wybuch wojny w 1939 roku. Historia to nieodległa i wszystkim znana.

 puszczaemy zamkowy dziedziniec i wchodzimy na ulicę o przedwojennej nazwie Panieńska, dziś Szewczenki. Mijamy wykonany w brązie pomnik wieszczka Ukrainy Tarasa Szewczenki. Natchniony poeta przemawia do grupki przyjaciół. Fotografię

pomnika znajdziemy później w kolorowym albumie „Riwenszczyzna” w domu naszych gospodarzy na Surmaczach. Poruszając się w kierunku północnym, mijamy położony po lewej stronie budynek dawnego Gimnazjum i Liceum im. ks. Stanisława Konarskiego, do którego uczęszczał dr Grzebyk, dalej mamy rodzinny dom legendarnego pilota z okresu II wojny światowej, Stanisława Skalskiego, a na końcu ulicy budynki klasztorne Karmelitanek. Dziś mieści się tu szpital onkologiczny.

Jest ładne lipcowe popołudnie, na błękitnym niebie białe cumulusy. Nieopodal mostu spinającego brzegi leniwie płynącej Ikwy jakiś mężczyzna siedzi z wędką. Z rezygnacją macha ręką – dziś ryba nie bierze. Dr Grzebyk, dla którego droga przez most prowadzi do jego rodzinnej miejscowości Bortnica, tłumaczy naszej czteroosobowej grupce: kiedyś Ikwa płynęła malowniczymi zakolami, ale Sowietci postanowili rzekę wyprostować i bezopornie zniszczyli jej piękno. W tych zakolach stał klasztor prawosławny i cerkiew „Czesnym Chrest”. Każdego wieczoru płynęła stamtąd przepiękna muzyka dzwonów. Niestety, na początku 1944 roku, w czasie długich walk o Dubno, kopulasta cerkiew stała się dobrym celem artylerii. Spłonęła doszczętnie, pozostały tylko resztki murów, które zostały rozebrane na początku lat sześćdziesiątych. W tym miejscu komunistyczna władza zbudowała oczyszczalnię ścieków! Dzisiaj „Czesnym Chrest” istnieje tylko we wspomnieniach starszych ludzi, gdyż żaden ślad po nim nie pozostał. Podobnie jak po trudnej do ustalenia liczbie arcydzieł ludzkiego geniuszu, który strawił ogień okrutnych wojen.

Wracamy do centrum. Nieopodal rynku odkrywamy niewielką księgarnię, nie ma tu jednak żadnych przewodników turystycznych czy planu miasta. Daremnie pytamy o album „Riwenszczyzna”. Rynek i przylegające doń uliczki prezentują się lepiej niż peryferyjne dzielnice. Zauważalna jest tu dbałość o ład i czystość. Wybudowana zapewne w czasach radzieckich estrada służy miejscowym zespołom artystycznym. Była wykorzystana w dniach 900-lecia Dubna w 2001 roku. 27 maja 2005, gdy obchodzono na Ukrainie święto mniejszości etnicznych, bardzo dobrze zaprezentował się polski zespół „Krzemieńskie Barwinki”.

Swoich sił próbowała również grupa wokalna Towarzystwa Kultury Polskiej pod kierunkiem p. Marii Bożko.

W obrębie rynku znajdowało się przed wojną kilka hoteli i restauracja, w których zatrzymywali się okoliczni ziemianie, kupcy, a także m.in. Aleksander Wertyński, Hanka Ordonówna i inni. Z pewnością występowali w sali teatralnej, która znajdowała się w ratuszu. Niestety, ratusz zniknął z pejzażu miasta, podobnie jak hotele oraz liczna do czasów wojny społeczność żydowska. Wiemy, jaki spotkał ją los. Stosunkowo niedawno na zdewastowanym kirkucie ustawiono pamiątkowy, nieduży obelisk z czarnego marmuru. Natomiast Polacy nadal oczekują na upamiętnienie katolickiego cmentarza. W planie naszej wycieczki mieliśmy spotkanie z władzami miasta, merem lub jego zastępcą, na którym chcieliśmy między innymi poruszyć tę sprawę. Była już przed kilku laty złożona obietnica wydzielienia z terenu dawnego cmentarza, zwanego tutaj polskim, małego fragmentu, ogrodzenia go i umieszczenia pamiątkowego obelisku lub tablicy. Koszt tego przedsięwzięcia byłby przecież niewielki. Jednak do spotkania z przedstawicielami miasta nie doszło, nie z naszej winy. Daremnie oczekiwaliśmy na obiecany przez sekretarza mera telefon.

Polski cmentarz straszny więc nadal dewastacją i ruiną. Wyobraźmy sobie wielohektarowy teren zarośnięty drzewami i krzewami. Resztki żelaznej bramy wskazują, którą wchodziło się na miejsce wiecznego spoczynku zmarłych wyznania rzymskokatolickiego. Jeszcze po ostatniej wojnie odbywały się tu pogrzeby. A dzisiaj? Wśród krzewów i zielska znajdujemy resztki nagrobnych płyt i pomników. Z ogromnego cmentarza ostała się tylko nieduża budowla, grobowiec, a może kaplica, bez żadnych znaków rozpoznawczych. Kilka lat temu, w czasie działania Społecznego Komitetu Pomocy Kościołowi w Dubnie pod kierunkiem dr. Władysława Grzebyka, gdy proboszczem był ks. Tadeusz Bernat, na cmentarzu ustawiono krzyż i umieszczono tablicę informacyjną. Niestety, już jej nie ma. W Dzień Zaduszny odprawiano mszę św. za spokój pogrzebanych. Władze miasta obiecywały uporządkować teren, ale nic nie zrobiły. W bezpośrednim sąsiedztwie powstało osiedle domków i nie jest tajemnicą, że część pomników i na-



Zamek w Dubnie

grobków wykorzystano do budowy fundamentów. W tym miejscu przypomnijmy, że podobny los spotkał też niektóre niemieckie cmentarze na Ziemiach Odzyskanych. Kiedy wreszcie nauczymy się szanować miejsca pochówku ludzi bez względu na to, kim byli?.

Kończy się pierwszy dzień naszego pobytu w Dubnie. Wrażenia były i przyjemne, i przykre. Kierujemy się w stronę naszej kwatery przez bardziej zaniedbane, peryferyjne dzielnice. Spędzimy miły wieczór w gronie rodzinnym p. Marii, przy smacznym posiłku.

Nazajutrz czeka nas wyprawa poza miasto.

Dlaczego jednak celem naszej ekskursji jest Dubno, a nie inne, największe ośrodki tej ziemi, jak Łuck czy Równe? Dlatego, że z tym wiekowym grodem łączy się osobiste przeżycia dwu uczestników wycieczki: inżynier Jerzy Rąbalski z Londynu urodził się nieopodal Dubna, podobnie jak matematyk z Rzeszowa, dr Władysław Grzebyk, który jest naszym przewodnikiem. W ostatnich latach wielokrotnie odwiedzał te strony. Jako przewodniczący społecznego komitetu pomocy miejscowej parafii rzymskokatolickiej przywoził pieniądze, wyposażenie kościoła i świadczył pomoc charytatywną dla parafian. Dla obu panów, a zwłaszcza dla londyńczyka inż. Jerzego Rąbalskiego, jest to typowa podróż sentymentalna, próba dotarcia do miejsca, gdzie stał rodzinny dwór i gdzie upłynęło jego bajkowe dzieciństwo. Cekał na to 67 lat, do końca niepewny, czy uda się dotrzeć do upragnionego celu. Kresowy ziemianin jest wiekowym i schorowanym człowiekiem, dlatego usilnie poszukiwał kogoś, kto mógłby go bezpiecznie zawieźć do miejsca, gdzie stał rodzinny dom. Tym człowiekiem okazał się emerytowany nauczyciel akademicki z Rzeszowa, Władysław Grzebyk, który podjął się tego zadania,

licząc na to, że przy okazji uda mu się wygospodarować parę godzin, aby odwiedzić swoją rodzinną miejscowość Bortnicę, dawną osadę byłych legionistów Józefa Piłsudskiego, po której nie pozostał ślad. Niestety nie starczyło już na to czasu.

Nawet gdyby pominąć osobisty cel wyprawy, to i tak Dubno zasługuje na uwagę przybysza z Polski. Jest jednym z najstarszych grodów na Wołyniu, ma naprawdę bogatą i ciekawą przeszłość. Zachowało się tutaj wiele ciekawych obiektów i zabytków dawnej architektury. Zamek w Dubnie pozostawał przez kilka stuleci w posiadaniu możnej rodziny Ostrogskich, która podobnie jak szereg innych rodów pochodzenia ruskiego uległa polonizacji i przeszła na katolicyzm. Książę Konstanty Ostrogski, jeden z najwybitniejszych wodzów Rzeczypospolitej szlacheckiej, który pokonał wojska moskiewskie pod Orszą, był gorącym obrońcą prawosławia, a jego wnuk, ks. Janusz Ostrogski, stał się gorliwym katolikiem, jak już wspominałem.

Dubno staje się sławne w Rzeczypospolitej szlacheckiej u schyłku XVIII stulecia, kiedy to przeniesiono do niego ze Lwowa tzw. kontrakty, czyli doroczne zjazdy szlachty, odbywane w celach handlowych i kulturalnych. Zjeżdżali tu więc posiadacze ziemscy, jak Rzeczpospolita długa i szeroka, kupcy, bankierzy, a z Warszawy aktorzy i córki Koryntu. Ówczesny właściciel miasta i ogromnych włości ziemskich, książę Marcei Lubomirski, uczynił z Dubna ośrodek kulturalny znacznej rangi.

Świętość Dubna nie upadła wraz z rozbiorem kraju i utratą kontraktów przeniesionych do Kijowa. Nadal zjeżdżali tu z bliższych i dalszych stron właściciele ziemscy, bankierzy i kupcy. Dobra passa trwała do powstania 1831 roku, po którego upadku na ziemie kresowe spadły prześladowania ze strony Rosji carskiej. Za udział w niepodległościowej insurekcji carat masowo konfiskował majątki ziemskie, zamykał polskie szkoły i klasztory, przymuszały do przejścia na prawosławie drobną szlachtę. Represje te jeszcze się spotęgowały po stłumieniu powstania styczniowego 1863 roku.

W dziejach kultury narodowej Dubno może poszczycić się także tym, że wydało jednego z wielkich Polaków, wybitnego reformatora oświaty na Kresach i twórcy

słynnego Liceum Krzemienieckiego Tadeusza Czackiego. Początkowo nawet nosił się on z zamiarem, by liceum to umieścić w Dubnie. Z miastem związany był również znany pisarz epoki romantycznej, twórca poematu *Maria*, Antoni Malczewski, a w czasach późniejszych, pisarka i aktorka Gabriela Zapolska.

Raz jeszcze nastąpił renesans Dubna w okresie 20-lecia międzywojennego, kiedy stanowiło ono część II Rzeczypospolitej. To rozdział sam w sobie zasługujący na dokładniejsze omówienie.

Jakie jest ukraińskie Dubno dzisiaj? Starałem się o tym opowiedzieć już wcześniej.

Niestety wydaje się, że jest bardziej prowincjonalne aniżeli pomiędzy wojnami. Np. nie udało się znaleźć księgarni z prawdziwego zdarzenia, aby zaopatrzyć się w regionalne, dotyczące miasta i okolic wydawnictwa. Nie ma już sali teatralnej, w której kiedyś wystawiał sztuki Wojciech Bogusławski, a przed wojną koncertowali tacy artyści, jak Hanka Ordonówna i słynny wykonawca cygańskich romansów Aleksander Werzyński. Regularnie przyjeżdżał tu także Teatr Wołyński z Łucka.

Pewne ożywienie nastąpiło w okresie obchodów 900-lecia miasta, które wypadły w 2001 roku. Przyspieszono prace remontowe zamku i pałacu, odremontowano część ulic, Dubno wzbogaciło się o nowoczesny hotel i kilka restauracji.

CZĘŚĆ 2. ZBYTYŃ

Ta wycieczka miała dla przybyszów z Wielkiej Brytanii szczególne znaczenie. Nawet mnie i dr. Grzebykowi udzieliło się jakieś napięcie, mimo że miejscowość do której jechaliśmy okrężną trasą, pokonując kilometry wyboistej drogi, była przysłowio- wą plamą na mapie. Nigdy wcześniej tu nie byliśmy, a zapewne drugi raz nie wrócimy.

Na wschód od Dubna rozciąga się urokliwa kraina. W przedwojennym przewodniku Mieczysława Orłowicza określona jest mianem „Wołyńskiej Szwajcarii”. Rozciągają się tu niewielkie wzniesienia pokryte lasami i rozległe pola z łąkami dojrzewającej złotej pszenicy. Wyboisty szeroki trakt, wybrukowany bazaltową kostką, obsadzony został na przemian włoskimi orzechami i dzikimi

czereśniami. Domy porzucane z rzadka wśród łąków zbóż.

Zatrzymujemy się przed położonym nieopodal drogi gospodarstwem i pytamy ogorzałych od słońca i wiatru mieszkańców o drogę do Zbitynia. Potwierdzają, że posuwamy się we właściwym kierunku. W czasie krótkiej wymiany zdań podchodzę do jednej z przydrożnych czereśni i bez trudu zrywam garść czarnych jagód, cierpko-słodkich, doskonale gaszących pragnienie.

Dzień jest upalny, jedziemy wolno, bo naszemu przewoźnikowi Zbyszkowi serce się kraje, że jego świetny bus volkswagen musi pokonywać kilka kilometrów kocich łbów. Wreszcie skręcamy w prawo. Wiejska droga opada z niewielkiego wzgórza. Zatrzymujemy się przed drewnianą chałupą, obok której kilku mężczyzn przecina mechaniczną piłą potężny pień drewna. Będą z kloca wspaniałe deski. Pytamy, gdzie tu znajduje się dawny folwark i dwór. Siwy mężczyzna wskazuje ręką kierunek i mówi, że to już całkiem blisko. Jeszcze dwie minuty jazdy i przed naszymi oczami ukazuje się rozległa zielona płaszczyna, z paru rozwalającymi się zabudowaniami. Z nieklamany- m zainteresowaniem rozglądamy się wokół. Widok na wpół zrujnowanej podłużnej budowli pogłębia wrażenie destrukcji. Jednak rozciągające się dookoła, sięgające aż po smugę lasu na horyzoncie łąki urzekają pięknem. Okazuje się, że to miejsce na duże gospodarstwo wiejskie wybrano przed wiekami znakomicie. Zabudowania postawiono na obszernym płaskowyzu, skąd rozciągają się wspaniałe widoki na całą okolicę. W dole płynie niewielka rzeczka Zbitynka i to od niej wzięła nazwę miejscowość.

Przybysze z Londynu są bardzo poruszeni. Trudno się dziwić sędziwemu potomkowi dawnych właścicieli, zamożnych wołyńskich ziemian, który dopiero po 67 latach pojawił się w rodzinnej miejscowości. Córki Carmen i Lena są po raz pierwszy na ziemi, skąd wywodzi się ich rodzina. Te półkrwi Hiszpanki nie wyobrażały sobie, że jest tu tak pięknie. Wędrujemy po rozległym majdanie. W ścianach rozpadającej się co najmniej stumetrowej obory odkrywamy fragmenty starego muru z polnych kamieni: to bez wątpienia ocalałe resztki zabudowań wzniesionych w czasach, kiedy gospodarowała tutaj ziemiańska rodzina Rąbalskich.

Docieramy do ruin obiektu z częściowo zasypnymi gruzem piwnicami. Może tutaj stał dwór? Nieoczekiwanie pojawia się starsza tęga kobieta i nieśmiało podchodzi do nas. Lody zostały szybko przełamane, gdy dowiaduje się, że jednym z przybyszów jest syn ostatniej dziedziczki, Jerzy Rąbalski. Spaloną przez słońce twarz Ukrainki rozjaśnia promienny uśmiech. Wyznaje, że nigdy nie przypuszczała, iż spotka syna dziedziczki. Jako chłopiec opuścił wraz z matką rodzinny dwór w tajemnicy i pośpiechu jesienią 1939 roku. Ona co prawda nie pamięta właścicieli, urodziła się później, ale doskonale zna ich z opowiadań nieżyjących rodziców, którzy wynajmowali się do pracy we dworze i zawsze byli przyzwyczajeni wynagradzani przez panią Rąbalską. Dziedziczka zaskarbiła sobie wdzięczność swoich pracowników. Kiedy budowali, jako młode małżeństwo, własną oborę, pozwoliła im trzymać krowy w dworskiej. Z ogromnych lasów, które należały do dworu, dawała mieszkańcom drewno na budowę domów na opał.

Nasz przyjazd sprawił, że wiadomość o przybyciu „polskich panów” rozeszła się po wsi. Niedługo pojawił się starszy mężczyzna, wysoki, pochylony, podpierający się kosturem. Wołodia Petrowicz, bo tak nazywa się przybysz, opowiada niezłą polszczyzną, jak po przyjeździe bolszewików w 1939 roku dobrze prosperujące gospodarstwo ziemskie wraz z dworem zostało doszczętnie rozgrabione. Jesteśmy świadkami małej sensacji. Nieoczekiwanie tęga gospodyni, którą poznaliśmy na wstępie, demonstruje nieduże zdjęcie. To fotografia z lat 30., pożółkła, przechowywana w ukraińskiej rodzinie z niezwykle pietyzmem. Na zdjęciu para młodych, w weselnym, ukraińskim stroju ludowym, a wraz z nimi młoda, ubrana z miejską kobietą. Fotografia przedstawia zdjęcie z wesela rodziców rozmówczynie, a stojąca obok młodych kobieta to matka inż. Rąbalskiego. Siwy mężczyzna z Londynu nie potrafi powstrzymać łez, a towarzyszące mu córki obawiają się, by ojcu nie zaszkodził nadmiar wzruszenia. Tę cenną pamiątkę-relikwię inż. Rąbalski zabierze ze sobą do Londynu. Zabierze też, skwapliwie wykonywane przez córki, fotografie naszych rozmówców, ukraińskich chłopów, którzy przechowywali przez tyle lat pamięć o „polskich panach”. Dobrą pamięć.

Wołodia Petrowicz Muzyka, który jako żywo przypomina ukraińskiego lirnika, śpieszył się tak bardzo na spotkanie z nami, że zdążył tylko założyć jedną skarpetkę. Ten szczupły, wysoki jak tyka mężczyzna sprawił jeszcze jedną niespodziankę. Zaśpiewał kilka starych polskich piosenek. Ma dobrą pamięć i słuch, przed wojną trzy lata chodził do polskiej szkoły. Wyuczone piosenki, w tym jedna o marszałku Piłsudskim, na zawsze pozostały jego własnością. Nie ukrywamy, jak bardzo wzruszył nas ten ukraiński wieśniak. Aby zaspokoić naszą ciekawość, prowadzi nas na krawędź majdanu i pokazuje miejsce, gdzie stał dwór, zburzony do fundamentów. Świadczy o tym obszerny loch. Jego kamienne sklepienia mogą sobie liczyć 200 lat. Bez wątplenia przechowywane były w nim znakomite trunki, którymi raczyli się gospodarze i jak to w dawnej Polsce bywało, chętnie zapraszali na biesiady i spotkania przyjaciół i sąsiadów.

Syn ostatnich właścicieli liczącego 1000 hektarów majątku Zbytyń inż. Jerzy Rąbalski postawił stopę dokładnie w miejscu, gdzie urodził się przed 79 laty. Szczęśliwie uratowany z rąk NKWD w 1939 roku, przeżył powstanie warszawskie jako jeden z nielicznych żołnierzy elitarnego, harcerskiego batalionu „Parasol”. Aż do dziś nie wierzył, że kiedyś uda mu się jeszcze odwiedzić swój rodzinny Zbytyń. A jednak czasami marzenia się spełniają. Nawet u kresu życia.

Kiedy wędrujemy po obszernym majdanie, gdzie kiedyś, aż do ostatniej wojny, rozciągały się zabudowania dużego majątku ziemskiego i gdzie zapewne stała okazała siedziba właścicieli, kiedy rozmawiamy z grupką mieszkańców, którzy spontanicznie przybyli na to spotkanie z nami, nie opuszcza mnie jednak myśl, że stąpamy po ziemi wołyńskiej, w którą wsiąkła krew dziesiątków tysięcy Polaków, bezpardonowo mordowanych w latach drugiej wojny światowej przez nacjonalistyczne organizacje OUN-UPA. W Zbytyniu nie było ofiar, bo nie było Polaków. Kilka polskich rodzin zatrudnionych w majątku Rąbalskich w porę opuściło wieś, właściciele wyjechali wcześniej, przed wkroczeniem wojsk sowieckich. Rąbalscy uciekali przed represjami NKWD, polscy pracownicy majątku przed zagładą ze strony UPA.



Przed wejściem do sklepionej piwnicy, jedynej pozostałości po dawnym dworze ziemiańskim w Zbytniu. Na zdjęciu od lewej: Maria Bożko, dr Władysław Grzebyk, inż. Jerzy Rąbalski, Lena Rąbalska i inni

Wołodia Petrowicz Muzyka, który z miejsca zaskarbił sobie naszą sympatię swą bezpośredniością, a szczególnie piosenkami, domyślił się, że nie jest

nam obca wiedza o rzeziach, które rozgrywały się na wołyńskiej ziemi. Nawiązał do tej drażliwej sprawy w sposób pośredni. Kiedy zwróciliśmy uwagę na jego względnie młody wygląd, napomknął, w jaki sposób udało mu się wymigać od służby w UPA. Kiedy parokrotnie go nagabywano, ratował Wołodiego jego chłopięcy wygląd, młodzieńcza sylwetka. Tłumaczył się przed werbownikami banderowców, że jest zbyt młody na to, by iść na wojaczkę. Nie mieliśmy możliwości sprawdzić, czy wersja Wołodii jest prawdziwa, ale jego pocziwy wygląd, nieskrywana radość ze spotkaniem z przybyszami z Polski, ciepłe wspomnienie o przedwojennej, polskiej szkole – wszystko to skłaniało nas do przekonania, że tak było istotnie.

Nadszedł czas pożegnania. Ten moment był najtrudniejszy dla sędziego przybysza z Londynu, potomka dawnych właścicieli Zbytnia, inż. Jerzego Rąbalskiego. Pewnie przypomniał sobie lata dzieciństwa spędzone w zbytyńskim dworze, bez troski zabawy z rówieśnikami, kąpiele w stawie położonym nad brzegiem potoku Zbytyńka, wyprawy wraz z matką i furmanem dworską bryczką do powiatowego Dubna drogą wijącą się pośród łąk falującej pszenicy.

Świat tak bardzo się zmienił. Rąbalscy bezpowrotnie utracili wielki majątek ziemski. Aby ująć z życiem, musieli w wielkim pośpiechu opuścić ziemię, na której żyli i gospodarowali ich przodkowie.

* * *

Upłynęło kilka lat od czasu, kiedy z dr. Grzebykiem towarzyszyliśmy Jerzemu Rąbalskiemu i jego córkom w wyprawie do rodzinnego majątku. Nie zapomnieliśmy tragedii Polaków ze wsi Kuryłówka koło Dubna i o staraniach p. Marii Bożko, by pamięć

o tragicznych wydarzeniach nie uległa zatarciu. Przez wiele lat jeździła na miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się wieś, gdzie aż do Wielkanocy 1943 roku mieszkali jej rodzice. Zapalała znicze. Przez wszystkie te lata nie rozstawała się z nadzieją, że nadejdzie czas, kiedy uda się jej postawić krzyż na miejscu, gdzie rozegrała się tragedia. Mówiła nam o swoich staraniach. Ciekaw byłam, czy tej dzielnej kobiecie udało się zrealizować jedno z gorących pragnień.

Potwierdzenie, że tak się stało, nadeszło od Marii Bożko. W numerze ze stycznia-lutego 2009 r. dwumiesięcznika „Wołanie z Wołynia” ukazał się jej artykuł zatytułowany *Moje rodzinne gniazdo Kuryłówka na Wołyniu*. Oto jego fragmenty.

Dziś na miejscu mojego rodzinnego gniazda Kuryłównki rośnie bujny las, a wokół pagórki i rzeka. Słowem malowniczy, urokliwy krajobraz. Niestety, kryje w sobie tyle łez, ludzkich tragedii i bolesne wspomnienia pamiętnej Wielkanocy 16 kwietnia 1943 roku. O tej tragedii przypomina potężny, żelazny krzyż, postawiony w lesie z inicjatywy Towarzystwa Kultury Polskiej w Dubnie w 2005 roku.

To tu spoczywają szczątki 28 Polaków, mieszkańców Kuryłównki, zamordowanych przez banderowców. A wśród nich moi dziadkowie – Maria i Józef Cichońscy.

Wraz z kuzynką Helcią, mieszkającą obecnie w Legnicy, wspominamy rodzinną Kuryłównkę – 37 domostw, 142 mieszkańców. Niedaleko Szumsk, gdzieś obok Smolary, Tartak, Lubomira, Gradki, Długie Pole. W centrum wsi był pański dwór. Pani była dobrą kobietą, zawsze wspierającą biednych, pogorzalców. Na św. Michała Archaniola, czyli 29 września, obchodzono odpust, ale ksiądz dojeżdżał z Dubna raz w miesiącu. Zbierano już materiały na budowę kaplicy. Polacy i Ukraińcy żyli obok siebie zgodnie, mieli wspólne plany, razem pracowali i świętowali. Niestety, wojna zniszczyła wszystko, zrujnowała plany mieszkańców Kuryłównki, a sąsiadką przyjaźń zamieniła w nienawiść.

Siostra p. Marii, Helena, przypomina okoliczności śmierci grupy mieszkańców Kuryłównki:

Ludzie przez las uciekali przed banderowcami: Władzia Orębową, Stacha, Walerka z Romkiem Wojciechowskim, rodzice Walerki, Klikiewiczowie i czworo dzieci. Ban-

derowcy napadli ich w lesie, zaczęli się na furmankę i wrzucili do rzeki dwu- i trzyletnie dzieci. Waleria i Romek, gdy dowiedzieli się, że ich dzieci nie żyją, nie chcieli już uciekać, podnieśli ręce na znak poddania się i banderowcy ich zastrzelili.

Nie mam wątpliwości: to, że wysoki, żelazny krzyż stanął w Kiryłównce, to przede wszystkim zasługa Marii Bożko. Ona, jej córki i syn – to prawdopodobnie jedyni potomkowie dawnych mieszkańców Kiryłównki mieszkający na Wołyniu. Sięgnijmy jeszcze do artykułu Marii Bożko w piśmie „Wołanie z Wołynia”.

Pałę znicze pod krzyżem w Kiryłównce, wracając do wspomnień, opowieści mamy. Wyobrażam sobie ten dom i ogród, w którym mieszkała. Widzę ten strych, na którym od świtu do nocy ukrywała się z małym synkiem, moim bratem Alfredem. Słyszę odgłosy strzałów skierowanych w stronę głuchego dziadka Józefa i widzę przerażenie w oczach mojej babki (Niemki z pochodzenia), gdy banderowcy kazali pokazać jej ogród i tam zastrzelili.

Zawsze czułam się Polką, dziś mam już Kartę Polaka i od kilku lat jestem prezesem Towarzystwa Kultury Polskiej w Dubnie. Swoje wspomnienia wraz z modlitwą poświęcam mieszkańcom Kiryłównki, tej, której już nie ma. Cichońscy, Paszkiewiczowie, Wojciechowscy, Gryszpińscy, Choinscy, Orębowie, Klimkiewiczowie, Bożkowie, Janiccy – pragnę wszystkich Was ocalić od zapomnienia.

Dobry Jezu, a nasz Panie, daj im wieczne spoczywanie!

Trudno pozostać obojętnym, gdy czyta się te słowa pełne miłości, żalu, współczucia dla dawnych mieszkańców niewielkiej Kiryłównki, ofiar nierozumnej nienawiści, których życie zakończyło się nagle, jednego dnia, w trakcie skromnych wojennych obchodów Świąt Zmartwychwstania Chrystusa w 1943 roku. Żadna z tych niezamożnych, chłopskich rodzin, zamordowanych z budzącym grozę okrucieństwem, nie ma własnej mogiły na cmentarzu. Nie ma też bliskich, którzy mogliby zapalić lampkę i położyć kwiaty. Zginęli wszyscy, dziadkowie, rodzice, dzieci.

Nie wątpię, że póki żyć będzie ta dzielna kobieta, pani Maria Bożko, pod żelaznym krzyżem w lesie na ziemi nieistniejącej już wsi Kiryłównki w Dzień Zaduszny palić się będą znicze. Światelka pamięci. ►

WSCHÓD. ZACHÓD¹

DZIEDZICTWO POLSKIEJ EMIGRACJI – CO DALEJ?

W tygodniku „Coołtura” (z 5 I 2013) wydanym w Anglii w języku polskim (ale wcale nie będącym pismem polskim) znalazły się dwa – jako jedyne polskie – materiały:

- relacja z debaty o powojennych losach polskich emigrantów w Wielkiej Brytanii, zatytułowana *Polska poza Polską* (oprac. P. Dobroniak), oraz
- rozmowa z prof. Tomaszem Gąsowskim z Krakowa pt. *Dziedzictwo polskiej emigracji nie może przepaść*.

Oto fragmenty omówienia wypowiedzi prof. Gąsowskiego:

... Na ważną rolę instytucji stworzonych przez Polaków w Wielkiej Brytanii wskazał prof. Gąsowski. Wśród nich wymienił Instytut Józefa Piłsudskiego oraz Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego – instytucje o charakterze opiekuńczym oraz kombatanckie. Wspomniał też, że powstawały placówki edukacyjne, w których kulturę i język polski poznawali urodzone już na Wyspach dzieci emigrantów. W Wielkiej Brytanii funkcjonowało też harcerstwo polskie. – Szacuje się, że liczba uchodźców na Wyspach Brytyjskich wynosiła ok. 140 tys., a to tylko część, bo ogółem liczba emigrantów po wojnie wynosiła ponad pół miliona...

... Niektóre z emigracyjnych instytucji naukowych przetrwały do dziś, np. Biblioteka Polska w Paryżu, w Londynie zaś Polski Uniwersytet na Obczyźnie [PUNO], Instytut Józefa Piłsudskiego oraz Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, z kolei w Nowym Jorku – Instytut Piłsudskiego, a w Chicago – Muzeum Polskie. Na początku lat 90. XX w. planowano sprowadzić zbiory tych instytucji do Polski. Tak się jednak nie stało. Biorąc pod uwagę nieuchronne ubywanie opiekunów i strażników tego dziedzictwa, istnieje realne zagrożenie, że może ono przepaść. Obowiązkiem obecnie żyjącego pokolenia jest zapobiec temu. ►

* * *

I tu narzuca się nasz problem. Duża, może nawet ogromna część polskich emigrantów, jaka znalazła się w Wielkiej Brytanii po II wojnie światowej, pochodziła z naszych międzywojennych, a utraconych Ziemi Wschodnich. Na Zachodzie znaleźli się – upraszczając – dwiema drogami: ci, którzy po klęsce wrześniowej wyszli z Polski poprzez Rumunię i dalej – przez pola bitew we Włoszech (Monte Cassino) i północnej Afryce (Tobruk); i ci, zagarnięci przez Związek Sowiecki – jeśli nie zginęli w Katyniu (i podobnych), deportowani lub skazywani na gulagi, a po zwolnieniu – przez Bliski Wschód (Iran, Palestyna, Indie, południowa Afryka) ciągnęli do Europy. Po wojnie jedni i drudzy rozbiegli się: osiedli w Wielkiej Brytanii, wyjechali do obu Ameryk i Australii albo wrócili do kraju.

Punktem centralnym polskiej emigracji wojennej pozostał jednak Londyn, a stwierdzenie to dotyczy w pełni środowiska z Ziemi Wschodnich, w tym – nam najbliższego –

wschodniomałopolskiego, z lwowskim na czele. Lwowiacy (i wszyscy inni z tamtych stron) skrzyknęli się po wojnie dość szybko, zakładając Koło Lwowian. Jednak swój „Biuletyn” zaczęli wydawać dopiero w roku 1960; ileś tam lat później jego nazwę zmieniono na „Lwów i Kresy”.

W Kole Lwowian i u jego członków – zwłaszcza działaczy, autorów itp. – zostało zapewne wiele dokumentów, materiałów (tekstów, ilustracji, fotografii, pamiątek) dotyczących zarówno działalności tej organizacji, jak i redakcji Biuletynu, który ukazuje się przez ponad pięćdziesiąt lat, ale również działalności osobistej wielu osób z tego środowiska. Po jakiejś ich części zostały rodziny – żony i mężowie w wieku mocno zaawansowanym; dzieci, a tym bardziej wnuki, nie zawsze zainteresowane...

Wzorem niech będzie Pani Włada Majewska, która swoje bogate, historyczne pamiątki przekazała przed śmiercią w kilka miejsc, m.in. do Muzeum Niepodległości w Warszawie.

KRESOWA KREW

Prawie pięć milionów Polaków ma związki z Kresami

W skali całego kraju co siódmy Polak deklaruje, że ma rodzica, dziadka lub pradiadka urodzonego na dawnych Kresach lub sam urodził się na tych terenach; oznacza to, że w Polsce żyje od 4,3 mln do 4,6 mln osób powyżej osiemnastego roku życia pochodzących z dawnych Kresów – wynika z badania CBOS (publikacja z kwietnia 2012).

Zdecydowanie częściej posiadanie korzeni kresowych deklarują mieszkańcy północnej i zachodniej części kraju, co pokrywa się z kierunkiem przesiedleń Polaków ze Wschodu.

Wśród badanych mających przodków urodzonych na Kresach co czwarty (25%) to mieszkaniec woj. dolnośląskiego, a blisko co dziesiąty mieszka w woj. śląskim, lubuskim lub mazowieckim (po 9%).

Największa liczba ankietowanych deklarujących posiadanie kresowych w linii prostej urodzonych na Kresach mieszka w woj. lubuskim (51%) i dolnośląskim (47%). Posiadanie kresowych korzeni często deklarowali też mieszkańcy opolskiego (30%) i zachodniopomorskiego (25%), a także warmińsko-mazurskiego (18%) i pomorskiego (17%).

Wśród badanych mających przodków na Kresach więcej niż dwie piąte (43%) stanowią przedstawiciele pierwszego pokolenia, a więc ci, których przynajmniej jedno z rodziców urodziło się na tamtych terenach. Przodka urodzonego na pograniczu w pokoleniu dziadków miało 38% badanych, a blisko co dwudziesty (6%) to prawnuk lub prawnuczka kogoś z tych ziem. Wśród badanych deklarujących pochodzenie z Kresów 13% to osoby, które same urodziły się na tych terenach.

Badanie przeprowadzono w dniach 5–11 stycznia, 3–9 lutego i 8–14 marca na reprezentatywnych próbach losowych dorosłych mieszkańców Polski.

Łącznie zrealizowano 3072 wywiady.

POEZJA

Mariusz Olbromski

Wśród pól o nadziei

*

A oto cisza – jak powrót do siebie,
w niej ciszy serce lepiej siebie słucha,
bo trzeba mieć nadzieję wbrew nadziei,
która jest właśnie mądra, a nie głupia,
jeśli płynie z łaski, z roztropności ducha,
z męstwa, które z miłości się rozwija.

Nadzieja trudna, a rozpacz tak łatwa.
Nią niczym tratwą można w dół popłynąć.
Nadzieja drogą pod prąd, pod lawinę,
zasiewem pracy, który – wszędzie?
później?... choć może – czasem –
pokolenia miną.

**

Śpieszmy do pojednania, rzeki płyną,
słońce zapada i żaden dzień nie będzie
nigdy powtórzony. Serca szczęśliwe gdy
płoną, przenika je czysto blask łagodny,

jak drzewa w parku, kiedy ptaki rozwijają
nieskończone symfonie w drżącym słońcu.
Dzień narasta pięknem niewymownym, jeśli
współbrzmia tony: wiary, nadziei, pokoju.
Każdy okruch świata jest cząstką
błękitnej solidarności,
bo mieszka w nim iskra Miłości.

Nie dojdzie do gwiazdy betlejemskiej ten
kogo nie przeniknie duch braterski.

Zawsze w drodze w końcu zabłądzi.

Nie żebym ludziom tu nie życzył szczęścia...
Niechaj się cieszą słońcem i spokojem,
lecz nie odwrócę też oczu od krzyży
i tylu miejsc zarosłych bez krzyży
w tej świętej ziemi prochów i popiołów.

W tej ziemi skrzydłem ognia uniesionych
wielu pałaców, setek wsi i dworów,
w tej ziemi tylu zrujnowanych świątyń

zamilkłej polskiej mowy najśpiwniejszej
jak puste pola są po ściętym zbożu.

O nie turystą tutaj jestem zabląkanym,
bo serce me lirnikiem ślepyim który widzi
i świetnościami w dziejach zapodzianych
wciąż syci swoją cichą pieśń.

DIALOG z żywymi rzuca tęcze blasku
jak z wież kościelnych płyną czysto tony,
lecz słyszę tu też dźwięki zakopanych dzwonów
i głosy których nie ma... jak trzepot aniołów

Bo to co było wielkie – ciągle jeszcze woła.
A to co było czyste – jak krynica płynie
i w innych ziemiach może wznieść ogrody
i w oknie nagle zjawę róży wyśnić.

Z mgieł ku słońcu

Przy grobie – łask krynicy – latami
trwali wierni na Cmentarzu Janowskim,
przy drugim znów na Łyczakowskim,
aż w Rzymie nastał dzień idący wolno
z białej zastony mgieł ku słońcu.

Już świtem huczał morzem głosów
przed bazyliką świata plac ogromny.
Znad Tybru mewa wolno nadleciała
zjaśniały pinie nad portykiem drżące,
majestat złota włożyły posągi.

I szły i szły narody kontynentów
z flagami – wielkie rzeki kolorowe –
by poznać jak rozmawiał z Niebem
nieustannie Arcybiskup Lwowski;
jak nogą był chromemu, a okiem
ślepemu, na proch się ścierał drogą
drogą miłosierdzia idąc Gorazdowski.

Dźwięk dzwonów leciał wokół globu
trzepotem niewidzialnych skrzydeł
i śpiew się modlitewny zrywał
w słoneczny lazur radość unoszący...

Bo to, co w sercu czasem skryte,
samotne, czyste niczym diament,
bolesne, jak wyboru drogi trudne,
w mgłach czasu, zda się, że zgubione
może odkryte być cudownie.

Te i inne wiersze M. Olbromskiego zamieszczone w niniejszym numerze pochodzą z tomu *Róża i kamień* (2012).

PROZA

Irena Parandowska

Poznałam Jana

Jana poznałam, gdy byłam jeszcze w szkole, w liceum Olgi Filippi.

Uczęszczałam też do konserwatorium w klasie fortepianu u pani Kornelii Tarnowskiej, która była ciotką Rittnera, autora *W małym domku*. W tym samym czasie byłam jeszcze w szkole dramatycznej u Frączkowskiego, mieszczącej się przy konserwatorium. Aż strach pomyśleć, jak można to było wszystko połączyć. Oczywiście system nauczania był zupełnie inny niż dzisiaj. Ale mimo wszystko trudno mi odtworzyć, jak sobie z tym dawałam radę, a raczej, co szwankowało i jak bardzo byłam zapędzona.

W opowiadaniu *Corso* Jan wspomina scenę z naszej młodości; *Niosła albo książki, gdy wracała z gimnazjum, albo nuty, gdy szła do konserwatorium. Gdy ją tam odprowadzałem, serce mi drżało, bo na tej samej Chorażczyźnie, naprzeciw konserwatorium, stał dom, w którym się urodziłem...*

Jan wykladał w szkole dramatycznej. Mówił o dramacie, a właściwie o wszystkim, co wchodziło w zakres literatury.

Przypatrywałam się temu młodemu człowiekowi, który wówczas miał krótko ostrzyżoną bródkę o odcieniu lekko rudawym i bokobrody. Mówił z wielkim fermentem, wstawał z katedry, przechadzał się. Zdania jarzyły się od metafor, zwłaszcza gdy sięgał do źródeł antycznych.

Wkrótce poznaliśmy Platona, Homera, nie mówiąc już o tragikach greckich. W jego klarownej mowie nic nie nastęczało trudności. Mówił jasno, z dużą prostotą, tak jak pisał. Miał wtedy dwadzieścia osiem lat.

Był już znany. W rozmaitych periodykach pojawiały się opowiadania, które potem weszły do tomu pod tytułem *Juvenilia*, jak np. szkic o Jeanie Jacques'u Rousseau czy esej o Oskarze Wildzie, *Antinous w aksamitnym berecie*, prototyp późniejszej książki *Król życia*.

Kiedyś po skończonej lekcji podszedł do mnie i zapytał, czy mógłby mnie odprowadzić. Nie czekając na moją odpowiedź, powiedział:

– Będę na panią czekał przy wyjściu.

Nie byłam całowicie zaskoczona, nawet wiedziałam, że prędzej czy później coś takiego nastąpi. Mówiły o tym jego spojrzenia, a jedna z koleżanek powiedziała:

– Ależ wpadaś naszemu Parandziu w oko.

Byliśmy pod obstrzałem całej szkoły, ale w gruncie rzeczy traktowano to jako niewinny flirt. Bomba pękła dopiero na próbach *Płaków* Arystofanesa, gdzie Józef Wittlin, późniejszy autor *Soli ziemi*, ćwiczył z nami chóry.

W pewnym momencie podsunęto mi liścik od Jana. Zaraz odpisałam i zwinięty paperek rzuciłam w jego stronę, przy czym zabawiając się w słowiczkę dosyć głośno zanuciłam jej radosny trel: „Tijo-tijo-tijo-tijo-tiks”. Wittlin spojrzał groźnie w moją stronę.

– Czego się pani wyrywa?

– Ja się nie wyrywam, tylko śpiewam, panie profesorze.

– Proszę wyjść – krzyczał zirytowany Wittlin – pani przeszkadza!

Wstałam i podeszłam do ściany, na której wisały nasze ubrania. Wtedy Jan zbliżył się



Irena i Jan Parandowscy

do mnie i podał mi mój płaszcz. Była to oczywiście nie lada sensacja.

Wittlin po latach, gdy byłem już żoną Jana, opowiedział to zdarzenie kolegom i zakończył tym swoim akcentem lwowskim:

– Ta, gdybym wiedział, że to będzie moja prezesowa, prędeż siebie, a nie ją bym wyrzucił ze sali.

To co początkowo wydawało się przejściowym flirtem, z dnia na dzień zmieniło się w wielkie uczucie. Widywaliśmy się codziennie. Program mojego dnia tak był pełny, że mogłam z niego wyłuskać tylko przelotną chwilę między jednym a drugim zajęciem i wtedy zawsze widywaliśmy się z Janem.

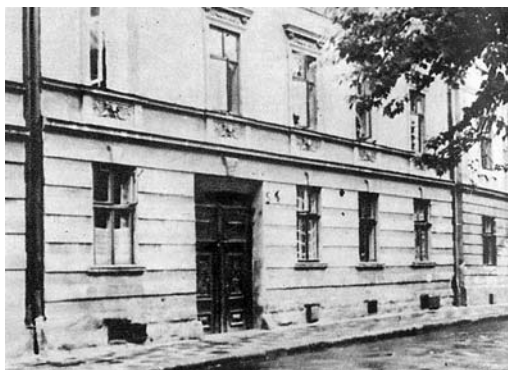
W szkole dramatycznej mieliśmy małą scenkę, rodzaj studia, gdzie raz w tygodniu graliśmy dla zaproszonych gości to, co było przerabiane na lekcjach. Grałam Julkę w *Sieci* Kisielewskiego. Niedawno w telewizji z wielkim wzruszeniem oglądałam moją wnuczkę, Joasię Szczepkowską, w tej roli.

Już nie pamiętam, z jakiej okazji zwrócił się do mnie znany aktor lwowski Barwiński i zaproponował, żebym na wieczorze, w którym on również występował, deklamowała *Dzwony* Ujejeskiego przy ankompaniamencie *Marsza żałobnego* Szopena. Byłam w wielkim kłopotcie, bo nie miałam odpowiedniej sukni na taki występ. Wyciągnęłam z szafy czarny haftowany szal mojej matki i upięłam na sobie wspaniałą robę. W pas wetknęłam czerwone maki.

Wzruszające wspomnienie zostało mi po bardzo młodym wówczas Julianie Przybosiu, który przyjechał do Lwowa zaproszony na wieczór poetycki. Zaraz zjawił się u mnie, przyniósł swoje wiersze i poprosił, abym przeczytała na jego wieczorze to, co najbardziej będzie mi się podobało. Otworzyłam tomik i zaczęłam głośno czytać. Przyboś podszedł do mnie i powiedział:

– Dziękuję pani, tak to trzeba mówić.

Kilka tygodni przed swoją śmiercią odwiedził nas w Konstancinie, w Zaiksie. Kilkadziesiąt lat minęło od naszego pierwszego spotkania. Przyboś z drobiazgową dokładnością, zwracając się niejako do Jana, opisał mieszkanie moich rodziców. Pamiętał nawet kolor obicia fotelików i zielony dywan na podłodze. Byliśmy bardzo poruszeni jego pamięcią.



Kamienica we Lwowie przy ul. Domsa 5, gdzie Jan Parandowski spędził dzieciństwo

Wtedy, w Konstancinie, wysłałam z Przybosiem, żeby go kawałek odprowadzić; wiedziałam, że nie czuje się zbyt dobrze. Wracając do Obór tak zwaną czarną drogą, kierując się między domkami otoczonymi różnaitą zielenią. Przy jednym z nich zatrzymał się. Rosły tam, jak bliźni bracia, dwa kolorowe krzaki. Tam się pożegnaliśmy. Było to nasze ostatnie spotkanie.

Jeden z następnych wieczorów spędziliśmy z Arturem Marią Swinarskim, który w oplakany stan przyjechał z Poznania do Lwowa, zbuntowany przeciw własnemu domowi.

Młody, obszarpany, zjadał półmisek kanapek, które musiały mu starczyć za całe pożywienie dzienne.

Futuryści, tacy jak Aleksander Wat, Bruno Jasieński, Artur Swinarski, zachowywali się, zwłaszcza na swoich wieczorach, tak jak to Francuzi określają: „pour epater les bourgeois”. Aleksander Wat podobno kazał się wieźć na taczce, w obszernej beczce, z której wydobywały się obelgi przeciw wszystkiemu, co dążyło do ładu i normalizacji. Sprzeciw, bunt, przekora. Gdyby dożyli do chwili obecnej, czyż nie broniliby wiele z tego, czemu byli kiedyś przeciwni?

Swinarskiemu zaproponowałam, że jego wiersz pt. *Karuzela* zaśpiewam, w każdym razie pierwszy wiersz:

*Wirują drewniane koniki
Durch grüne blumige Wiesen*

Podszłam swoim zwyczajem do fortepianu, uderzyłam parę taktów i zanuciłam skoczną melodię. Swinarski był zachwycony. Ale na wieczorze, siedząc między autorem a prelegentem Sewerynem Przybylskim, tak

byłam rozbawiona tą myślą zaśpiewania, że gdy zaczęłam, musiałam kilkakrotnie przerywać, bo po prostu dusiłam się ze śmiechu. Cała sala się bawiła, a w końcu razem zaśpiewaliśmy ten dwuwiersz. To był sukces. Swiniarski zadedykował mi *Karuzelę*, gdy wyszła w tomiku.

Jan nigdy nie przychodził na moje występy. Byłam tym trochę dotknięta, a gdy go zapytałam, dlaczego tak jest, podawał jakieś blahe powody. Zjawił się dopiero na balu urządzonym przez szkołę. Na tej zabawie była również piękna i delikatna jak mimoza Janina Romanówna. Gdyśmy po wielu latach spotkały się na złotych godach Hani i Jarosława Iwaszkiewiczów, wspomniała ten bal:

– Widziałam was wtedy jak tańczyliście, było w tym widoku coś niesłychanie wzruszającego. Chciałabym być na waszych złotych godach.

Nie mogłam spełnić tego życzenia. Taka rocznica odbyła się w 1975 roku, ale w gronie naszej rodziny i szczupłej garstki osób przebywających na rekonwalescencji, tak jak Jan, w lecznicy w Konstancinie.

Na wakacje pojechałam z rodzicami do Żegiestowa. Tam już czekały na mnie listy Jana. W kilka dni później przyjechał. Szłam z matką wzdłuż Popradu i nagle się obróciłam. Zobaczyłam go idącego o kilkanaście kroków od nas. Tak się zaczęło to, co miało przetrwać ponad pół wieku.

Ukończyłam już liceum, ale ciągle chodziłam do konserwatorium i do szkoły dramatycznej.

Do *Mitologii*, która wyszła w 1924 roku, zrobiłam spis imion własnych. Byłam strasznie dumna, że Jan mnie powierzył tę robotę. Pamiętam niezliczone karteluski z imionami rzymskich i greckich bogów i herosów, które odnotowywałam z liczbą strony, na której występowały. Jakże byłam olśniona, kiedy odnajdywałam etymologię jakiejś nazwy, jak Febris – bogini gorączki, albo Astrejos – ojciec gwiazd i wiatrów.

Ulubionym mitem Jana był mit o Prometeuszu. Mówił, że ten mit jest utkany z miłości i poezji, dlatego ta postać w ciągu wieków zapładniała wyobraźnię poetów.

– Prometeusz – powiadał Jan – w człowieku rozbudził ducha i dał mu moc panowania nad światem.

Żyłam w czadzie tej poezji i z każdym dniem coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, jak mnie los wyróżnił, stawiając w zaraniu mojej młodości obok człowieka, który w tak cudowny sposób wzbogaca moje życie.

W 1924 roku Jan pojechał do Paryża. Zaczęły przychodzić jego listy. Pisał codziennie. Na kilkunastostronicowych kartkach ukazywał to miasto, dzieląc się ze mną każdą refleksją. Obok antyku kultura francuska była najbliższa jego sercu, a Flaubert był dla Jana wzorem sztuki pisarskiej. Był też pod wielkim urokiem Anatola France'a i odwiedzając bukinistów na quai Malaquais z niejednej rozmowy dowiadywał się od nich mnóstwa szczegółów z życia pisarza mieszkającego przy tej samej ulicy.

Wojna zabrała mi listy Jana. Po tylu latach nie mogłabym odtworzyć tego, co wtedy pisał, ale po dzień dzisiejszy tkwi we mnie tonacja i żar tych wyznań, które w nim to miasto rozpałiło. Na koniec napisał: *Już wracam, nie rozstanę się z Tobą nigdy*.

Ślub wzięliśmy 8 sierpnia 1925 we Lwowie w kościele św. Mikołaja.

Miałam na sobie kostium z czesuczy, biały aksamitny kape-

Wręczenie Janowi Parandowskiemu doktoratu h.c. KUL przez rektora ks. M. Krapca. Po prawej kard. S. Wyszyński, po lewej ks. rektor Mieczysław Krapiec



lusz z opuszczoną koronką, a w rękę kremowe róże. Odtąd w każdą rocznicę ślubu dostawałam od Jana taki bukiet.

On był w ciemnym garniturze. Wszystko odbyło się bez pompy. Byli tylko moi rodzice, mój brat i matka Jana. Nasi świadkowie, pani Albinowska, malarka, i jej ojciec, generał, spóźnili się, a ponieważ to nas zniecierpliwilo, poprosiliśmy dwóch kościelnych, żeby nam świadczyli.

W metryce mam zapisane ich nazwiska.

Była wczesna godzina ranna. Czekala na nas dorożka. Pojechaliśmy na Domsa 5, gdzie matka Jana przygotowała wspańnię śniadanie.

Ulica Domsa 5. Nasze pierwsze mieszkanie, gdzie urodziły się nasze dzieci, gdzie byliśmy szczęśliwi, gdzie z każdego kąta wyglądało dzieciństwo Jana. Ogród z altanką, gdzie chował swoje skarby, grusza, na którą się wspinał po ulubione klapsy. W ten świat małego Dunka – jak go wtedy nazywali – prowadziła mnie matka Jana, z którą łączył mnie serdeczny stosunek.

Była to osoba cicha, dyskretna, odnośząca się z wielkim pietyzmem do pracy Jana i z absolutną aprobatą do wszelkich jego poczynań. Nie było mowy o jakiegokolwiek ingerencji z jej strony. Byłam trochę zalękniona i obawiałam się, że nie sprośtam takiej pokorze. Nawet coś takiego jej powiedziałam.

– Ach, nie obawiaj się, moja droga. Życie każdego człowieka jest inne. Moje, z konieczności, skupiło się na jedynaku. Wiesz pewnie od Jasia, jak prędko owdowiałam i zostaliśmy sami na świecie.

– Tak, mówił mi o tym, ale najwięcej o babce.

– Najwięcej o babce? Tak, miała więcej czasu ode mnie i oddawała mu to w dwójnasób. Powiedziałaś: najwięcej o babce. Ale wszystko było na mojej głowie. Sama go posyłałam: idź do babki, ona ci wytłumaczy. Idź z babką na spacer, idź z babką do kościoła... Ona była od święta, ja na co dzień.

To ta babka z *Zegara słonecznego*.

Powyższy tekst jest pierwszym rozdziałem książki wspomnień wdowy po pisarzu, Ireny Parandowskiej „Dzień Jana”, Warszawa 1983.

DRUKARZE I WYDAWCY LWOWSCY XIX/ XX WIEKU

pochowani na Cmentarzu Łyczakowskim

Lwów w okresie zaborów i dwudziestolecia międzywojennego był silnym ośrodkiem księgarsko-wydawniczym. Była w tym zasługa zarówno Ossolineum, jak i całego szeregu prywatnych przedsiębiorstw edytor-skich. Tradycja sprawiła, że taki stan istniał aż do II wojny światowej, gdy m.in. doskonałe podręczniki ossolińskie były używane w szkolnictwie ogólnopolskim – przykładem 4-tomowe *Mówią wieki*, dzieło J. Balickiego i S. Maykowskiego (1931).

Jest rzeczą oczywistą, że po I wojnie w wielu miastach powstały mocne ośrodki wydawnicze – przede wszystkim były to Warszawa, Poznań, Wilno. Działo się to po części dzięki fachowcom lwowskim, którzy wyczuwali doskonałą prosperity poza swoim miastem.

Tyle tytułem wstępu. Większość znakomych twórców książki – wydawców, drukarzy, poligrafów, introligatorów itd. pozostała jednak we Lwowie na zawsze. Tam zmarli, znaleźli wieczny spoczynek na lwowskich cmentarzach.

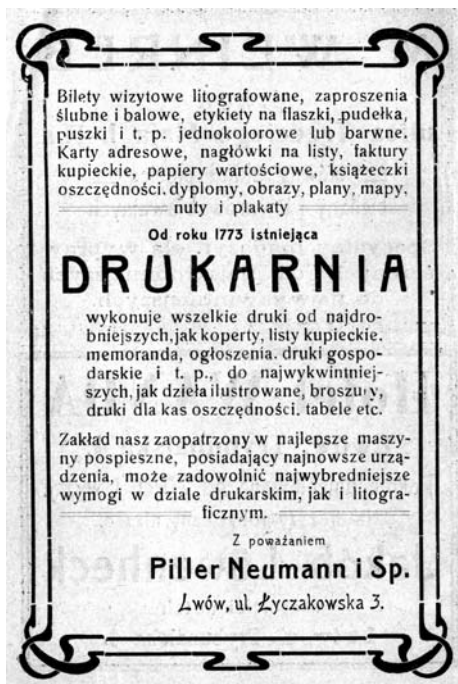
Poniżej przedstawiamy listę lwowskich ludzi książki, wśród których zwracają szczególną uwagę takie nazwiska jak Bednarscy, Wildowie, Gubrynowiczowie, Pillerowie, Polonieccy...

Eichelberger Johan (1848–1911), drukarz.

Bartoszewicz Adam Dominik (1838–1886), księgarz lwowski, wydawca i literat pochodzący z Litwy. We Lwowie założył słynne swego czasu wydawnictwo „Biblioteka Mrówki”, które rozpowszechniało dzieła najznakomitszych autorów w wysokich, tanich nakładach.

Bednarski Szczęsny (1845–1913), drukarz, właściciel Drukarni Krajowej, autor prac z dziejów drukarstwa w Polsce, redaktor pisma „Czcionka”.

Bednarski Karol, zarządca drukarni im. Szewczenki (brat Szczęsnego).



Wagenhuber Jakub (1806–1871), dyrektor galicyjskiej drukarni rządowej.

Wild Karol (zm. 1883), księgarz, poseł do Rady Państwowej.

Władyka Kajetan (1842–1902), powstaniec 1863 r., znany lwowski drukarz.

Gawalewicz Michał Antoni (1855–1908), drukarz, członek Stowarzyszenia „Gwiazda”, Straży Ochotniczej Sokół i Czytelni im. Wiśniewskiego TSL.

Gojawiczyński Antoni (1870–1939), poligraf i mistrz sztuki introligatorskiej, przemysłowiec, właściciel jednej z najnowocześniejszych drukarni we Lwowie.

Gubrynowicz Władysław (1836–1914), księgarz, wydawca, członek Rady Miejskiej, przewodniczący Izby Handlowej.

Gubrynowicz Bronisław (1870–1933), historyk literatury, wydawca, członek PAU, syn Władysława.

Danicz Julian (1822–1903), drukarz.

Engel Michał (1868–1936), wybitny drukarz i introligator, zarządca drukarni Ossolineum, dyrektor drukarni „Gazety Lwowskiej”.

Żenczykowski Marcei (1848–1921), drukarz, właściciel fabryki wyrobów introligatorskich, wydawca kalendarzy.

Żyman Jan (zm. 1885), księgarz w Brodach.

Zienkiewicz Bolesław (1869–1935), księgarz i wydawca, wspólnie z Józefem Chęcińskim prowadził księgarnie we Lwowie.

Kamiński Julian Aleksander (1805–1860), archiwista, wydawca, pisarz, jeden z pierwszych urzędników Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.

Korzeniowska Maria Regina h. Nałęcz, wydawczyni atlasów historycznych.

Koehler Stanisław (1858–1915), księgarz, antykwariusz, wydawca.

Kuhn Ignacy (1790–1835), księgarz, wydawca, w 1827 wraz z Millikowskim oddał Piotrowi Pillerowi do druku sonety Mickiewicza z nutami kompozycji Karola Lipińskiego.

Levay Aleksander (1836–1928), drukarz, zarządca drukarni Pillera i kapituły greckokatolickiej.

Lubelski Karol (1879–1928), kierownik drukarni akademickiej Elizy Brandowskiej oraz drukarni Ignacego Jaegera, a później „Słowa Polskiego”.

Maniecki Wojciech (1820–1887), drukarz i wydawca.

Mańkowski Antoni Wincenty (1837–1899), drukarz, redaktor prasy socjalistycznej.

Piller Franciszek (1798–1871), księgarz, nakładca, posiadał przez pewien czas wyłączne prawo nakładu i sprzedaży w Galicji książek szkolnych.

Piller Józef Jan (zm. 1824), drukarz, księgarz, właściciel drukarni, księgarni oraz papierni, założyciel pierwszego we Lwowie zakładu litograficznego z jedną prasą.

Piller Kornel (1823–1855), drukarz i wydawca literatury polskiej.

Piller Piotr (1801–1874), drukarz, litograf, nakładca, zarządca Zakładu Kalk św. Łazarza we Lwowie.

Połoniecki Bernard (1861–1943), księgarz, właściciel Księgarni Polskiej we Lwowie, wydawca Biblioteki Mrówki, właściciel wypożyczalni książek, wychowawca wielu wybitnych polskich księgarzy i wydawców.

Poręba M.F. (1813–1880), właściciel drukarni.

Piątkowski Franciszek Ksawery, drukarz, działacz zawodowy i społeczny.

Richter Franciszek Henryk (1837–1883), księgarz, właściciel drukarni, jeden z najbardziej rzućkich w Galicji wydawców Biblioteki Narodowej i „Strzechy”, popularyzator dzieł Mickiewicza, drukowanych tanio i w dużych nakładach.

Sejfort Gustaw (1840–1923), księgarz, wydawca, właściciel wielkiej wypożyczalni nut i instrumentów muzycznych.

Schmidt Władysław (zm. 1908), znany lwowski księgarz, współwłaściciel księgarni Gubrynowicz i Schmidt.

Schmidt Mieczysław Henryk (1851–1907), dyrektor Teatru, dziennikarz, właściciel drukarni i kilku czasopism, współredaktor i współwłaściciel „Dziennika Polskiego”.

Staudacher Albin Teofil (1870–1915), księgarz.

Jakubowski Kazimierz Stanisław, księgarz, wydawca, drukarz, potentat w produkcji podręczników.

Henryk Breit

Huculscy snycerze

Schodziłem z połączonych, trawiastych, a tak pięknych szczytów pogórza, otaczającego dolinę Czeremoszu, w której leży stolica Huculszczyzny, ludne i barwne Żabie. Schodziłem wąską ścieżką, wydeptaną postolami Huculów, kopytami koni i racicami owiec, ogrodzoną charakterystycznymi woryniami, poprzez przecudne kwieciste łąki, gdzie właśnie odbywały się sianokosy, przy wtórce nieustających pieśni i nawoływań, dźwięku rozgłosnym a miarowym dziesiątek klepanych i ostrzonych kos – ku potokowi, który nazywa się Riczka, czyli po prostu rzeczka.

W malowniczo wijącej się wąskiej dolinie o spadzistych brzegach biegnie ścieżka wśród chat, niezbyt gęsto rozrzuconych wzdłuż potoku, to po jednej, to po drugiej jego stronie. – Jestem w jednym z ośrodków huculskiego snycerstwa, w Riczce. Co kilkaset kroków przechodzi się przez kładkę, – a jest ich do centrum wsi, zdaje mi się, 26! A im bogatszy Hucul daną kładkę na swoim polu wyciosał, z tym grubszego pnia drzewa jest zrobiona. Pień jest czasem tak gruby, a tym samym kładka szeroka, że czasem i małym wozem można by przejechać. – Sprawa prestiżu i – góralskiej fantazji! Ta sama fantazja, ta sama ambicja, by zakasować wszystkich sąsiadów i znajomych, każe im zdobić wymyślnie a pięknie każdy drobiazg, każde narzędzie, odrzwia chaty zarówno jak drewniane jarzmo na woły. Ogromnie wiele rzeczy robi się tu z drewna – nie tylko łyżki i widelce, ale i talerze, a nawet flaszki na wódkę, jarzma na woły i siodła o wysokich kulbakach, a wszystko przebogato zdobione rzeźbą, wypalanką, zestawieniem

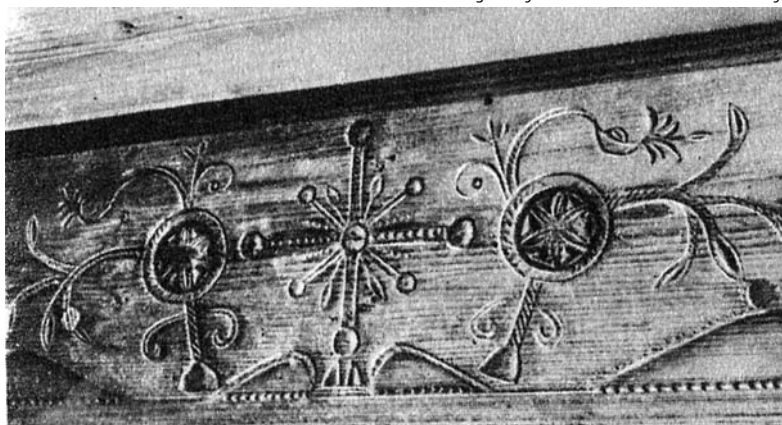
różnobarwnych gatunków rodzimego drzewa, nabijane kolorowymi paciorkami.

Na przebogataj tematykę zdobniczą Huculszczyzny złożyły się bardzo różnorodne wpływy – reminiscencje z turkieskańskiej praojczyzny, wpływy wschodniobizantyjskie, wołoskie, tatarskie i tureckie, nie mniej jak i szlachecko-renesansowe, ale wszystko przetransportowane we wrażliwej duszy artysty – Hucula, na jedyny w swoim rodzaju, charakterystyczny motyw regionalny, w którym w harmonijną całość złączyły się ostre strzelające w niebo, zygzakowate linie górskich pasm i szczytów z kolorystycznym akordem błękitu nieba, zieleni łąk i lasów, czerni odwiecznych pni w boru i ulubionej czerwieni.

W starych gniazdach tej rodzimej sztuki snycerskiej, w Riczce, Kosmaczu, Jaworowie, gdzie w zeszłym stuleciu, w okresie dobrobytu Huculszczyzny, stworzyli ten styl słynni snycerze z rodziny Szkrybłaków – pracują do dziś ich wnuki i prawnuki. Ale nie kupuje już dziś tych rzeczy zubożały góral, – wynędzniała Huculszczyzna!

Lecz synowie tej ziemi są przedsiębiorczy – egzotyczną niemal, barwną sylwetkę Hucula i Huculki zobaczysz dziś we wszystkich miastach Polski, swojską i obcą zarazem na tle tłumu gwarne go i śpieszącego, w ludnych domach towarowych Lwowa, Warszawy, Gdyni czy Poznania, jak pięknie swe cacka na sprzedaż wystawia, by zebrać nieco grosza, powrócić ze zdobytym kapitałem w swoje umiłowane strony i jakoś przetrzymać zimę i przednówek. Bo w lecie w górach nie zginie – mówią.

Dekoracja snycerska nad drzwiami izby



SYLWETKI

Alfred Biłyk

OSTATNI WOJEWODA LWOWSKI

Oto opowieść o tragicznym losie ostatniego wojewody lwowskiego, doktora Alfreda Biłyka, w związku z napaścią na Polskę Niemiec hitlerowskich i Rosji Sowieckiej we wrześniu 1939 roku.



Gmach Województwa we Lwowie

Alfred Biłyk urodził się 25 września 1889 roku we Lwowie. Gimnazjum ukończył w Brzeżanach, dzieląc ławkę szkolną z Edwardem Rydzem-Śmigłym. Razem działali w Związku Strzeleckim, razem walczyli w Legionach.

Po latach, z nadania prezydenta Ignacego Mościckiego, Alfred Biłyk objął urząd wojewody lwowskiego. 1 września 1939 roku wybuchła wojna.

Kiedy 12 września 1939 roku wojska hitlerowskie stanęły na rogatkach Lwowa, wojewoda Alfred Biłyk wygłosił do mieszkańców miasta słynne przemówienie, że Lwów był zawsze semper fidelis, bo odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, będzie się bronić do upadłego. Przyniósł, że nigdy nie opuści ani miasta, ani mieszkańców. Nie przewidział, że 17 września 1939 roku bolszewicy

wbiją Polsce nóż w plecy, zajmując Kresy Wschodnie.

Nazajutrz premier Sławoj-Składkowski wydał rozkaz Alfredowi Biłykowi udania się do Kut, gdzie wówczas już stacjonował ewakuujący się rząd. Wbrew własnej woli wojewoda rozkaz wypełnił.

Z Kut skierowany został na Węgry do Munkacza. Kiedy okazało się, że powrót do Lwowa stał się niemożliwy, w pokoju nr 5 w hotelu „Csillag” wojewoda Alfred Biłyk napisał testament, który do dziś znajduje się w Instytucie Sikorskiego w Londynie. Oto fragmenty jego treści:

... Nie mogłem walczyć we Lwowie, gdyż zgodnie z wytycznymi Szefa Rządu opuściłem go w warunkach, które mogą słowa moje postawić w pozornej sprzeczności z tym czynem. Dalsze moje życie zdaje się nie przedstawiać wartości dla Polski. Być internowanym do końca wojny nie chcę.

Chcę ocalić honor. Po Polsce wszystkie moje myśli są przy Tobie Marylu, Leszku, Basiu, Ewo i Jerzy.

Życie szczęśliwie, jeśli to będzie możliwe. Proszę, aby te moje słowa były ogłoszone, aby nietkniętym został mój honor. Przede wszystkim niech otrzyma o tym wiadomość Wódz Naczelny Śmigły-Rydz, gen. Składkowski i moje miasto Lwów. Podpisano: Alfred Biłyk wojewoda lwowski. Munkacz 19 IX 1939.

W dokumentach Instytutu Sikorskiego zachował się jeszcze drugi list, skierowany do władz węgierskich, dotyczący spraw osobistych wojewody. W kwadrans po napisaniu tego tekstu już nie żył. Strzałem z rewolweru w głowę odebrał sobie życie.

* * *

Prawie 60 lat później przyjechali do Polski z Brazylii Leszek i Barbara. Potem do Munkacza, by szukać miejsca pochówku ojca – Alfreda Biłyka. Na cmentarzu, pośród lasu krzyży, półksiężyców i pięcioramiennych gwiazd nie znaleźli grobu swego ojca. A przecież musi być gdzieś na pewno. A może właśnie wprost przeciwnie, wszak wojewoda sam sobie odebrał życie, a samobójców ksiądz zwykł grzebać dopiero za murem, poza poświęconą po katolicku ziemią.

Syn i córka pobrali grudę ziemi muckowskiej, aby ją zawieźć do Sao Paulo. Leszek pokaże ją swoim wnukom.

NIEZAPOMNIANA NAUCZYCIELKA

Wiele osób ze starszego pokolenia lwowian (z tamtej i tej strony kordonu) może pamiętać panią Marię Baczyńską – „Panią Masię”, nauczycielkę, rozmiłowaną w swym mieście, jego historii, kulturze, krajobrazie i wszelkich jego sprawach. Po ekspatriacji osiadła w Zakopanem i to było jej szczęście, bo Tatry kochała niemal tak jak Lwów. Urodziła się we Lwowie w 1902 r., była córką sędziego Adama Baczyńskiego. Rodzina mieszkała w międzywojennym 20-leciu na samej gorze ulicy Teatryńskiej.

Maria Baczyńska uczęszczała do Gimnazjum im. Królowej Jadwigi¹, ukończyła studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Jej specjalnością zawodową była ulubiona geografia, toteż po swych zajęciach nauczycielskich w lwowskich średnich szkołach oddawała się bez reszty wolontariatowi przy katedrze prof. Eugeniusza Romera, opiekowała się tam m.in. biblioteką.

Kiedy nadeszła II wojna i kolejne okupacje, Pani Baczyńska nie wróciła do pracy w szkolnictwie. Podjęła się natomiast udzielania prywatnych lekcji dla młodzieży, co było wtedy dość rozpowszechnione, ponieważ nauka w szkołach okupacyjnych nie odpowiadała potrzebom młodzieży i jej rodziców (rodziny, w miarę możliwości, pomagały sobie wzajemnie).

Piszący te słowa należał do 3-osobowego kompletu, z Hanką Grōo i Krzysztofem Chwalibogowskim². Oboje oni byli dziećmi znanych lekarzy, natomiast mojego ojca nie było wtedy w kraju, a matka – z wykształcenia romanistka – pracowała jako przyuczona pielęgniarka u prof. Groëra.

Kiedy ukończyliśmy VI klasę (1943), pani Masia doprosiła do naszego kompletu p. inż. Podlachę³, aby na poziomie gimnazjalnym uczyć nas matematyki i łaciny. Niestety wszystko skończyło się po niespełna roku (1944), kiedy niektórzy z nas wyjechali ze Lwowa, zatrzymując się czasowo w różnych miastach zachodniej Małopolski.

Pani Masia wraz z matką i bratem Zygmuntem (ojciec już nie żył) wyjechała jako „repatriantka” (w istocie ekspatriantka) chyba w 1946 r. We wspomnianym Zakopanem jej wieloletnia przyjaciółka p. Augusta Cehak

(Pani Cienia)⁴ przygotowała dla nich locum w „Reglance” w Jaszczurówce⁵. Jednak po niedługim czasie obie panie przeniosły się na Antołówkę, Baczyńscy do „Bajbuzy”⁶.

Pani Masia w Zakopanem nie wróciła już do pracy nauczycielskiej. Najpierw podjęła pracę w bibliotece miejskiej, później związała się z „Cepelią”, wykonując góralskie wyszywanki na ozdobnych wyrobach

Ostatni okres życia był bardzo smutny dla Pani Marii Baczyńskiej. Zmarł jej brat (matka dużo wcześniej). Lata zrobiły swoje, w końcu samotna egzystencja stała się niemożliwa. Zabrano ją do Zakładu Helclów w Krakowie, zmarła tam w 1983 roku – mija właśnie 30 lat. Została pochowana na cmentarzu Podgórkim. Żegnają ją garstka pamiętających...

* * *

To od Pani Baczyńskiej przejąłem oddanie sprawom lwowskim, które z czasem wypełniły bez reszty mój umysł, mój czas, moje życie. Myślę, że Pani Masia byłaby zadowolona z wieloletniego wydawania naszego kwartalnika, na pewno by naszej redakcji pomagała, doradzała. Szkoda, że Jej nie ma.

Andrzej Chlipalski

¹ Od dawnych *Jadwiżanek* oczekujemy informacji o tamtych latach życia Marii Baczyńskiej.

² Oboje już nie żyją.

³ Późniejszy profesor na Śląsku, syn znanego profesora lwowskiego.

⁴ Augusta Cehak była córką pisarza z Wilna Adama Cehaka, który pisał pod nazwiskiem Stodor.

⁵ Przy drodze na Cyrhlę, tuż obok pięknej kaplicy Witkiewicza.

⁶ Właścicielką tego pięknie urządzonego domu była znana w latach „Zielonego Balonika” krakowska malarka, pani Anna Gramatyka-Ostrowska – II v. Ambrożewiczowa. Pani Baczyńska mieszkała z bratem w skromnych pokoikach na parterze.

MŁODYM BYĆ I WIĘCEJ NIC...

Mija w tym roku 70. rocznica tragicznej śmierci Emanuela Szlechtera, bez którego polska estrada czasów międzywojennych byłaby o wiele, wiele uboższa. Urodził się w 1906 r. we Lwowie, zginął wraz z żoną i trójką dzieci podczas likwidacji lwowskie-

go getta. Był wielkim polskim patriotą, brał udział w Obronie Lwowa 1920 roku.

Jego kariera jako twórcy tekstów piosenek estradowych (które też sam śpiewał) zaczęła się w 1930 r. Część lat przedwojennych spędził w Warszawie, w tamtejszych teatrzykach współpracował z Hemarem, Tuwimem, Jarossym. Jego przeboje śpiewali Hanka Ordonówna, Szczepko i Tońko, Bodo. Najważniejsze przeboje Szlechtera to pamiętane do dziś *Umówiłem się z nią na dziewiątą*, *Bo to się zwykle tak zaczyna*, *Młodym być i więcej nic*, *A mnie jest szkoda lata* i wiele innych.

Szczegółowy życiorys Szlechtera omawia najnowszy numer PSB nr 198.

W Krakowie i dalej

Z żałobnej karty

ZMARŁA PANI ALEKSANDRA GARLICKA

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci w Warszawie wspaniałej Lwowianki i polskiej patriotki, dr Aleksandry Garlickiej. Stało się to przed paroma miesiącami – w grudniu '12, jednak wiadomość dotarła do nas z wielkim opóźnieniem, a nie pisały o tym krakowskie gazety.

Nasz kontakt z Panią Aleksandrą trwał od kilku lat, spotykaliśmy się w warszawskim Muzeum Niepodległości, gdzie dyrektor Stawarz zapraszał od czasu do czasu grono aktywnych osób zainteresowanych historią i kulturą Ziemi Wschodnich. Od tamtego czasu byliśmy z Panią Aleksandrą w kontakcie telefonicznym (lubiła nasz kwartalnik), a niedługo przed śmiercią przysłała nam interesujący artykuł *Ex Oriente Lux*, który traktował o wybitnych postaciach Lwowa czasu zaborów i lat międzywojennych i który wydrukowaliśmy w CL 3 i 4 roku 2011. Potem spotkania muzealne urwały się, zabrakło dyr. Stawarza. Zarazem usłyszeliśmy o problemach zdrowotnych Pani Aleksandry. Nikt jednak nie przypuszczał...

Aleksandra Garlicka, z domu Mierzecka, urodziła się we Lwowie w 1933 r., była córką znakomitej lwowskiej artystki sztuki fotograficznej, Janiny Mierzeckiej, uczennicy Henryka Mikolascha, i autorką wspomnień *Cafe życie z fotografią*. Aleksandra ukończyła historię na Uniwersytecie Warszawskim i – jako historyk – poszła za matką. Napisała swoją pracę doktorską o historii polskiej fotografii, pracowała też w kwartalniku „Fotografia”. Potem podjęła pracę w Instytucie Badań Literackich, w Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa, i tam połączyła dwie najbliższe sobie dziedziny: do czasopiśmiennictwa dodała temat fotografii.

W ramach swoich zamiłowań zbierała stare fotografie, penetrowała zbiory muzeów, archiwów, bibliotek i organizowała świetne wystawy. Pośród nich, w 1991 r., w warszawskiej „Zachęcie” powstała wystawa *Lwowiaci i ich Miasto*. Niestety nie pozostał album, zabrakło środków. To wielka strata dla pamięci naszej historii i kultury.

Andrzej Chlipalski

Od redakcji: zamierzaliśmy zwrócić się do Męża Zmarłej, prof. Andrzeja Garlickiego, z prośbą o fotografię Pani Aleksandry. Niestety, nie doszło do tego. W pierwszych dniach kwietnia br. przeczytaliśmy w prasie, że Profesor właśnie zmarł. W cztery miesiące po śmierci Żony...

Odszedł artysta



U góry po prawej Ryszard Mosingiewicz, obok Adam Żurawski, u dołu Andrzej Jaworski

► Z ogromnym smutkiem żegnamy świętego artystę **Ryszarda Mosingiewicza**, który razem z przyjaciółmi Adaśkiem Żurawskim i Andrzejem Jaworskim tworzyli w Bytomiu od wielu lat zespół lwowskiej piosenki i bałakowego dialogu. Zawsze oczekiwani w całym kraju, zabawiali rodaków najpiękniejszym folklorem spod Wysokiego Zamku.

Zdążył się urodzić we Lwowie w 1945 roku, ale już niebawem los zagnał jego ro-

dzinę do Bytomia. Tam dorósł i wykształcił się. Przez kolejne lata, obok pracy zawodowej, oddawał się bez reszty – poczynając od zespołu „Pacalycha” – lwowskiemu słowu i muzyce, gdzie smutek i wesołość były nierozdzielne. Pisał teksty, nagrywał płyty, występował nawet w filmach.

Zmarł w maju tego roku. Zachowamy o nim serdeczną pamięć.

Książki czasopisma

Nowe książki

RÓŻA I KAMIEN

📖 **Poetyckie zamyślenia Mariusza Olbromskiego w podróży po Kresach.**

Każda epoka ma swoje podróże, do miejsc szczególnych, mistycznych bądź zapomnianych. XXI wiek odszukuje ślady życia i historii na Kresach Rzeczypospolitej, brutalnie zniszczonych w czasie II wojny światowej i po niej. Ślady, których nie tylko poeci i pisarze nie mogą obojętnie ominąć, ale też inni ludzie. Miejsca i wydarzenia, które zaważyły niejednokrotnie na losach narodu, przynosiły splendor i dawały poczucie siły – a zostały bezkarnie zniszczone. Nie tylko architektura, pałace, dwory, kościoły, budowle i gmachy publiczne, ale też krajobraz, przyroda.

Stąd poetyckie zamyślenia poety **Mariusza Olbromskiego**, który w swoich podróżach, znając historię i literaturę – wciąż odkrywa kamienie bądź pustkę po nich, które były świadkami wielkich wydarzeń Polski. Do nich należą Krzemieniec, Berdyczów, Olesko, Podhorce, Podkamień, Lwów i wiele innych miast i miasteczek na Kresach. Najbardziej zniszczone historyczne obiekty na Wołyniu ze spalonymi kościołami wraz ludźmi mordowanymi przez UPA w 1943 roku.

Niedokończone Msze Wołyńskie

Wiersze dotyczące bolesnych ran wołyńskiego ludobójstwa, które pochłonęło tysiące ludzi – w tym połowę bezbronnych dzieci.

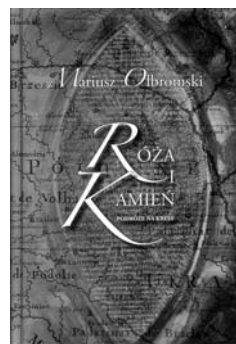
Mordowanych w okrutny sposób, palonych w domach, stodołach, szkołach i kościołach. Tak było w Porycyku, Wiśniowcu, Kisielinie, Hrynowie i innych wołyńskich kościołach – gdzie podczas mszy świętej – mordowano ludzi. Miejsca te w podróży odwiedził poeta. Zastając tam bolesną ciszę, często zatarte ślady zbrodni, przywołuje to i zapisuje – ku przestrodze. Bez kławy, bez pogardy oprawców – po ludzku, chociaż ci nie mieli ludzkich instynktów ani zasad chrześcijańskiej wiary. Jak pogodzić świat w tych wymiarach, jak zapisać ludzkie tragedie i nie poranić czasu. Sztuka słowa ocala pamięć podeptaną, niechcianą, straszną. Literatura jest niekończącą się księgą żywotów ludzi, zarówno wielkich, jak i małych, szumnych i zwyczajnie cichych. Ocala zdarzenia i losy narodu, podnosi podeptane, chroni przed przemianami i zapomnieniem. Tym też ma uczyć i stawiać drogowskazy – młodemu pokoleniu.

Wszystko, co ujrzałem, nie pozwala milczeć pisze poeta w wierszu *Róża i kamień*. Jak przejść obojętnie obok takich cierpień i ludzkich tragedii – gdy świat współczesny nam wokół wariuje w zmysłowości, w pysze, w pogardzie do piękna i prawdy.

Wszystko, co ujrzałem, nie pozwala milczeć pisze poeta w wierszu *Róża i kamień*. Jak przejść obojętnie obok takich cierpień i ludzkich tragedii – gdy świat współczesny nam wokół wariuje w zmysłowości, w pysze, w pogardzie do piękna i prawdy.

Mozaika Krzemieniecka

Poetyckie przestrzenie, w czasie których poszukujemy śladów historii i literatury poety



odnajduje tak wiele polskich twarzy, znanych do dzisiaj. Poetów, profesorów, dyplomatów, duchownych – ludzi z kart polskiej historii. Nikt ze współczesnych poetów polskich nie poznał tak duszy Krzemieńca i cieni ludzi z historii Ojczyzny. Nikt nie odwiedził tyle razy i swoją pracą nie wsparł krzemienieckiej pamięci, jak poeta Mariusz Olbromski – inicjator i organizator wielu sesji literackich w Dworku i Wielkiego Jubileuszu dwusetnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego. Stąd te krzemienieckie wiersze, które tak wiele znaczą i są kontynuacją wielkiej literatury, mającej tam źródła od czasów Wieszcza. Odnajdujemy ślady tutaj, sprzed pół wieku... Ślady lwaskiewicza ze Stawiska – pod Górą Bony w Krzemieńcu, który w 150. rocznicę urodzin wieszczki Juliusza Słowackiego przed Dworkiem Januszewskich zasadził brzozę. Rośnie i szumi, by świadczyć o tym, co jest dla poetów dziś także – tęczą niegasnącą. I w dalekim Adampolu, nad Bosforem, gdzie grób Ludwika z Jaszun – z tak dawnej, zauroczonej miłości Słowackiego, do dzisiaj jest śladem historii tułactwa z Kresów. Miejsce szczególne, które odwiedza poeta i zapisuje zachowane pamiętki polskiej historii do poetyckich liryk.

Zostałaś tu nad szarfą błękitną, co dwa lądy dzieli

I dwie życia twego przedziwne połowy.
...zwraca się do romantycznej bohaterki Ludwika Śniadeckiej, obdarowywanej niegdyś westchnieniami przez młodego Julka z Krzemieńca. A w zauroczeniach wielką historią i pięknem w wierszu *Miasto tęsknoty*, pisze:

I znów Juliuszu w twym czarownym mieście... rozstrzuwa liryczne słowa, śpiewne i czyste. W wierszach podróżnych po Kresach, najwyraźniej odczuwa się rzewność mowy polskiej i jej słodycz dobroduszną, barwną i spokojną. Łagodność słów opisująca miejsca w sposób mistyczny i wielowątkowy, stawia przed oczyma obrazy prześwietne, nie z marzeń, a z kart historii, prawdy o losach krzemieńczan. To najurokliwsza wędrowka poety z cieniami tych, którzy przeszli, i tych, którzy wciąż idą ulicą Słowackiego, na górę Bony, na tunicki cmentarz i do kościoła z pomnikiem Króla Ducha.

Olbromski jest jednym z nielicznych poetów współczesnych, który w doborowy sposób łączy język stary, dziewiętnastowieczny

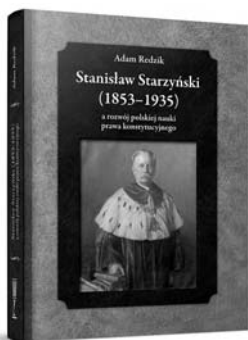
ze współczesnym w sposób łagodny, z szacunkiem. Te dwie cechy charakteru i osobowości – łagodność i szacunek do ludzi i świata, to dominująca cecha całej twórczości Olbromskiego. Świat słowa z dobroci i życzliwości pisany, chociaż w różnych nastrojach – daje poczucie piękna i światło mowie polskiej, tak bezkarnie szarganej przez współczesnych agitatorów poezji, rzekomej awangardy XXI wieku. Świadomy jestem i potwierdzam fakt, że kresowe liryki w najlepszych czasach i ogólnej pogardzie piękna – w cudowny sposób ocalają wartości nieprzemijające. Cienie wieszczów, które idą w lirycznych zapisach, kołchozowymi drogami – gdzie dawniej kwitły łany chlebobojne – tam wokół lustra Ikwy, Styru i Dniestru aż po wiślane krajobrazy – snuje się дума polska. *Kiedy tam staniesz w lustrze widzisz siebie, jakby nad Dniestrem wstały ranne zorze, ciszę Wawelu pojmiesz nagle w sobie...* Takich odkryć i takiego spojrzenia w lustro wody – życie, życzyć, a szczególnie tym, którzy niekoniecznie kochają Ojczyznę.

PS. *O podróŜowaniu Mariusza Olbromskiego na wschód* w posłowie do książki pisze dr Jan Wolski. Jest tam doskonała recenzja poezji z wszystkimi walorami, odkrytymi przez znawcę słowa literackiego. *Dobromyśli o twórczości i walory poezji*, dopisane naukowym językiem, zamykają książkę poetycką wielą wartościami.

Krzysztof Kołtun

* Mariusz Olbromski, *Róża i kamień*. Wydawnictwo PHU Farta Rzeszów, 2012. Krzysztof Kołtun jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Oddz. Kraków.

📖 Od Pana **Adama Redzika** przyszła nowa – szczególnie dla nas ciekawa – książka jego autorstwa: **Stanisław Starzyński (1853–1935) a rozwój polskiej nauki prawa konstytucyjnego** (Wydawnictwo Wysoki Zamek, Warszawa–Kraków 2012, w cyklu Monografie Instytutu Allerhanda, nr 1). Nie jest przypadkiem, że autor przysłał nam tę księgę, dotyczy ona bowiem wybitnego uczonego związanego ze Lwowem i Ziemią Lwowską. Urodził się bowiem koło Żółkwi w majątku Derewnia. Starzyński wywodzili się ze starego rodu rycerskiego*, a ich przodkowie doznawali wielu zaszczytów w Rze-



czypospolitej Obojga Narodów. Stanisław Starzyński urodził się w Snowiczu w pow. złoczowski. Uczył się najpierw w domu, potem w Żółkwi i Lwowie. Po maturze (1872) wstąpił na Uniwersytet Lwowski, który właśnie w tym czasie uległ polonizacji**, na wydział Prawa i Umiejętności Politycznych (!). Jego

szersze studia, włączając w to uzupełniające studia w Monachium, zakończyły się habilitacją w r. 1883 – zarazem został docentem, a w r. 1889 został powołany na katedrę prawa politycznego, co oznaczało powstanie pierwszej samodzielnej katedry prawa konstytucyjnego na Uniwersytecie Lwowskim.

Lata, które nastąpiły, były okresem wielkiej aktywności naukowej i polityczno-społecznej Starzyńskiego. I tak trwało do r. 1923, gdy Profesor wystąpił o przejście na emeryturę. Spowodowało to wiele protestów ze strony wydziału i uczelni. Starzyński nie ustąpił i w r. 1925 został mianowany profesorem honorowym.

Ostatnie lata spędzał Profesor w połowie w Derewni, w połowie we Lwowie. Zmarł na wsi i na tamtejszym cmentarzu został pochowany w grobowcu rodzinnym. Niestety dziś nie ma po nim śladu.

Tyle na temat życiorysu Profesora Starzyńskiego.

* * *

Jest jednak jeszcze drugi życiorys Profesora, dotyczący jego działalności naukowej i społeczno-politycznej, o czym wyżej wspomnieliśmy. W tych sprawach możemy jedynie zacytować niektóre wyjaśnienia autora, ponieważ problematyka i kierunki aktywności Profesora to sprawy zbyt specjalistyczne i trudne jak na Czytelników niezorientowanych w tych dziedzinach.

S. Starzyński angażował się przez wiele lat w prace rad powiatów w Żółkwi i we Lwowie, ponadto był aktywnym działaczem zrzeszeń ziemiańskich i gospodarczych, był też sędzią przysięgłym. W 1907 r. został posłem do Sejmu Krajowego. Tam był szczególnie aktywny w pracach nad projektami ustaw budżetowych. Kolejnym jego

obowiązkiem stała się reforma wyborcza, jednak przez swoje cechy charakterologiczne nie otrzymał teki ministra ani prezesa Koła Polskiego w Wiedniu. Projekt reformy opracował samodzielnie, a przyjął to go w 1914 r. Uznano, że największym osiągnięciem Starzyńskiego jako posła, a zarazem jedną z największych osiągnięć ustrojowych w Galicji stało się rozszerzenie autonomii krajów koronnych monarchii Habsburgów na podstawie tzw. *Lex Starzyński*.

Innym polem działalności Starzyńskiego był Trybunał Państwa (który powstał wcześniej). Był on poprzednikiem Trybunału Konstytucyjnego. Po I wojnie Starzyński proponował, by taki sąd konstytucyjny powstał w wolnej Polsce.

W latach 1915–18 Starzyński uczestniczył w wielu inicjatywach lwowskich, wiedeńskich i krakowskich, mających na celu działania na rzecz odbudowy niepodległej Polski. Kolejnym polem działania były prace nad uchwaleniem Konstytucji marcowej z 1921 r. Te i dalsze prace zajmowały Starzyńskiego aż do końca życia.

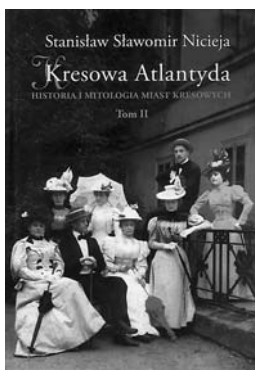
* * *

Powyższe informacje i zagadnienia znalazły się w trzech rozdziałach pierwszej części książki A. Redzika: *Rodzina, Uniwersytet, Parlament*. Część druga pt. *Twórczość naukowa* – to kolejne trzy rozdziały: *Nauka prawa konstytucyjnego w XIX wieku i pierwszej połowie wieku XX; Dorobek naukowy z okresu austro-galicjskiego; Dorobek naukowy z okresu II RP*. Część trzecia (i rozdział VII): *Uczniowie*. Czytelników zainteresowanych tymi nietatwymi, ale jakże ciekawymi sprawami odsyłamy do książki Adama Redzika. A Jemu składamy serdeczne podziękowanie i wyrazy uznania.

* Autor przytacza rozważania, czy Starzyńscy są z tej samej linii co Starzeńscy, ale herby są nie te same.

** Dotąd, od zaboru, panowała na uniwersytecie niemieczyzna.

📖 W jednym z poprzednich numerów (CL 1/13) omówiliśmy pierwszy tom nowego cyklu **prof. Stanisława S. Niciei**, zatytułowanego *Kresowa Atlantyda*, a obecnie ukazał się tom II, poświęcony słynnym



wschodniomałopolskim uzdrowiskom pt. **Uzdrowiska i letniska kresowe**. Znamy je – bodaj z nazwy lub opowiadań rodziców i dziadków – a może ten i ów Czytelnik z własnych podróży, a nawet kuracji?

Ta książka – jak pisaliśmy już wcześniej o tym cyklu – nie ma charakteru pracy ściśle naukowo-badawczej, jest to

namomiast barwne i ciekawe, choć skrótove opisanie tych miejscowości, fragmentów ich dziejów oraz roli, jaką pełniły w lecznictwie oraz w życiu społeczno-kulturalnym społeczności dla ludzi minionych (niestety) epok. Niezapomniane, choć zabrane nam przed kilkudziesięciu laty zdroje i letniska – to Truskawiec, Jaremcze, Worochta, Skole i Morszyn. Te właśnie wybrał autor, ale było ich oczywiście więcej*.

Każdy z czterech rozdziałów (Worochta i Jaremcze, położone blisko siebie nad Prutem, są ujęte razem) mógłby stanowić osobną książkę (*Truskawiec* to prawie 80 stron, duży format). Ogromnym plusem książki jest wielka ilość ilustracji: starych fotografii, widokówek, nieco reprodukcji. Większość zdjęć pochodzi z tamtych epok, od XIX wieku, ale najwięcej z lat międzywojennych. Jest też trochę zdjęć współczesnych ludzi i miejscowości oraz właścicieli dóbr, pensjonatów i prywatnych domów. Pokazano ludzi i rodziny, które gościły w omawianych uzdrowiskach. Przewijają się mnóstwo nazwisk, które kiedyś wiele znaczyły, ale i dziś są pamiętane. Przykładem baronowie Groedlowie – właściciele karpackich lasów, Jaroszowie, Niedźwirscy, Szajnowie, Emil Zegadłowicz, Wasylewski, profesorowie lwowscy – Wygryzwański, Twardowski, Bruchnański, Mościcki, Thullie – wszystkich nie sposób wyliczyć. A z lat dawniejszych Mikuli – uczeń Chopina, Ujejski, Belza, Maryla Wolska i Dudrowie ze Skolego, inż. Kosiński – budowniczy linii kolejowej i wiaduktów. I ci, którzy zginęli w górach: Ralski, Chlipalski...

Ludzi tych znano z prasy, radia, z książek i prac naukowych, które pisali, ale byli rozproszeni po całym kraju: Lwów, Warszawa, Poznań, Kraków. A w czasie wakacji lub

zimą można ich było zobaczyć tutaj, całkiem prywatnie, poznać na wycieczkach czy na stokach narciarskich, w pijalniach mineralnych, w pensjonatach i kawiarniach.

Profesor Nicieja napisał znowu ciekawą, a zarazem uroczą książkę. Czekamy na następne!

* Pro domo sua: piszący te słowa przedstawił w latach 1991–93 na łamach „Semper Fidelis” (bo nasz kwartalnik CL jeszcze wtedy nie istniał) te i inne uzdrowiska wschodniomałopolskie, były to jednak bardziej geograficzno-techniczne opisy, a te, które daje prof. Nicieja, to barwne opowieści historyczno-literackie.

(AC)

📖 Wydana w maju 2012 r. przez KIW książka **Jerzego Szczęśniaka – Brody. Jeniecki obóz pracy (1939–1941)** jest swego rodzaju monografią jednego z kilkudziesięciu podobozów Budowy NKWD nr 1 – obozu w Brodach, w przedwojennym województwie tarnopolskim. Książka została oparta na relacjach polskich jeńców wojennych (szeregowych i podoficerów) – z tzw. Kolekcji Generała Andersa, przechowywanej w amerykańskim The Hoover Institution on War, Revolution and Peace (Stanford, Kalifornia), a także na dokumentach sowieckich Głównego Zarządu NKWD do spraw Jeńców Wojennych i Internowanych, pozyskanych w 1993 r. przez polską Wojskową Komisję Archiwalną. Zbiór tych dokumentów (kopie) znajdują się w zasobach Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie. Przytoczone w pracy Szczęśniaka dotyczą wstępnej organizacji Budowy Zachodnioukraińskiej Drogi nr 1.

Autor wykorzystał w swojej książce 85 indywidualnych relacji jeńców oraz dwa zestawienia sumaryczne. Wszystkie one dotyczą obozu jenieckiego w Brodach, a sporządzone zostały w okresie luty–marzec 1943 r. jako odpowiedź na skierowane do byłych jeńców pytania kwestionariusza, przygotowane przez Biuro Historyczne (*Kwestionariusz byłego jeńca-internowanego-więźniaragjernika-zesłańca w ZSRR*).

Funkcjonowanie obozu w Brodach omawiane w opisywanej publikacji przebiegało w trzech etapach: pierwszy (organizacyjny) od końca września do połowy października 1939 r.; drugi: połowa października 1939 – kwiecień 1941; trzeci: kwiecień – czerwiec

1941. Zmieniła się też lokalizacja obozu: na początku w tzw. Czerwonych Koszarach, następnie w dawnym pałacu Potockich z 1751 r. (kompletnie zdewastowanym i obrabowanym) w obrębie Twierdzy Brodzkiej, w końcu – w dawnych magazynach wojskowych bliżej budowanego teraz przez jeńców lotniska.

Najobszerniej w książce Szcześniaka został omówiony drugi etap funkcjonowania obozu. Już same podtytuły rozdziału poświęconego temu etapowi świadczą o skali i wadze problemów, jakimi autor się zajmuje. Dla przykładu; *Wobec siebie i innych; Jeniecka egzystencja; Praca; Kondycja psychofizyczna jeńców; Sowiecka propaganda.*

W odniesieniu do pierwszego podrozdziału: z relacji jeńców wynika, że w początkowym okresie kierownictwo obozu powierzono głównie komunizującym Żydom pochodzącym z Brodów. Naczelnikiem był Jerzy Brandwein, zagorzały komunista; administratorem (tzw. „zawchoz”) Neustadt, a następnie Gladstein; lekarzem dr Korchin. Oto opinia jednego z jeńców: *Ten zestaw bardzo przykro dał się nam we znaki. (...) Wypędzanie chorych i rannych (byli i tacy) na pracę, nie zwracali uwagi na to, że ludzie są bosi i nie ubrani (...), brak najprymitywniejszych warunków higienicznych, profanacja i deptanie nogami dewocjonalistów itp.*

Po zakończeniu organizacji obozu na nowym miejscu – w dawnym pałacu Potockich – jeńcy zostali zatrudnieni przy budowie drogi Nowogród Wołyński–Równe–Dubno–Brody–Busk–Lwów na odcinku Brody–Podhorce. Tutaj ok. połowy grudnia 1939 r. sowieci wprowadzili znane już u nich, „sprawdzone” normy pracy. Od ich wykonania zależała ilość i jakość dziennego wyżywienia. Regulowała to ustalona przez Zarząd do spraw Jeńców Wojennych struktura tzw. kotłów. Dla wyrabiających 110% normy i więcej – kocioł III (stachanowski): kasza, kawa, herbata, mała porcja mięsa, zupa, kartofle na sucho, 1000 g chleba. Kocioł II – 100 do 60% normy: odpowiednio 800, 700, 600 g chleba, obiad bez mięsa. Kocioł I (karny): poniżej 40% normy – 400 g chleba, śniadania i obiady sporadycznie, zupa jęczmienna albo buraczana, bez żadnych tłuszczów – ½ litra 2 razy dziennie.

W końcowym etapie funkcjonowania obozu w Brodach roboty na lotnisku pro-

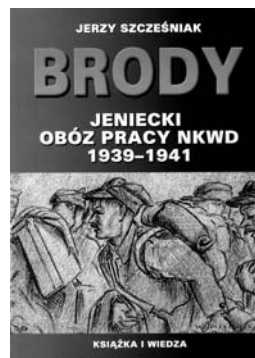
wadzone były przez całą dobę – dwie dwunastogodzinne zmiany: od 4 rano do 16 i od 16 do 4 rano. W miesiącu jeńcom przysługiwały jedynie dwa wolne dni. Ludzi niezdolnych do pracy lub ciężko chorych kierowano albo do szpitali, np. miejskiego w Brodach, albo do obozu w Zimnej Wodzie – jednego z najgorszych obozów pod względem mieszkania, jedzenia i pracy.

22 czerwca 1941 roku (niedziela) ok. godziny trzeciej niemieckie samoloty niespodziewanie zbombardowały sąsiadujące z obozem lotnisko i hangary. Kolejny dzień przyniósł jeszcze intensywniejsze bombardowania. W związku z tym w południe ogłoszono decyzję o ewakuacji obozu.

Z uwagi na brak jakichkolwiek środków transportu zarządzono ewakuację pieszą (!). Wymarsz z Brodów rozpoczął się o godz. 15. Był to początek niebywałej wprost gehenny, która miała trwać 26 dni, do 18 lipca. Pokonano w tym czasie, w skrajnie ciężkich warunkach, ok. 800 km. Tak oto tę upiorną wędrówkę zanotował jeden z jeńców: *Marsz odbywał się codziennie od 4–5 rano, a kończył się ok. 21–23. Bez względu na pogodę. (...) Żołnierz bolszewicki był bezwzględny, kopał chorych, szarpał, szczuł psem i kazał dalej maszerować. Jeńcy stale byli narażeni na ataki samolotów niemieckich, bombardowania i ogień karabinów maszynowych.*

Najtragiczniejszy był atak w dniu 11 albo 13 lipca pod miejscowością Skwira, przed Dnieprem. Tak zapamiętał to jeden z uczestników marszu: *... z niskiego pułapu samolot ostrzelał nas z karabinów maszynowych, zrzucając równocześnie masę granatów. Rezultatem tego niewinnego żartu było: 46 zabitych i 210 rannych na stan 1500 jeńców. Ciała zabitych pochowaliśmy we wspólnych mogiłach przy szosie, rannych odwieziono do pobliskiego kotłochozu, gdzie podobno zabrali ich wkrótce Niemcy, którzy stale deptali nam po piętach.*

Po 26 dniach morderczego wysiłku jeńcy dotarli wreszcie do stacji kolejowej Złotonosza (już za Dnieprem). Stąd mieli zostać przewiezieni pociągami do zbiorczego



obozu w Starobielsku. Czekal ich ponowny koszmar, gdyż sowieci ładowali do wagonów od 50 do blisko 80 osób (!). Ta, trwająca pełnych 5 dni, okrutna podróż, wyglądała następująco: *Warunki w transporcie były straszne: wielka ciasnota, ubrania mokre, a potem wszy rzuciły się na nas (...). Życie było okropne. Jeżeli dali chleba, to 8 dag (...) a na drugi dzień jedno wiadro zupy grochówki na 70 ludzi, ugotowanej na oczekaniu koło wagonu (...) nie dawali więcej wody jak ½ litra na dobę, a gorączki były straszne w lipcu (...). A nawet widziałem, jak kolega, chcąc ratować się, pił własny moc z flaszki.*

Po przybyciu do stacji w Starobielsku zauważono, że część żywności, najwyraźniej przeznaczonej także dla jeńców, konwojenci rozgrabili, a resztę – prawdopodobnie popsułą – zakopali.

23 czerwca 1941 r. wyszły z Brodów (wg sowieckich dokumentów) 1183 osoby, do Starobielska dotarły mniej niż 322 osoby (zabici – 80, ranni – 201, określani wspólnie jako zabici i ranni – 34, zaginieni – 7). W Starobielsku sowieci skoncentrowali łącznie ok. 13 tysięcy ludzi. Warunki egzystencji we wszystkich podobozach były trudne. Obozy mieściły się na terenie dawnego klasztoru żeńskiego św. Trójcy, gdzie w 1940 roku przetrzymywano blisko 4000 polskich oficerów, podchorążych i chorążych, zamordowanych następnie w Charkowie w kwietniu tegoż roku i pogrzebanych w Piatichatkach.

W wyniku wyniszczenia organizmu jeńców oraz chronicznego niedożywienia zwiększona była ich podatność na rozmaite choroby. Powszechne były: świerzb, czyraki, obrzęki nóg, a także panosząca się wszędzie grypa. Panował wszechobecny brud i roiło się od przeróżnych pasożytów. Nic dziwnego więc, że notowano 6–10 zgonów dziennie.

* * *

Przełomowym dniem dla jeńców stał się piątek 1 sierpnia 1941 roku. Zarządzono ogólną zbiórkę, padły pierwsze komendy po polsku. Zebranych ogłoszono oficjalnie treść umowy podpisanej 30 lipca w Londynie przez gen. Władysława Sikorskiego i ambasadora ZSRS Iwana Majskiego. Zapanowała powszechna radość, zmaćniona jednak dość

mocno ogłoszonym w tym samym czasie sowieckim komunikatem o „udzieleniu jeńcom polskim amnestii”. – *Od tej chwili oczekiwaliśmy niecierpliwie na przyjazd naszych oficerów do organizacji nowych jednostek* – wspomina w swojej relacji jeńiec Antoni Woropaj.

24 sierpnia do Starobielska dotarła z Moskwy polska Komisja Poborowa dowodzona przez ppłk. dypl. Kazimierza Wiśniowskiego. W poniedziałek 25 sierpnia dokonano przeglądu wszystkich jeńców.

Według danych pochodzących z meldunku ppłk. Wiśniowskiego ich ogólna liczba wynosiła 11952 osoby, w tym 73 w izbach chorych. Do tego należy dodać tych jeńców, którzy byli przetrzymywani w innych miejscach (kolchozy, sowchozy, roboty budowlane), co da ostateczną liczbę wszystkich internowanych w Starobielsku – 12852. Zaczęto organizować bataliony i kompanie, a na ich czele stanęło 14 oficerów ujawnionych w trakcie pierwszego dnia poboru. W trzecim dniu funkcjonowania komisji ppłk Wiśniowski zażądał od sowieków codziennego podstawiania 48 wagonów. Transporty do miejsc formowania Armii Polskiej ruszyły jednak dopiero w pierwszych dniach września 1941 r. Każdemu ze zwolnionych jeńców wypłacano zapomogę w wysokości 500 rubli (odpowiednik dwumiesięcznego wynagrodzenia sowieckiego robotnika kwalifikowanego).

Dla wszystkich nastąpił wreszcie koniec blisko dwuletniej jenieckiej poniewierki. Rozpoczęła się nowa droga, przez ZSRS, Iran, Irak, Palestynę i Egipt do Włoch, jakże już blisko Polski!

* * *

Praca Jerzego Szczęśniaka zawiera obszerny wybór sowieckich dokumentów, zgromadzonych w CAW jako Kolekcja Wojskowej Komisji Archiwalnej – Akta z Archiwów Rosyjskich, a także wybór dokumentów z opracowania *Drogi śmierci. Ewakuacja więźniów sowieckich z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w czerwcu i lipcu 1941*, autorstwa K. Popińskiego, A. Kokurina, A. Gurianowa.

Poza tym: wykaz autorów relacji i zestawień, pochodzących ze zbiorów The Hoover Institution on War... w Stanach Zjednoczonych, obszerna bibliografia, trzy szkice (mapki): wybrane punkty obozowe, Brody

i okolice, droga ewakuacji obozu Brody, a przede wszystkim 9 unikatowych rysunków Włodzimierza Toczyłowskiego, również jeńca obozów sowieckich Szepietówka i Hołowica, a następnie Starobielsk, przedstawiających życie obozowe, ewakuację, wyjście z obozu na wolność. Rysunki powstały w 1941 roku w Tocku. Także krótki szkic biograficzny autora rysunków.

Jako uzupełnienie relacji jeńców, zawartych w książce, Jerzy Szczęśniak zamieścił w niej obszerny życiorys swojego dziadka (ze strony matki), Bronisława Grodzickiego, który był jeńcem obozów we Włodzimierzu Wołyńskim, Brodach i Starobielsku. Wspomnienia, spisane przez matkę autora, a dotyczący epizodów z życia jej ojca, stały się inspiracją do powstania omawianej książki.

Na koniec trzeba koniecznie zwrócić uwagę na szczególną pasję historyczną Jerzego Szczęśniaka, która zaowocowała niezwykle skrupulatnym udokumentowaniem całej książki. Przypisy, znajdujące się niemal na każdej stronie, przynoszą dużą, zebraną przez autora wiedzę na temat tego bolesnego okresu drugiej wojny światowej, jakim były lata 1939–1941, zwłaszcza na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

Ireneusz Kasprzysiak

📖 Nie jest to książka nowa, wydana została przed kilku laty (brak daty) przez warszawskie Muzeum Niepodległości pod redakcją

WSZYSCY PRAGNĄCY SŁUŻYC

w formacjach bojowych

zgłaszają się do Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej,

dowodzonych przez brygadiera Maczyskiego,

W KOSZARACH

przy ul. Zamarstynowskiej.

ówczesnego – dobrze wspomnianego – dyrektora Andrzeja Stawarza, zatytułowana **Polonia Restituta. O niepodległość i granice 1914–1921.**

Jest to piękny i ciekawy album z naukowymi tekstami i masą ilustracji (format A4), wydany jako pamiętnik wystawy, która odbyła się w tymże muzeum (znowu brak daty). Autorem scenariusza i komisarzem wystawy, a zarazem autorką podstawowego tekstu jest Jolanta Niklewska. Autorem wstępu jest prof. Wiesław J. Wysocki.

Pierwsze ilustracje pokazują nam dramat epoki przełomu XIX i początku XX wieku: powstanie styczniowe, Sybir, wybuch II wojny, Legiony. Osobny rozdział poświęcony Józefowi Piłsudskiemu i Romanowi Dmowskiemu, a wreszcie konferencji pokojowej w Paryżu 1919 r. Powstanie Armii Polskiej we Francji w 1918 r., gen. Haller, Paderewski. I koniec wojny.

Do szeregów!

Polowa miasta jeszcze dotąd jęczy pod straszliwymi rządami okrutnej, rozpasanej żoldackiej czerni. Nasi najbliżsi po tamtej stronie Lwowa, cierpiąc głód i niesłychany terror, ciągle jeszcze z dnia na dzień nadaremnie czekają na dziesiątki tysięcy mieszkańców, zorganizowaliśmy się i zebrali środki do walki, jakich nie mieliśmy w pierwszych dniach po dokonaniu brutalnego ukraińskiego gwałtu. Ale dzieło nasze jeszcze nie skończone. Za nami dopiero połowa spełnionego obowiązku; decydujący бой przed nami. Dzieląc walki niszczącej już bliski; pomnijmy, że od jej wyniku zawisa cała przyszłość nasza i rodzin naszych. Albo zhiernemy raz wreszcie te siły, jakie są niezdolne, by dopełnić całkowitego zwycięstwa, albo przelana dotąd krew pójdzie na marne.

Polska pamięta o nas, wysmieniej na kresy swojej przedniej placówki; ona nas nie zdradzi i nie opiesi! Jednak za naszą własną wolność, nasze życie i naszą przyszłość spokojną my sami przed wszystkim winniśmy pójść do boju. Gdy wszyscy staniami w szeregu, zwycięstwo musi być nasze.

Polacy! W takiej chwili niemożności z nas nie wolno uwaszać się od spełnienia obywatelskiego obowiązku. Nie tylny szereg jest harabinami dźwierzyc w ręku, natychmiast do szeregu! Wszyscy bez wyjątku!

Kto Polak – do broni!

Lwów, dnia 12. listopada 1918.

Naczelna Komenda Wojsk Polskich
we Lwowie.

L.L.W.

Rozkaz

Komendy Wojskowej we Lwowie.

Al do dalszego zarządzenia wyślij Komendę ułanów L. 10 „Komendę Wojskową we Lwowie” i powiatów Galicyi wschodniej, na obszarze dawnego K. L. Miłostkowskiego, a do celów obywatelskich także, oraz odwoływać ich względy na narodowości i wysłanie przed gwałtem, a to aż do czasu rozstrzygnięcia narodowościowych kwestyj spornych w Galicyi wschodniej przez ogólny kongres pokojowy.

W Kancelarii wydziału masz też tego samego rozstrzygnięcia w przyszłości powiatów Galicyi wschodniej, a to w sprawie stosunku do jej powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

Władze Komendy powiatów nacjonalistycznych, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

W Galicyi wschodniej, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

W Galicyi wschodniej, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

W Galicyi wschodniej, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

W Galicyi wschodniej, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

W Galicyi wschodniej, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

W Galicyi wschodniej, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

W Galicyi wschodniej, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

W Galicyi wschodniej, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich, a to w sprawie stosunku do nacjonalistycznych powiatów ukraińskich i nacjonalistycznych powiatów ukraińskich.

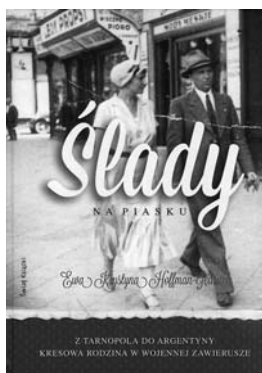
CZEŚĆ BOJOWNIKOM NIEPODLEGŁOŚCI



1918 1933
CZEŚĆ OBRONCOM LWOVA

Osobny, obszerny rozdział dotyczy Lwowa i Małopolski Wschodniej (10 stron), wojny z Ukraińcami. Potem sprawa całej wschodniej granicy, wojna polsko-bolszewicka 1920 r. W końcu powstania śląskie i wielkopolskie, walka o Warmię i Mazury.

Znakomity album, doskonały bogaty zestaw ilustracji, które w innej skali były eksponatami na wspomnianej wystawie.



📖 Książka **Ewy Krystyny Hoffman-Jędruch** pt. **Ślady na piasku – Z Tarnopola do Argentyny**, z podtytułem **Kresowa rodzina w wojennej zawierusze** – to, jak pisze autorka w przedmowie, pamiętnik zbiorowy. *Składają się na nią wspomnienia mojej matki, jej brata, mojego wuja Zbigniewa Neuhoffa, siostry mojego*

ojca, ciotki Ludwiki Düringowej i moje własne przeżycia wojenne widziane oczami dziecka. Oddając ją do rąk czytelnika, chciałabym utrwalić obraz barwnego społeczeństwa lwowskiego i jego zaginionej, a bardzo unikatowej kultury, której korzenie tkwiły głęboko w miłości do rodzinnego miasta.

Autorka utrwała nie tylko obraz Lwowa, ale również Tarnopola, gdyż ze strony matki rodzina wywodziła się z Tarnopolskiego. Neuhoffowie to spolonizowana rodzina z niemieckiej Westfalii, posiadacze większych lub mniejszych majątków ziemskich. Wśród nich chyba najbardziej znany był dziadek autorki, który po studiach na Politechnice Lwowskiej zamieszkał w Tarnopolu i gdy ówczesny proboszcz, ks. Bolesław Twardowski (późniejszy arcybiskup lwowski) zaczął budować tarnopolski kościół parafialny, to właśnie inżynier Stefan Neuhoff objął kierownictwo nad budową.

Rodzina ojca – Hoffmanowie, jak pisze autorka, *miała głębokie mieszczańskie korzenie i we Lwowie była osiedlona od dawna*. Babka autorki, Paulina, wcześniej owdowiawszy, z wielkim trudem wychowywała dwójkę dzieci. Troszczyła się o ich wykształcenie, ale też wpajała zasady etyki i sprawiedliwości. Ojciec autorki, Maksymilian, ukończył wydział prawa UJK.

W 1910 r. rodzina Neuhoffów przenosi się do Lwowa i tu w 1929 r. Zofia, matka autorki, jako trzecia kobieta w Polsce kończy wydział prawa. Zofia i Maksymilian poznają się w 1928 r., pobierają w 1930 r., a od 1936 wspólnie prowadzą kancelarię adwokacką. W 1938 r. przychodzi na świat ich córka Ewa – autorka *Śladów*.

Wrzesień 1939. Od tej pory losy rodzin Neuhoffów i Hoffmanów są bardzo podobne do losów innych rodzin kresowych. Ojciec ginie w Katyniu. Matka i babka autorki zostają wywiezione do Kazachstanu. 18-miesięczna wtedy autorka, mimo iż była na liście wywózek, z powodu choroby pozostaje we Lwowie pod opieką wuja Zbigniewa Neuhoffa i jego żony i dzieli ich los aż do ekspatriacji ze Lwowa i osiedlenia się w Bytomiu. Matka i babka dzięki układowi Sikorski–Majski docierają do Armii Andersa. Zofia okazuje się niezwykle silną osobowością, osiąga coraz wyższe stopnie wojskowe, i jak wielu jej podobnych kończy karierę wojskową w Londynie.

W Bytomiu jest jej córka, której nie widziała sześć lat. Ponieważ różne „okazje” nie umożliwiły wywiezienia dziecka z komunistycznej Polski przez zieloną granicę (jedna z prób kończy się uwięzieniem małej Ewy w czeskim Cieszynie) – pewnego marca w dniu w 1946 r. w bytomskim mieszkaniu wujostwa pojawia się nieznana Ewie kobieta... mama! Zaczynają się przygotowania do potajemnego wyjazdu Ewy, matki i wujostwa z Polski. Z pałacu arcybiskupiego w Krakowie w ciężarówkach UNRRY przez Czechy, Niemcy Wschodnie i Zachodnie docierają (nie bez przygód) do Belgii i po pokonaniu kolejnych trudności do Londynu. Gdy w 1948 matka powtórnie wychodzi za mąż, rodzina emigruje do Argentyny, gdzie autorka kończy inżynierię chemiczną na uniwersytecie w Buenos Aires. Obecnie mieszka w USA, gdzie po przejściu na emeryturę podjęła studia i w 2010 r. obroniła pracę doktorską z historii średniowiecza.

Ślady na piasku – wydane w 2012 r. przez wydawnictwo „Świat Książki” – napisane są żywym, barwnym językiem i bogato ilustrowane fotografiami i dokumentami rodzinnymi. Mimo dramatyzmu niektórych opisanych wydarzeń czyta się te wspomnienia jednym tchem i z przyjemnością.

Anna Madej

Wertując wydawnictwa

➔ W dodatku „Plus Minus” do „Rzeczpospolitej” z 10–11 XI '12 ukazał się ciekawy i długi artykuł W. Chelminiaka, poświęcony dwu sławnym osobom: malarzowi Jackowi Malczewskiemu oraz bardzo mu bliskiej modelce, wielkiej damie, Pani Kini... Artykuł nosi tytuł: *Afrodyta i Pan Złoty*.

O Malczewskim wiemy zapewne wszystko – z muzeów i wystaw, z albumów sztuki, literatury. Natomiast postać Marii Kingi z baronów Brunickich Balowej jest już dziś mało pamiętana (poza historykami i miłośnikami). Była piękną kobietą i wielką damą z elity ziemiańsko-towarzystwiejskiej Lwowa i Krakowa pierwszych dekad XX wieku. Z jej rodziną były związane m.in. Zaleszczyki i inne majątki we wschodniej Małopolsce, ale miejscem najlepszych lat życia był pałac Balów w Tuligłowach koło Rudek, blisko Lwowa. Jej związek z Malczewskim trwał od ostatnich lat XIX w. do I wojny światowej. Przez owe niespełna 20 lat powstała ogromna liczba portretów i obrazów, których centrum – bez względu na treść – była postać i piękne oblicze pani Balowej.

Malczewski zmarł w 1929 r., pani Balowa brylowała na salonach do II wojny. Po wojnie zamieszkała w Krakowie, tu ją znaleźliśmy jako już mocno wiekową panią. Zmarła w 1955 r., spoczęła na cmentarzu Rakowickim wraz ze swym mężem. Obok nich została w r. 2006 pochowana wnuczka pp. Balów, Kinga (też Kinia) Horodyska-Wońkowska, znana naszym Czytelnikom ze wspomnienia w CL 3/07.



➔ Czytelnikom zainteresowanym historią przedstawiamy listę współczesnych książek dotyczących teatru lwowskiego (polskiego oczywiście) w okresie około 100 lat: od lat 1840. do 1940. Książki te nie są „białymi krukami” i zapewne dostępne są w bibliotekach w większych miastach kraju.

- Barbara Maresz: *O lwowskich egzemplarzach teatralnych w Bibliotece Górnośląskiej w Katowicach*
- Jerzy Got: *Na wyspie Guaxary. Wojciech Bogusławski i teatr lwowski*
- Agnieszka Marszałek: *Teatr lwowski 1842–1900*
- Agnieszka Marszałek: *Lwowskie przedsiębiorstwa teatralne lat 1872–1886*
- Anna Solarska-Zachuta: *Teatr polski w latach 1890–1900* (w: *Teatr polski w latach 1890–1918*, red. Tadeusz Siwert)
- Jan Michalik: *Teatr lwowski w latach 1900–1906* (jw.)
- Stanisław Hałabuda: *Dyrekcja Ludwika Hellera, lata 1906–1918* (jw.)
- Stanisław Hałabuda: *Inne teatry* (jw.)
- Władysław Jacek Żywot: *W łasce i niełasce Melpomeny* (dot. również teatru krakowskiego)
- Franciszek Zajączkowski: *Teatr lwowski pod dyrekcją Tadeusza Pawlikowskiego 1900–1906*
- Mariola Szydłowska: *Teatr Pawlikowskiego we Lwowie*
- Dariusz Kosiński: *Wanda Siemaszkowa we Lwowie*
- Anna Wypych-Gawrońska: *Lwowski teatr operowy i operetkowy w latach 1872–1918*
- Małgorzata Lisowska: *Teatr XX-lecia międzywojennego we Lwowie*
- Stanisław Marczak-Oborski: *Teatr w Polsce 1918–1939*
- Piotr Horbatowski: *Życie teatralne we Lwowie w czasie II wojny*
- Zbigniew Raszewski: *Krótką historia teatru polskiego* (w tym o teatrach lwowskich)
- Bronisław Dąbrowski: *Na deskach świat oznaczających* (wspomnienia z okresów życia w kilku miastach).

Wg informacji historyka teatru polskiego Wiktora Hahna, w 1938 r. powstało we Lwowie muzeum teatralne. Czy ktoś potrafi potwierdzić tę informację? Jeżeli tak było rzeczywiście, to kto organizował to muzeum, gdzie się mieściło? Nie ulega wątpliwości, że rok później zostało obrócone w niwecz.

LISTY DO REDAKCJI



Poniższy list Pana Jana Gromnickiego uzupełnia artykuł autora pt. „Dokumenty Rodziny Jazłowieckiej w Archiwum”, zamieszczony w CL 1/2013.

11 czerwca żegnaliśmy mszą św. koncelebrowaną w Katedrze w Katowicach, zmarłego w wieku 97 lat w dniu 4 czerwca 2012 r. profesora zwyczajnego Politechniki Warszawskiej, Śląskiej i Krakowskiej, Jerzego Węgierskiego, lwowianina, jednego z ostatnich żołnierzy, a ostatniego oficera Oddziałów Leśnych 14 Pułku Ułanów Jałowieckich Dzielniczy Wschodniej Lwowskiej Armii Krajowej, organizatora plutonu, następnie dowódcę 2 szwadronu m.in. w Akcji Burza w walkach o wyzwolenie Lwowa spod okupacji niemieckiej.

Walki prowadzone wspólnie z wojskami sowieckimi, za co otrzymał pochwałę dowódcy frontu, oraz późniejszą działalność w WiN przypłacił aresztowaniem przez NKWD i wyrokiem dożywocia w łagrach. Zwolniony jednak w 1954 roku, po przyjeździe do Polski podjął pracę w biurze projektów kolejowych, współtworząc wkrótce Instytut Kolejnictwa, podejmując pracę naukową uwieńczoną licznymi publikacjami, doktoratami i habilitacjami.

Po przejściu na przedwczesną emeryturę, na skutek niechęci władz, w poczuciu obowiązku udokumentowania działalności Okręgu Lwowskiego Armii Krajowej, której był członkiem, stworzył ogromne archiwum dokumentów organizacyjnych i relacji jej żołnierzy, publikując je w kilku książkach i wielu artykułach, stając się przez to najwybitniejszym znawcą i historykiem tych zagadnień, jak też historii Lwowa pod kolejnymi okupacjami. Podejmował też działalność w NSZZ „Solidarność” i Komitecie Pomocy Uwięzionym i Internowanym Diecezji Śląskiej, za co dziękował mu w swym liście ks. arcybiskup metropolita katowicki. Angażował się ponadto w chronienie przed SB wędrującego po Polsce Obrazu Jasnogórskiego.

Uroczystości pogrzebowe zgromadziły liczne grono Przyjaciół Profesora, pracowników nauki, kolejarzy – gdyż działał naukowo oraz projektowo w tej właśnie dziedzinie, członków Armii Krajowej z Górnego Śląska, Krakowa i Wrocławia, żegnających Go ze swymi sztaffami, oraz wdzięcznych Mu duchownych.

Obecna była delegacja harcerzy ZHR ze sztaffą, w którego poczcie uczestniczył

wnuk Profesora, oraz Rodziny 14 Pułku Ułanów Jałowieckich i Stowarzyszenia im. 14 Pułku z Wrocławia.

W homilii ks. proboszcza z Katedry oraz przemówieniach pożegnalnych podnoszona była piękna, patriotyczna postawa Zmarłego nawet w najtrudniejszych okolicznościach, także w łagrach sowieckich, co opisał w swych wspomnieniach m.in. Solżenicyn, dając Go za przykład wielu innym.

Pochowany został w grobie rodzinnym w Bystrzej koło Bielska-Białej z asystą wojskową.

Pani Ewa Kuhn zamieszkała w Krakowie napisała do nas:

Posyłam Państwu zdjęcie akwarelki mego dziadka Stanisława Kuhna, który z wykształcenia był architektem, a przed wojną mieszkał i pracował w magistracie w Skalacie. Na Państwa stronie jest zdjęcie odbudowywanego kościoła w Skalacie i informacja, że nie dysponujecie jego zdjęciem sprzed zniszczenia. Akwarelka nie jest podpisana, więc pewności nie ma, ale czuję, że może to być ten kościół.



Nadesłane zdjęcie akwarelki zamieszczamy i za wszystko bardzo dziękujemy!

*List z Bolesławca od Pana mgr. Józefa
Zająca do redakcji Cracovia-Leopolis*

W słowniku geograficzno-historycznym wymienione są stacje drogi krzyżowej z Wyżnian k. Lwowa*, które znajdują się w Bolesławcu na Dolnym Śląsku. Tak się składa, że w 2002 roku proboszcz kościoła p.w. Matki Bożej Różańcowej w Bolesławcu przystąpił do ich renowacji i na jednej ze stacji jest przyklejona kartka z następującym napisem:

Te stacje Drogi Krzyżowej zakupiono dla kościoła rzymskokatolickiego w Wyżnianach z 1400 roku, a przebudowanego w latach 1930–1942. Znajdowały się w tym kościele do 1945 roku. Z powodu zamierzonego zajęcia kościoła dla żołnierzy sowieckich na klub – stacje Drogi Krzyżowej były przeniesione do cerkwi grekokatolickiej w Wyżnianach, skąd przewiezione do Kurowic zostały wraz z innymi rzeczami z kościoła w Wyżnianach i Kurowicach, wywiezione z powodu ewakuacji na zachodnie tereny Rzeczypospolitej Polskiej przez wikarego parafii wyżniańskiej ks. Andrzeja Gromadzkiego. Od 13–19 III 1946 r. na stacji w Krasnym, 20 III na stacji Lwów, 21 III Medyka – granica, 22 III 1946 Rzeszów, Tarnów, Kraków.

Ks. Andrzej Gromadzki był pierwszym dziekanem i proboszczem parafii WNMP w Bolesławcu od 1946 do 1952, tj. do czasu przeniesienia go do Wrocławia, gdzie na Psim Polu w 1968 roku odszedł do Pana i tam spoczywa. Należy przypuszczać, że do kościoła Matki Bożej Różańcowej w Bolesławcu trafiła w roku 1946 wraz z ks. A. Gromadzkim. Stacje te staraniem ks. proboszcza Władysława Karwackiego zostały odrestaurowane i służą wiernym.

Bardzo dziękujemy za te wiadomości. Warto przypomnieć jedno zdanie z opinii przedwojennego historyka lwowskiego Bohdana Janusza, zacytowane w naszym Słowniku geogr.-hist. (CL 4/01, s. 49): „... wyżniański kościół bezwzględnie zasługiwał na zachowanie, jako jeden z mocnych świadków pochodzenia kultury zachodniej na wschód”.

* Wieś Wyżniany nie figuruje na mapce zamieszczonej na okładce tego numeru. Łatwo jednak ją zlokalizować, ponieważ leży w powiecie przemysłańskim. Niedaleko jest Bobrka, Dunajów, rzeka Gniła Lipa.

WOŁYŃSKI EPIZOD

dokończenie ze s. 11

z podwórza. Józefa nie było w domu. Wszyscy mężczyźni byli brani przez Niemców do ciężkich prac. Kopali rowy, okopy, umocnienia niemieckiej linii frontu. Często podczas tych prac strzelano do nich i zabijano ich za byle co. Mężczyźni więc, w obawie o własne życie, chowali się przed łapanką w stogach siana na pobliskich łąkach.

Zofia rzuciła się ratować zwierzęta. Żołnierz wymierzył do niej z karabinu. Płakała, prosiła, żeby zostawił rodzinie konie, że bez nich nie będą mieli z czego żyć. Żołnierz zarekwirował jednak koniki, a jako wyrównanie zostawił dwie stare szkapy.

I tak mądre koniki, które uratowały rodzinie życie pod Kisielinem, a potem uwoziły ją przed zagładą, wiatr historii pogał gdzieś w nieznane...

Ciotka Dana mieszka dziś w Krasnobrodzie.

Spisane w Warszawie, 1 stycznia 2013 r.

Rozmowa z ks. Kowalowem

dokończenie ze s. 13

że nie mieli metryk, bo w Chicago nie byli ochrzczeni w rzymskokatolickim kościele! Nie było ich stać ochrzcić dzieci, dlatego poszli do księdza grekokatolickiego. Tak samo było z siostrą dziadka – Marią Gierką. Dzięki poszukiwaniom genealogicznym dowiedziałem się, że po obu stronach rodziny mam przodków związanych z kościołem grekokatolickim. Swego pochodzenia nie wstydzilem się i nigdy nie tailem. W seminarium nieraz bywało też nieprzyjemnie, bo na swoim stole w sali wykładowej znajdowałem kartkę z napisem: *Polska dla Polaków*, a gdy zaczęła się upadek systemu komunistycznego i Związku Radzieckiego koledzy wołali mnie na dziennik telewizyjny „Wiadomości”.

Dziękuję Księdzu Kanonikowi za rozmowę.

PRZYPISY

¹ O. Franciszek Piotr Botwina OFM, ur. w Płonem 1965, święcenia kapłańskie 1991.

² Ks. Michał Głowacki „Świętopętek” (1804–1846). Teologię studiował we Lwowie, święcenia ka- ▶

- ▶ płańskie otrzymał w 1831 r. Był wikariuszem w Nowym Sączu, Żabnie, Odporyszowie, Żywcu. Zasłynął jako wikary w Poroninie, gdzie kazania głosił w gwarze góralskiej i był jednym z organizatorów powstania chochołowskiego w 1846 r. Zmarł w szpitalu więziennym w Nowym Sączu (ks. Witold Józef Kowalów, *Ks. Michał S. Głowacki „Świętopętk” (1804–1846). Folklorysta i współorganizator powstania*, Biblioteka „Wołania z Wołynia”, Biały Dunajec – Ostróg 1999).
- ³ Ks. prof. Jan Kracik ur. 1941 w Spytkowicach, historyk. Święcenia kapłańskie otrzymał 11.04.1965 r. Wykładowca Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, kierował Katedrą Historii Nowożytniej. Obecnie na emeryturze.
- ⁴ Ruska Trójca – pod tą nazwą funkcjonowało ugrupowanie społeczno-kulturalne założone we Lwowie w 1832 r. przez trzech studentów teologii na Uniwersytecie Lwowskim, alumnów duchownego seminarium greckokatolickiego: Markijana Szaszkiwycza, Iwana Wahylewycza i Jakiwa Hołowackiego. Ich działalność wiązała się ze wzrostem ukraińskiej świadomości narodowej oraz rozwojem języka ukraińskiego (ks. Witold Józef Kowalów, *Ks. Michał S. Głowacki „Świętopętk” (1804–1846). Folklorysta i współorganizator powstania*, Biblioteka „Wołania z Wołynia”, Biały Dunajec – Ostróg 1999, s. 107–109).
- ⁵ Ks. Augustyn Mednis (1932–2007) – z pochodzenia Kurlandczyk. Święcenia kapłańskie po ukończeniu seminarium duchownego na Łotwie 1958. Pracował w archidiecezji lwowskiej od 1969 jako wikariusz w Samborze, proboszcz w Stryju, Szczercu, Żydaczowie, Chodorowie. W diecezji łuckiej od 1999. Był wikariuszem generalnym diecezji łuckiej, kanonikiem gremialnym Kapituły Metropolitalnej Lwowskiej, kanonikiem honorowym Kapituły Katedralnej w Łucku. Od 2004 r. kustosz Muzeum Diecezjalnego w Łucku.
- ⁶ Na terenie Kresów świątynie Kościoła rzymskokatolickiego nieprzerwanie prowadziły pracę duszpasterską w następujących parafiach: Borszczów, Dobromil (d. diecezja przemyska), Hałuszczyńce, Krzemieniec (d. diecezja łucka), Lwów – katedra, Lwów – św. Antoni, Mościska (d. diecezja przemyska), Nowe Miasto (d. diecezja przemyska), Sambor (d. diecezja przemyska), Stryj, Szczerczec, Złoczów (ks. Witold-Yosif Kovaliv, *Odrodzenie struktur archidiecezji lwowskiej pod koniec XX wieku*, „Wołanie z Wołynia” nr 5 (108) z września–października 2012 r., s. 22–48).
- ⁷ Ks. Antoni Andruszczyszyn MIC, ur. 1951 w Oleszkowcach (Ukraina). Seminarium duchowne ukończył na Litwie. Święcenia kapłańskie 1986. Jeździł po całym Wołyniu i Podolu,

aby głosić słowo Boże, co często kończyło się zatrzymaniami i szykanami. Odrodził i na nowo zarejestrował parafię w Ostrogu. Proboszcz parafii św. Mikołaja BP w Czerniowcach na Podolu (Schematyzm Diecezji Kamieniecko-Podolskiej, 2005, s. 204, 238).

- ⁸ Ks. bp Stanisław Szzyrokoradiuk (ur. 1956 r.) święcenia kapłańskie w 1984 r. W 1994 r. mianowany przez papieża Jana Pawła II biskupem pomocniczym diecezji kijowsko-żytomierskiej, a od 2012 r., po odejściu bp. Marcjana Trofiמיака administrator apostolski *sede vacante et ad nutum Sanctae Sedis* diecezji łuckiej (http://pl.wikipedia.org/wiki/Stanisław_Szyrokoradiuk).
- ⁹ Powstanie Chmielnickiego trwające w latach 1648–1655 wymierzone było przeciwko magnaterii i szlachcie polskiej. Na czele zbuntowanych Kozaków zaporoskich i chłopów ruskich stanął hetman kozacki Bohdan Chmielnicki (1595–1657) (http://pl.wikipedia.org/wiki/Powstanie_Chmielnickiego).
- ¹⁰ Hajdamaczyzna to określenie m.in. zbrojnego ruchu chłopów i kozaków na Ukrainie w XVIII w. (do lat 70.) przeciwko polskiej szlachcie, mieszczanom i Żydom, pod hasłami m.in. przywrócenia wolności kozackich i obrony prawosławia (<http://pl.wikipedia.org/wiki/Hajdamaczyzna>).
- ¹¹ Koliszczyzna to nazwa wystąpienia ruskiego chłopstwa pańszczyźnianego, hajdamaków i Kozaków, którzy przybyli z podległej Imperium Rosyjskiemu Siczy Zaporoskiej skierowanego przeciw szlachcie polskiej, ludności żydowskiej, Kościołowi unickiemu i rzymskokatolickiemu i istniejącemu łądowi społecznemu. Trwało od czerwca do lipca 1768 (podczas konfederacji barskiej) na Ukrainie Prawobrzeżnej i przejawiało się masowymi morderstwami Polaków, Żydów i duchowieństwa rzymskokatolickiego i unickiego, z których największe rozmiary osiągnęła rzeź humańska. Przywódcami ruchu byli Maksym Zeleźniak i Iwan Gonta. Liczbę ofiar koliszczyzny szacuje się od 100 do 200 tys. zamordowanych (<http://pl.wikipedia.org/wiki/Koliszczyzna>).
- ¹² Adam Daniel Rotfeld – zob. CL 2/05, s. 41.

ERRATA

W numerze CL 2/13 na str. 21 wydrukowaliśmy wiersz *Majowe nabożeństwo*, a poniżej komentarz p. Marty Walczewskiej, która ów wiersz przygotowała do druku. Niestety pominięte zostało jej nazwisko, za co bardzo przepraszamy Martę i Czytelników.

dokończenie z II s. okładki

i bezpowrotnym zniszczeniem naturalnego rozwoju państwa i narodu. Działania wojenne, deportacje, eksterminacja części ludności, ekspatriacja i emigracja, zniszczenie porządku społecznego – odczuwamy to do dziś...

* * *

W numerze znalazło się również – dla wypoczynku po trudnych tematach wojennych dramatów – nieco *lżejszego materiału*. A więc o znanych ludziach kultury, nauki i publicystyki, o huculskich snycerzach, o wielkiej damie – *muzie* Jacka Malczewskiego...

Ten numer dotrze do Czytelników dopiero przy końcu wakacji, ale mimo tego zapewniamy, że dobre życzenia udanego wypoczynku złożyliśmy Wam w myślach!

Redakcja

-
- * Również w Krakowie zginęło z rąk Niemców wielu profesorów, skala zbrodni jest jednak nieporównywalna z tamtą, lwowską.
 - ** Wiersze zaczerpnęliśmy z nowego tomiku tego autora – p. ss. 4, 5, 7, 22, 43.
 - *** W literaturze i publicystyce pisze się głównie o Wołyniu, a przecież dotyczy to także w nie mniejszym stopniu Tarnopolszczyzny i innych regionów Ziemi Południowo-Wschodnich. Wołyń to w jakimś stopniu skrót myślowy, ale jeśli pozwoli łatwiej na przypomnienie ukraińskich zbrodni – to niech i tak będzie.
 - ****Władza się wystraszyła, a przecież słowa ludobójstwo i tak użyto.



CRACOVIA-LEOPOLIS

– numer niniejszy **3/2013** i poprzedni **2/2013**

zostały wydane przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, autorów i własnym.

Czasopismo Oddziału Krakowskiego

Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nac.)
Zasłużeni członkowie redakcji w stanie spoczynku: Romana Machowska, Maria Taszycka, Barbara Kościak

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od redakcji	Wschód i Zachód	
CZYSTKA ETNICZNA PRZEZ LUDOBÓJSTWO	II DZIEDZICTWO POLSKIEJ EMIGRACJI... KRESOWA KREW	41 42
DZIAŁALI DLA DOBRA RODAKÓW I OJCZYZNY (3)	1 Poezja	
Historia	Mariusz Olbromski	
J. Polonus	WŚRÓD PÓL O NADZIEI	
CIOS NOŻEM W PLECY	◆ Z MGIEŁ KU SŁOŃCU	43
Feliks Budzisz	2 Proza	
Z MYŚLĄ O NAJKRWAWSZEJ NIEDZIELI	3 Irena Parandowska	
Mariusz Olbromski	POZNAŁAM JANA	44
NIEDOKOŃCZONE MSZE ◆ RÓŻA	4, 5, 7 DROKARZE I WYDAWCY LWOWSCY...	47
I KAMIEŃ ◆ BALLADA WOŁYŃSKA		
Wspomnienia	Henryk Breit	
Danuta Idziak	HUCULSCY SNYCZERZE	49
WOŁYŃSKI EPIZOD	8 Sylwetki	
Archiwum	ALFRED BIŁYK	50
ZOSTAŁY AUTOGRAFY	12 Andrzej Chlipalski	
Ziemia polskiej kultury	NIEZAPOMNIANA NAUCZYCIELKA	51
Andrzej Kobak	MŁODYM BYĆ I WIĘCEJ NIC	51
PROFESOR ANTONI MAŁECKI	14 W Krakowie i dalej	
Anna Modzelewska	ZMARŁA PANI A. GARLICKA	52
DZIENNIKARZ Z WOŁYŃSKIEGO RODU	18 ODSZEDŁ ARTYSTA	52
Mariusz Olbromski	22 Książki ◆ Czasopisma	
SZALEŃSTWO I DZIEŁO	Krzysztof Kołtun	
Rozmowy	RÓŻA I KAMIEŃ	53
Janusz M. Paluch	NOWE KSIĄŻKI	
ROZMOWA Z KS. J.W. KOWALOWEM	23 WERTUJĄC WYDAWNICTWA	61
Wspomnienia	Listy	62
Zbigniew Wawszczak	32 Errata	64
Z LONDYNU NA WOŁYŃ		